Luke Short

Zasadzka

(Ambush)

Pierwsze wydanie: 1948

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Rozdział 1

Godzinę temu dostrzegł unoszący się z dołu dym, szary słup na tle cętkowanej, jasnej jak mosiądz pustyni. Ponieważ wzbijał się on ze szczytu płaskowyżu, a nie z doliny, dla niego, a także dla indiańskich obserwatorów Diablito, czających się gdzieś za nim na górze, głosił on: „Właśnie przejechał biały człowiek".

Szybko pobiegł do tunelu i spakował torbę z jedzeniem oraz trzema woreczkami gruboziarnistego złotego pyłu, który stanowił jego dorobek z całego tego lata. Umieścił swój pakunek w pobliżu wylotu tunelu, wraz z manierką, której zawartość oszczędzał na taką właśnie sytuację. Wyniósł na zewnątrz, koło wyjścia tunelu, siodło i strzelbę, a do tego czasu odległy dym został już rozproszony przez unoszące się nad ziemią podmuchy gorącego jak piec powietrza późnego popołudnia.

Wyżej, po drugiej stronie rozpościerającego się za nim grzbietu górskiego, uwiązany na paliku w cieniu sosny, leżał jego koń, czekając na zmrok i wypuszczenie na popas. Osiodłał go, przywiązał tuż za krawędzią grzbietu i wrócił po torbę i manierkę.

Teraz, gdy gęsta sosna osłaniała go od strony suchego, usianego głazami kanionu w dole, przysiadł skulony na piętach, z karabinem na kolanach, wysoki, brudny, obdarty i nieogolony mężczyzna, który od czasu do czasu drapał się po kolanie przez rozdarcie w spodniach. Pamiętając dym i jego znaczenie, pomyślał: *„Ktokolwiek został przysłany z posterunku, nigdy do mnie nie dotrze. A nawet jeśli mu się to uda, to ściągnie nam na głowy rój Apaczów*."

Późno-popołudniową ciszę przerwało ostre skrzeczenie sójki nad brzegiem strumienia. Delikatnie, wciąż spoglądając w dół rzeki, odwrócił karabin i podważył łuskę w komorze dużą, zaciśniętą dłonią, myśląc: *„Ciekawe, kogo zobaczę jako pierwszego - posłańca czy Apacza?*"

Znów nastała cisza, przerwana kilka minut później, gdy usłyszał stukot kopyt o skałę. Jego górna warga - wyciągnięta i cienka, w spokojnej, lecz czujnej twarzy - uniosła się w wyrazie znużonego niesmaku.

Wkrótce w polu widzenia pojawił się jeździec, a Ward Kinsman, klnąc cicho, wyprostował się i wyjrzał zza sosny. Poruszając się, potrącił kamyk. Gdy ten potoczył się w dół zbocza, głowa jeźdźca podskoczyła ostro do góry; tym samym ruchem zsunął się z siodła po przeciwnej stronie konia i w płynnej jego kontynuacji, karabin przybysza błyskawicznie znalazł się na szyi zatrzymanego wierzchowca. Ponad grzywą konia widać było tylko zniszczony kapelusz jeźdźca i parę jego lodowato zimnych, wyblakłych szarych oczu, błyszczących pod gęstymi brwiami.

Ward wyszedł zza drzewa z karabinem przewieszonym przez swe długie ramię i zszedł się ze zbocza na luźnych nogach, długimi krokami. Tył jego wyblakłej od potu koszuli wysunął się ze spodni. Jeździec, widząc go, uniósł karabin i wyszedł spoza konia. Ward zatrzymał się przed nim i po sekundzie kwaśnej pauzy oznajmił:

— Holly, ty przeklęty głupcze. Podróżujesz w biały dzień i nawet nie zadajesz sobie trudu, by jechać na niepodkutym koniu. Czego potrzeba, żebyś zaczął się choć trochę bać?

— Teraz wystraszyłem się całkiem nieźle — stwierdził Frank Holly.

Był niewysokim mężczyzną, przykurczonym przez przeżyte lata i pociemniałym od słońca, a jego kości policzkowe, ledwo widoczne pod krótko przystrzyżoną, poszarpaną brodą, poprzecinane były liniami zmarszczek. Spojrzenie Franka ledwie musnęło Warda i powędrowało na bliższą część zbocza, potem na dalszą, aż wreszcie na leżącą za plecami gospodarza ścieżkę, zanim ponownie spoczęło na nim.

— Po co przyjechałeś? — spytał Ward.

— Przysłał mnie po ciebie major Brierly — powiedział Holly. — Zastanawiał się, czy może byś nie wrócił i nie został znowu przewodnikiem. Wygląda na to, że szykują się kłopoty.

Holly przyjrzał się uważnie Wardowi, starając się ocenić jego gniew. Holly widział, że krył on go głęboko pod powierzchnią, ale można go było zauważyć po twardym zarysie szerokich ust i mięśni zdecydowanej, brodatej szczęki; płonął wyraźnie i gorąco w głęboko osadzonych bursztynowych oczach, błyszczących pod obwiedzionymi solą kasztanowymi brwiami. Holly uznał, że był to gniew dojrzałego człowieka, kontrolowany, dogłębnie przesiąknięty niesmakiem, ale nie zawierający ani urazy, ani potępienia.

Holly spytał więc:

— Co ty na to? Pojedziesz?

— Jedno jest pewne — odpowiedział ponuro Ward — nie zostanę tutaj.

Nie czekając dłużej, skierował się w górę grzbietu wzgórza, a jego długie nogi pośpiesznie wspinały się po stromym zboczu. Wiedział, że i tak już zbyt długo rozmawiał. Istniała spora możliwość, że Holly, jeśli nawet się śpieszył, dotarł tutaj zaledwie na kilka minut przed przybyciem zwiadowców Apaczów, którzy wysłali sygnał. A pół tuzina ludzi z bandy Diablito, po odczytaniu sygnału dymnego, z pewnością już zmierzało na dół, aby zbadać sprawę, starannie planując zastawienie pułapki.

Dosiadł konia i ruszył w dół zbocza, czując gorącą urazę w duszy. Od miesiąca żył i szukał złota w sercu tego kraju, do panowania nad którym pretendowała banda Diablito, pracując im tuż pod nosem, korzystając z tych samych źródeł wody, z których korzystała banda. Co prawda, nie można było tego nazwać życiem; nie rozpalał ognisk, nie strzelał z broni i nie zostawił nawet śladu mokasyna. Na tym odcinku kanionu stworzył na tyle dużo pozornych tropów niedźwiedzi, aby Apacze starali się go unikać. Jego koń, niepodkuty, pasł się i poił jak każdy luźny mustang będący własnością bandy. Przeżył, głodny, spragniony, zawsze czujny, zawsze ostrożny - ale przeżył. *„Aż do teraz”*, pomyślał ponuro.

Holly wciąż był na nogach, kiedy Ward wrócił na miejsce spotkania.

— Dokąd jedziemy, Ward?

— Nie wiem. Zbieraj się.

Ward skręcił w górę suchego koryta strumienia, a Holly wsiadł na konia i ruszył za nim. Ward zdawał sobie sprawę z tego, że podjęcie decyzji nie może zająć mu zbyt wiele czasu. Kiedy tylko Apacze tropiący Holly'ego dotrą do wejścia tunelu, zobaczą ślady nowego intruza i wyczytają z nich całą historię, wezwą pozostałych do zabijania. Szybko zorientują kim był, dzięki pozostawionemu sprzętowi, a potem rozpęta się piekło. Apacze nie cierpieli kiedy robiono z nich głupców, i już sam fakt, że przez ponad miesiąc mieszkał wśród nich nieprzyjaciel, wprawiłby ich we wściekłość. Zaś to, że to on, ich osobisty wróg, był właśnie tym człowiekiem, który zagrał im na nosie, wprawi ich w prawdziwą furię. Jednak myśl o wściekłości Diablito nie bawiła go teraz. Popatrzył na słońce i ocenił, że pozostają im jeszcze dwie godziny dziennego światła. Musiał wykorzystać je desperacko, stawiając wszystko na późniejszą ucieczkę w nocy.

Głos Holly'ego przerwał mu rozmyślania.

— Czy nie kierujesz się prosto na nich?

— Tak samo jak i ty.

Bailey's Peak, na którego północne zbocze właśnie się wspinali, był rozległym, zmiażdżonym od góry stożkiem, którego podstawa leżała na równinie pustyni Nowego Meksyku, a wierzchołek usiany był ciemnymi drzewami iglastymi. Pomiędzy piachem pustyni i sosnami, góra porzeźbiona była labiryntem całych kilometrów bezwodnych kanionów, niechętnie poddających się wysokości, aż do punktu położonego dwie trzecie drogi w górę, w którym pojawiały się twardsze skały, zamykające kaniony i utrzymujące niezbędną dla drzew glebę. W każdym z setek kanionów mogłoby się zgubić całe miasto, a suma rozległej, potwornej masy góry przytłaczała obszar odpowiadający dwóm wschodnim hrabstwom. W chłodzie lasu nieopodal szczytu, znajdował się obóz Diablito – i w tym kierunku, zmierzał właśnie Ward.

Jechał teraz czujnie, obserwując porozrzucane kępy sosen po obu stronach, z karabinem przewieszonym przez siodło. Nie podobało mu się ta sytuacja. Stukot podków konia Holly'ego działał mu na nerwy; za każdym razem, gdy metal dzwonił o skałę, wyobrażał sobie, że jego dźwięk niesie się w nieskończoność.

Trzaski dwu odległych, bliźniaczo podobnych wystrzałów za ich plecami, kiedy w końcu nadeszły, przyjął niemalże z wdzięcznością. Usłyszał, jak Holly mówi cicho do siebie: „No - tak" i skręcił ostro w prawo, zjeżdżając ze zbocza kanionu. Dopiero kiedy znalazł się głęboko w lesie, ściągnął wodze konia i zaczekał na starszego mężczyznę.

Ward uniósł dłoń, na znak zachowania ciszy i odwrócił głowę. Jego koń obrócił powoli łeb, uszy wychyliły się do przodu, nasłuchując. W lesie, gdzieś nad nimi i po prawej stronie, usłyszeli rżenie konia biegnącego w pełnym galopie. Dźwięk zrobił się głośniejszy, minął ich i rozpłynął się w dole.

Ward bez słowa wykręcił koniem i ruszył na zachód. Teraz, gdy zmuszony był, aby pozwolić ludziom Diablito wysforować się przed niego,

miał najwyżej dwadzieścia minut przewagi. Przy odrobinie szczęścia to powinno wystarczyć.

Jechali ostro przez piętnaście minut, nawet nie starając się zacierać śladów w rzadkim sosnowym lesie. Dopiero gdy Ward dotarł do dłuższych odcinków skalnych, jechał po nich, myśląc ponuro: *„Z tymi podkowami na kopytach konia Holly'ego nie będą musieli nawet zsiadać z mustangów, żeby nas wytropić."*

Później, kiedy zatrzymał się, by dać odpocząć koniowi, Holly podjechał bok w bok koło niego. Popatrzyli na siebie w nieprzyjaznym milczeniu, po czym Holly spytał z niepokojem w głosie:

— Znasz te tereny lepiej ode mnie, Ward, ale czy nie zmierzamy w stronę Ściany?

— Zgadza się — odparł krótko Ward i pchnął konia do dalszej jazdy.

Kolejna para wystrzałów, daleko za nimi, zasygnalizowała, że pościg trwa. W ciągu następnej godziny, jeśli uda mu się mądrze wykorzystać przewagę, wywalczy przetrwanie. Tak jak powiedział Holly, zmierzał w stronę Ściany, a gdy ludzie Diablito się o tym przekonają, będą pewni, że znalazł się w potrzasku.

Kierunek jego jazdy zboczył teraz bardziej na zachód, a przed nim las przerzedzał się, ustępując miejsca długiemu pasmu potrzaskanych granitów. Słońce świeciło mu prosto w twarz, a gdy przedzierał się między skałami, od czasu do czasu otulał go chłodny cień.

Zbadał potem nachylenie terenu i dwukrotnie skręcił w kierunku południowym, aż w końcu, gdy słońce niemalże już całkowicie zaszło, dotarł do Ściany.

Ześlizgnął się z siodła, kiedy Holly dojeżdżał do niego, a gdy Holly w końcu się dowlókł, oznajmił sucho:

— To długi skok.

Kilka jardów za Wardem ziemia opadała stromo; setki stóp w dole pustynna równina, chłonąca ostatnie blaski dnia, rozciągała się rozległą plamą błękitu, szarości i płowych odcieni, sięgając daleko w głąb Arizony.

— Usiądź sobie i poczekaj — zażartował Ward. — Dostaniesz strzałą w plecy.

Holly wychylił się, pytając:

— Czy kiedykolwiek sprowadziłeś tam na dół konia?

— Nikt tego nie zrobił — Ward zdejmował uzdę z konia, obserwując szlak z tyłu.

— Zagoniłeś się w kozi róg, co?

— I ty też — odparł ponuro Ward. — A teraz zabierz konia z widoku.

Podczas gdy Holly zsiadł z konia i odprowadził go za jeden z dużych granitowych występów, Ward wybrał miejsce dla siebie. Była to dość duża kępa gęstej tarniny, więc znalazł patyk i szybko przeczesał zarośla w poszukiwaniu węży, zanim się w nich schował. Wyciągnął sobie garść nabojów, położył je obok broni i popatrzył na Holly'ego. Starszy mężczyzna wybrał jedną z granitowych skał. Zmierzch już zapadał, i Ward leżał bez ruchu, uważnie obserwując szlak z tyłu, zastanawiając się nad sytuacją, a przy tym nad własną głupotą.

Nigdy w Forcie Gamble i otaczającej go osadzie, nie robił szczególnej tajemnicy ze swojego miejsca pobytu; raz, dla przykładu, wypytywał nawet starego Hance'a i innych na posterunku, o porzucone miejsce pracy Roufa. Otrzymał niewiele informacji i wiele rad, aby trzymał się od niego z daleka, chyba że lubi umierać tak, jak Rouf, kiedy zginął z rąk bandy Diablito. Wiedział, że popełnia błąd, zadając pytania i publicznie zdradzając swoje zainteresowania. Holly zapamiętał to sobie i powiedział majorowi Briefly'emu, a teraz Holly znalazł się tutaj, ściągając na nich Diablito. *„Kiedyś się nauczę trzymać język za zębami*", pomyślał z ostrym niesmakiem.

Mrówka przeszła mu po dłoni, łaskocząc włoski na palcach. Spojrzał na nią, a potem uniósł wzrok i dostrzegł słaby ruch na gałęzi karłowatego cedru u podstawy skał. Uniósł karabin i strzelił, ale nic nie zobaczył, a Holly zawołał:

— Gdzie?

Ward przesunął się w lewo, nie odpowiadając mu, czując bliskie trafienie i ciepły, żywiczny zapach połamanego drewna. Holly strzelił. Ward patrzył, jak brązowa postać przeskakuje między dwiema skałami w wieczornej szarówce, cienista, szybka. Ewidentnie Indianin nie doznał żadnej szkody.

„Jeszcze dziesięć minut", pomyślał spokojnie. Pomyślał, że może jeszcze spróbują jednego zrywu przed zmrokiem, ale wątpił w to. Po zapadnięciu ciemności powinni się wycofać, na modłę Apaczów, i zrezygnować z dalszej walki aż do świtu. Byli jednak pewni, że ich ofiara jest osaczona na skraju urwiska. Jutro, o świcie, wzmocnieni przez kolejnych członków bandy, pewnie nawet samego Diablito, zaatakują. Ward uśmiechnął się lekko, myśląc o tym. *„Runą jak rozpędzony wóz*", pomyślał.

Ciemność powoli gęstniała i zapanowała głęboka cisza, tak kompletna, że Ward słyszał, jak Holly drapie się po brodzie. Słychać było nawet lecącego nad głową ptaka, gdy wleciał w ciepły podmuch powietrza znad klifu i został wyniesiony w górę. Nie ma sensu już strzelać, bo naboje były zbyt cenne, aby marnować je na bezużyteczne pogróżki.

Gdy zapadła noc, Ward wyczołgał się z kępy tarniny, podszedł do konia, zdjął manierkę i napił się oszczędnie. Zobaczył Holly'ego zbliżającego się cicho w mroku, wyciągnął manierkę i powiedział:

— Łyknij sobie.

Rozmawiali cicho, z trzeźwego szacunku dla swoich kłopotów.

Holly wypił, oddał mu i przykucnął na piętach, podczas gdy Ward przypiął manierkę do pasa.

— Masz pasek na karabinie? — spytał Ward.

— Po co?

— Tam, gdzie idziesz, będziesz potrzebował obu rąk.

— A gdzie idę?

— W dół po Ścianie.

Zapadła cisza, podczas której Holly rozmyślał nad tym co usłyszał.

— Schodziłeś tu kiedyś na dół?

— W górę.

— Jest pewna różnica.

— Każdy dzieciak, który kiedykolwiek wspinał się na drzewo, mógłby ci to powiedzieć — stwierdził sucho Ward. — Wytnij sobie pasek z futerału.

— Jaka różnica między walką tutaj, a złapaniem na piechotę, tam na dole?

— To drugie będzie później niż pierwsze.

Holly wstał i ruszył w stronę swojego konia, a Ward, stojąc w milczeniu, zagłębił się głęboko w swoich wspomnieniach. Był pewien, że trafił we właściwe miejsce. Dawno temu, zanim Diablito po raz pierwszy opuścił rezerwat i uczynił z Peak swoją kryjówkę, Ward prowadził na nim poszukiwania pod i nad Ścianą. Na jego dziewięciu milowym zboczu nie było szlaku, z którego by nie korzystał i którego by nie pamiętał, ponieważ równina pustyni była pozbawiona źródeł wody, i cała jego woda pochodziła stąd. Skróty były więc bardzo cenną rzeczą, a ten szlak był jego własnym odkryciem, możliwym do wykorzystania przy wspinaczce, a niemożliwym do zejścia, z beczką wody. Wątpił, czy ludzie Diablito o nim wiedzą, ale musiał zaryzykować.

Podszedł do konia i zdjął torbę z siodła. Suszone mięso, które wypełniało jedną stronę, schował do kieszeni. Wyjął z zamyśleniem trzy woreczki złotego pyłu, po czym rozwiązał sznureczki, podszedł do najbliższej skały i wsypał ich zawartość w szczelinę między skałą a ziemią. Niedbałym kopnięciem zasypał złoto ziemią, wiedząc, że Apacze je znajdą i zostawią w spokoju, ponieważ żółty metal nic dla nich nie znaczył. „*Wrócę po nie*", pomyślał spokojnie, po czym wrócił do konia. Zdjął siodło i przywiązał lejce do niskiego krzewu mesquite.

Robił właśnie to samo z koniem Holly'ego, gdy pojawił się starszy mężczyzna. Holly, z karabinem przewieszonym przez plecy na prymitywnym skórzanym pasku, przyglądał mu się przez chwilę i zauważył kwaśno:

— Prezent od armii dla Diablito.

— Nie pierwszy. — burknął Ward i przeszedł cicho koło niego, zbliżając się do krawędzi przepaści.

Zatrzymał się nad nią tylko na tyle długo, by powiedzieć Holly'emu, aby trzymał się blisko niego, dopóki ścieżka nie zacznie się zwężać. Potem Ward ruszy przodem, a jeśli wszystko będzie w porządku, stuknie dwa razy w skałę swoim srebrnym pierścieniem, co będzie oznaczało, że Holly ma iść naprzód. Trzy stuknięcia oznaczały, że Holly ma zostać tam gdzie był.

Ward wykonał dwie symulowane próby, zanim dał Holly'emu sygnał, a potem zaczęło się boleśnie powolne schodzenie. Potem Holly'emu wydawało się, że minęło zaledwie parę chwil, zanim znalazł się na stromej ścianie klifu, wczepiony jedynie paroma palami, czasami nawet nie całą dłonią, w rozgrzaną słońcem skałę. Błogosławiona ciemność przesłaniała rozciągającą się pod nim przepaść, choć wiatr, gorący jak z pieca i nieustający, napierał od dołu, wywierając stały nacisk na jego ciało.

Ostrożnie, sprawdzając każdy uchwyt, Ward schodził w dół, a jego umysł zacisnął się w okowach cierpliwości. Ścieżka przecinała teraz odcinek kamienia, który Ward mógł jedynie wymacywać palcami. Woda

wsiąkała w pęknięcia skały i zamarzając, obluzowywała jej fragmenty. Ward przeszedł przez ten odcinek z najwyższą ostrożnością, sygnalizując to Holly'emu i ostrzegając go o tym, po czym ruszył dalej, docierając wkrótce do kolejnego zejścia.

Kiedy Holly znalazł się obok niego, a jego oddech się uspokoił, Ward powiedział:

— Daj mi swój karabin, Holly.

Holly bez słowa, ostrożnie zdjął karabin przez głowę i podał go Wardowi.

— Przechodzę nad ciebie — powiedział Ward. — Uważaj.

Przecisnął się koło ciała Holly'ego i wrócił na ścieżkę, a Holly słuchał, zdezorientowany i wystraszony.

Po chwili usłyszał ostry zgrzyt metalu o skałę i wstrzymał oddech, nasłuchując. Przez długą, bardzo długą chwilę nie dochodziły do niego żadne dźwięki, a potem z dołu dobiegł stłumiony gruchot skały uderzającej o skałę. *„To nie jest odgłos spadającego ciała"*, pomyślał Holly i czekał. W pewnej chwili pojawił się Ward, prześlizgnął się obok niego i oparł się o ścianę.

— Straciłem twoją broń — oznajmił Ward. — Wygiąłem lufę, więc ją wyrzuciłem.

— Wygiąłeś lufę?

— Odłupałem kawałek tej półki. Nikt już za nami nie pójdzie.

Holly zauważył niepewnie:

— A jeśli ta ścieżka się urwie?

— To może się zdarzyć — zgodził się Ward.

Obaj milczeli przez chwilę, po czym Ward spytał z zaciekawieniem:

— Jakich kłopotów spodziewa się Brierly?

— Co?

— Jakich kłopotów spodziewa się Brierly?

— Do diabła z Brierlym! — warknął Holly. — Zabierajmy się stąd, na dół!

Dochodziła północ, gdy Ward w końcu poczuł, że Ściana pod jego dłonią zaczyna robić się mniej pionowa. Ostrożnie wymacał zbocze podnóża ściany po zewnętrznej stronie ścieżki, stwierdził, że nie jest już zbyt strome i zawołał:

— Schodzimy tutaj bezpośrednio na dół, Holly.

Chwilę później zjechał ze zbocza na łeb na szyję, poganiany przez deszcz drobnych odłamków skalnych i pyłu i wyhamował nabrany pęd, po pokonaniu kawałka płaskiego terenu. Poczekał na zjazd Holly'ego, który zsunął się z rozłożonymi rękoma.

— Prześpij się chwilę — polecił Ward. — Mam coś do zrobienia.

— Lepiej znajdźmy lepsze miejsce na nocleg.

— Idź spać — powtórzył Ward. Długo wpatrywał się w gwiazdy, po czym odwrócił się i ruszył w dół łagodnego spadku w kierunku południowym, długim, luźnym krokiem, bezgłośnie poruszając się w swoich mokasynach.

Dwie godziny później obudził Holly'ego i powiedział:

— Ruszamy w drogę — i patrzył, jak starszy człowiek się budzi.

— Znalazłeś jakieś miejsce? — spytał sennie Holly.

— Znajdę później — powiedział Ward.

Tym razem wyruszyli w przeciwnym kierunku niż jego poprzedni wypad, na północ, wciąż podążając wzdłuż Ściany.

Brakowało pół godziny do świtu, gdy Ward, który prowadził, rzucił tylko: „Wrócę” i ponownie zniknął w nocy.

Holly usiadł, złożył ręce na kolanach i oparł czoło na ramionach. Był zmęczony do szpiku kości, roztrzęsiony i głodny, i z ponurą niechęcią rozmyślał o czekających go godzinach. Widział tylko jedno zakończenie tej całej sprawy. Bez względu na to, jakie miejsce znajdzie dla nich Ward, faktem było, że mieli jedynie dwie manierki wody, kilka garści jedzenia, karabin, dwa pistolety i trochę amunicji oraz dwa noże. I byli na piechotę.

Diablito miał, jak mówiono, w swojej bandzie czterdziestu paru, świetnie uzbrojonych ludzi. Arytmetyka tego równania sprawiała, że żołądek Holly’ego skurczył się i zadrżał. O świcie Diablito odkryje ich nieobecność i cała banda puści się, ich śladem do podnóża Ściany. Później wszystko było już tylko kwestią czasu, szczęścia, wody i jedzenia, ale koniec był pewny. Przez krótką i żałosną chwilę Holly zastanawiał się, jakie szaleństwo skłoniło go do przyjęcia zlecenia Brierly'ego.

Obudził go głos Warda, który oznajmił: „Ruszajmy” i Holly, ze znużeniem podniósł się na nogi. Nie słyszał, jak Ward się zbliża, i w duchu przeklął zmęczenie, które tak bardzo przytępiało jego zmysły.

Pierwsze muśnięcie świtu oświetlało wschód, gdy idący przed nim Ward odwrócił się do niego, odszedł kilka stóp w prawo i rozsiadł się na ziemi, mówiąc:

— To jest nasze miejsce.

Holly dostrzegł zarysy niskiej skały, na której siedział Ward. Wokół nich leżały porozrzucane niewyraźne kształty innych skał, z których żadna nie wyrastała wyżej od wzrostu człowieka.

— Nie warto było tu iść — stwierdził kwaśno Holly.

— Dalej od tego miejsca, prowadzi szlak najbliższy temu, by określić go jako nadający się dla koni.

Holly zastanawiał się przez chwilę, po czym podszedł i usiadł obok Warda.

— Czterdziestu kilku Indiańców. Nawet jeśli ich jakoś zatrzymasz, są inne szlaki. — W jego głosie dało się wyczuć troskę.

— Nie będzie ich czterdziestu — odparł Ward.

— W takim razie dwudziestu.

— Nawet nie dwudziestu — powiedział Ward. — Kiedy spałeś, przez godzinę szedłem na południe wzdłuż Ściany. Wykopałem dziurę w zboczu arroyo i rozpaliłem w niej ognisko. Będzie się paliło do świtu. Mniej więcej teraz Diablito powinien rozpoczynać pościg, tam na górze. Znajdzie nasze ślady na ścieżce i wyśle po niej swoich ludzi. Kiedy dotrą do zerwanej półki i wrócą, będzie już wystarczająco jasno, aby zobaczyli dym. Będzie sądził, że to nasz ogień. Co sobie pomyśli?

— Że zmierzamy na południe, do Gamble.

— Więc rzuci swoją bandę na południe do najbliższego szlaku konnego, leżącego w odległości sześciu mil. Ale nie wszystkich. Paru wyśle na

północ, aby ruszyli tym szlakiem, jako najbliższym miejsca, w którym znalazł nasze konie.

— A skąd wiesz? — spytał Holly.

Ward nie odpowiadał przez dłuższą chwilę, po czym wyjaśnił:

— Jesteśmy na piechotę, jesteśmy pewną zdobyczą i kierujemy się na południe. Ale zależy mu na nas na tyle, by upewnić się, że nie rozdzieliliśmy się. Wyśle więc kogoś, żeby sprawdził północ.

Holly zastanowił się nad tym i w końcu powiedział:

— Co nam to da? Czterech-pięciu do walki teraz, reszta później.

Ward wyjaśnił łagodnie:

— Zdobędziemy konie, Holly.

Holly poderwał się, siadając prosto, patrząc na Warda w półmroku nadchodzącego dnia. Po raz pierwszy, odkąd Ward powitał go wczoraj, poczuł słabe przebłyski nadziei.

Ward mówił dalej:

— Nadjadą szlakiem jeden za drugim, ale blisko siebie, bo jedzie się tam wolno. Ty weźmiesz ostatniego Apacza. Ja wezmę pierwszego i strzelę pierwszy. — Podniósł się i rozejrzał wokół siebie, po czym wskazał podbródkiem. — Niedaleko szlaku jest skała z zaroślami. Masz pistolet, więc schowaj się blisko, nie przebiegaj przez szlak i nie zapominaj, że musimy zdobyć konie.

Holly wstał i zdał sobie sprawę, że Ward na niego patrzy.

— Tak? — spytał łagodnie.

— Kiedy już się położysz, nie podnoś się — powiedział Ward.

Holly ruszył na swoje stanowisko, a Ward powiedział:

— Holly.

Holly zatrzymał się, spoglądając na niego.

— Nie zapomnij jeszcze o tym. Jeśli choćby jeden z nich ucieknie, wyśle sygnał dymny. To nas załatwi.

— Jasne — odparł z irytacją Holly i oddalił się.

Ward przycupnął pod skałą, za zaroślami, twarzą do szlaku i obserwował, jak światło dnia robi się coraz silniejsze. Szansa była nikła, choć brzmiała całkiem nieźle, gdy ujął ją w słowa. Nie było żadnej pewności, że Diablito, gdy piesza ścieżka okaże się dla niego zamknięta, nie straci głowy i nie poprowadzi całej swojej bandy tym właśnie szlakiem. Tyle że Diablito nie tracił głowy; ze wszystkich Chiricahua miał najchłodniejszy umysł, był najbardziej przebiegły i najbardziej okrutny.

Ward pozwolił sobie na rozmyślania, co by się stało, gdyby coś poszło nie tak. Nie byłaby to przyjemna śmierć, ponieważ stanowiłaby ona spłatę starych długów. Za pierwszym razem, kiedy Diablito i jego buntownicy opuścili rezerwat, to Ward kierował pościgiem, aż wreszcie Diablito, naciskany, nękany i głodzony, poddał się. Nigdy jednak nie zapomniał o człowieku, który poprowadził kawalerię podczas tamtej wyprawy, i w czasie drugiej ucieczki, Diablito zrobił wszystko, aby spalić chatę Warda, zabić jego wspólnika i zanieczyścić studnię jego okaleczonym ciałem. Ward w odwecie poprowadził oddziały, które osaczyły go po raz drugi.

Wstał już pełny dzień, i Ward delikatnie się przesunął, zastanawiając się, jak długo jeszcze przyjdzie mu czekać. I wtedy, tuż po zakończeniu

swojego ruchu, usłyszał konie na szlaku w górze, daleko stąd. Rozsunął zarośla przed sobą i położył w nich broń. Desperacko próbował policzyć liczbę koni na podstawie stłumionego hałasu na szlaku, ale nie był w stanie niczego się domyślić, i pomyślał z gorzkim fatalizmem: „*Masz co chciałeś i wkrótce to zobaczysz*".

Minęło długie dwadzieścia minut, a potem, z zaskakującą nagłością, dobiegł go wyraźny już tętent kłusujących koni.

Zwolnił oddech, przyłożył policzek do kolby broni i wkrótce zobaczył pierwszego Apacza wyłaniającego się zza głazu. Był to młody mężczyzna, ubrany jedynie w przepaskę biodrową i długie legginsy, a na czole miał przewiązaną czerwoną flanelową opaskę. W bliższej ręce trzymał strzelbę, i był na wpół odwrócony, w swym gniadym pony, spoglądając za siebie. W prawej dłoni trzymał długi kantar z końskiego włosia, stanowiący jego jedyne wodze.

Głęboka, beczkowata klatka piersiowa mustanga Apacza skierowana była prostopadle do Warda, ale Ward chłodno odwrócił od niej wzrok. To był koń, którego potrzebował i teraz uważnie popatrzył na jego grzywę i jej zakończenie. Tam, gdzie szyja przechodziła w kłąb, jego spojrzenie ustabilizowało się i poprowadziło cel, podczas gdy powoli nacisnął na spust.

Po jego strzale gniadosz poderwał się jak dźgnięty ostrogą, a Apacz poleciał do przodu. Wtedy padł strzał Holly'ego, i Ward, który już wsuwał kolejny nabój do komory nabojowej, usłyszał ciężkie uderzenie kuli Holly'ego w ciało.

Apacz wylądował na czworaka i z impetem runął na ziemię. Przetoczył się dwa razy w tumanach kurzu, po czym stanął na wpół wyprostowany, odwrócił się i uniósł broń. Ward wystrzelił ponownie. Między nimi galopował pozbawiony jeźdźca koń, i Ward odczekał sekundę potrzebną na jego przebiegnięcie. Potem zobaczył Apacza leżącego na ziemi, na plecach, z uniesionym jednym kolanem, włożył nabój do komory nabojowej i podniósł się dopiero wtedy, gdy pistolet Holly'ego wystrzelił jeszcze dwa razy.

Ward spojrzał za skałę i zobaczył drugiego Indianina. Zawrócił on swojego kasztanowatego mustanga z powrotem na szlak i położył się na grzbiecie konia, z głową wciśniętą w jego grzywę. Lecz wznoszący się szlak odsłonił jego plecy, i Ward, wycelował, mierząc nieco przed konia. Kiedy koń wsunął mu się w celownik, Ward odczekał jeszcze, aż wyprostowana szyja zwierzęcia przemieści się nieco do przodu i skończy się grzywa, a następnie nacisnął spust. Strzał Holly'ego zagrzmiał równocześnie z jego, i Indianin został zmieciony przez dwie kule, z konia na szlak.

Kasztan zatrzymał się natychmiast, a Ward zerwał się, wyskakując ze schronienia. Pobiegł szybko w kierunku leżącego gniadego konia przed sobą. Gniady koń, chwilowo ogłuszony przez kule, miotał się teraz, próbując stanąć na nogi. Ward rzucił się do służącej za wodze liny i złapał ją dokładnie w chwili, gdy koń wyprostował się i stanął dęba.

— Ho, ho — warknął Ward. Zerknął na Holly'ego i zobaczył, że ten ostrożnie zbliża się do rozdygotanego kasztana. Jego własny koń uspokoił

się, szarpiąc ostrożnie wodze. Holly podszedł do kasztana i Ward zobaczył, jak sięga po sznur z włosia. Następnie wyciągnął nóż i uklęknął. Ward usłyszał dwukrotne uderzenie noża, po czym Holly odciągnął konia i zszedł ze ścieżki, chowając nóż do pochwy i omijając leżące na ścieżce ciało Apacza.

W przekrwionych oczach Holly'ego widać było podniecenie. Oznajmił niespokojnie:

— Igramy z naszym szczęściem, synu. Lepiej się stąd wynośmy.

— Dokąd? — spytał sucho Ward.

Holly wspiął się na goły grzbiet kasztana i rzucił z niepokojem:

— Do diabła! Na północ lub zachód. Mamy nad nimi przewagę, nawet jeśli nas usłyszeli, a to raczej niemożliwe.

— Zrobimy zupełnie na odwrót, Holly — stwierdził cicho Ward.

— Na odwrót? — Holly spojrzał na niego, po czym popatrzył przez ramię na Ścianę. — Szlakiem na górę?

Ward wskoczył na kasztanowatego mustanga i potwierdził:

— Z powrotem na górę, Holly.

Przez sekundę Holly patrzył na niego oszołomiony, szczęka mu opadła, a potem odzyskał głos.

— Wyrwaliśmy się stamtąd! — krzyknął. — Chcesz znowu się w to władować?

Ward wyjaśnił ponuro:

— Mam zamiar przejechać sto trzydzieści mil, żeby dotrzeć do Gamble, Holly. Diablito ściągnął całą swoją bandę na południe i wkrótce zjedzie z Ściany. Wtedy ja się na nią wespnę, ruszę prosto na wschód koło podstawy Peak i pozostawię go między mną a nim. Masz własnego konia. Jedź, gdzie chcesz.

Holly tylko na niego popatrzył. Podniósł wzrok na Ścianę, potem na szlak, a potem z powrotem na Warda i cicho jęknął.

Kącik ust Warda lekko się uniósł. Powiedział:

— To długa podróż, Holly, za dziesięć dolarów, długa, długa, podróż.

W ciężkim, cichym popołudniowym upale swojej kwatery młody porucznik Linus Delaney pisał list, próbując bez większego przekonania wysłać go tego wieczora przez posłańca, który, kiedy tylko minie dzienny upał, opuści Fort Gamble i uda się z pocztą do Santa Fe. Był rozebrany do pasa i miał owinięty wokół szyi ręcznik. Co jakiś czas przecierał nim szyję i klatkę piersiową.

Przerywając na chwilę pisanie, uniósł lewą rękę w stronę ogromnej fajki z tykwy, którą palił. Papier, na którym pisał, przykleił się mu do dłoni, a on strząsnął go z gestem obrzydzenia i wstał.

Był młodym mężczyzną średniego wzrostu, gibkim i prostym. Jego krótko przycięte kręcone włosy w kolorze dojrzałego zboża, były ciemne od potu. Niedbale otarł głowę ręcznikiem, otarł szyję, a następnie ostrożnie spróbował pociągnąć z fajki, ale mu się nie udało. Wyjąwszy jej cybuch z ust, rozejrzał się po pokoju. Mały diabelski uśmiech błysnął na

jego szerokich ustach, marszcząc skórę w kącikach oczu, dotykając ich suchą i ulotną wesołością.

Pokój był duży, zajmował całą szerokość budynku. Oprócz dużej szafy na ubrania pośrodku tylnej ściany, po obu stronach drzwi znajdowało się po łóżku, biurku i krześle. Ben Loring, kapitan, a zatem jego przełożony, miał do dyspozycji połowę pokoju z przodu, od strony placu apelowego. Jego własne okno wychodziło na piekarnię i odległe kwatery kwatermistrzowskie.

Porucznik Delaney wyjął ze swojego biurka zapałkę i ostrożnie poluzował wypalony tytoń w fajce, przechadzając się po pokoju. Po stronie Loringa szafy na ubrania, przy jej boku, lśniąc wojskową schludnością, stała para prawie nowych, szytych na miarę butów kawaleryjskich.

Linus wysypał popiół z fajki do prawego buta i potrząsnął butem, aby równomiernie go rozprowadzić, po czym wrócił i usiadł przy biurku. Jego teoria, jak dotąd nieudowodniona, głosiła, że popiół, zwilżony potem, utworzy ług, który będzie dawał dla noszącego but, bardzo nieprzyjemne efekty. A wszystko, co zwiększało dyskomfort tego poważnego arystokraty, kapitana Loringa, było zdaniem porucznika Delaneya zdecydowanie warte wysiłku.

Znów zaczął pisać, kiedy usłyszał pukanie we framugę drzwi, które stały otworem. Zawołał, nie odrywając wzroku od kartki papieru:

— Każdy, kto jest na tyle szalony, by chodzić w tej łaźni parowej, może wejść.

— Pańskie pranie, panie poruczniku — oznajmił kobiecy głos.

Linus poderwał się z krzesła i odwrócił się, by spojrzeć na drzwi. Zaczął sięgać po koszulę, wiszącą na oparciu krzesła, ale jego ręka się zatrzymała.

W drzwiach stała młoda kobieta, z czystym praniem przewieszonym przez rękę. Była ubrana w stonowane szarości, a rękawy miała podwinięte do łokci. Twarz miała pełną i okrągłą, wyglądającą dziwnie dziecinnie z powodu masy ciemnych włosów, które luźno spięte spływały na kark z czubka jej głowy. Ale to, co zatrzymało porucznika Delaneya w stanie zawieszenia, to widok jej twarzy: prawe oko było opuchnięte, zabarwione na czerwony i fioletowy kolor, a na kości policzkowej z drugiej strony twarzy widniał siniak w tym samym kolorze.

Spojrzenie kobiety dotknęło go i uciekło, a Linus powiedział automatycznie, formalnie:

— Proszę wejść, pani Riordan.

Młoda kobieta weszła do pokoju i odwróciła się do łóżka kapitana Loringa. Z pliku przerzuconego przez rękę świeżo wyprasowanego prania, zaczęła wybierać ubrania i układać je na łóżku.

Linus szybko przeszedł przez pokój i zamknął drzwi, a następnie powiedział cicho:

— Spójrz na mnie, Martho.

Kobieta wyprostowała się i odwróciła, by na niego spojrzeć.

Powolny rumieniec gniewu przeniósł się z szyi Linusa na jego twarz, i porucznik powiedział cicho:

— Znowu Tom?

Kobieta skinęła głową.

— Ten pijany pies — Linus rzucił z goryczą. — Co to było tym razem?

— To nigdy nie jest nic szczególnego — odparła cicho Martha Riordan. — Tym razem zaczęło się od pieniędzy.

Linus popatrzył na nią ze złością, zdziwieniem i delikatną prośbą w oczach.

— Proszę, Marto, dlaczego nie odejdziesz od niego? Mam tu pieniądze. Natychmiast. Weźmiesz je?

Martha Riordan pokręciła głową, a Linus szybko powiedział:

— Mogę go wysłać na służbę w pole. Mogę sam poprosić o poprowadzenie patrolu i poprosić o niego, a potem trzymać go z dala przez miesiąc. Do tego czasu możesz być już w domu. Pozwolisz mi?

Dziewczyna powoli pokręciła głową.

— Jesteś zbyt uczciwy. Nie zrobiłbyś tego, nawet gdybym powiedziała „tak", prawda?

— Chyba nie — Linus stwierdził z goryczą. — Nie mógłbym sobie zaufać. Gdybym dostał go pod moje dowództwo, dopilnowałbym, żeby zginął.

Dziewczyna uśmiechnęła się niewyraźnie i wróciła do swojej pracy, a Linus obserwował ją, gniew zniknął z jego twarzy, pozostawiając jedynie uważną czułość. Podszedł do niej i niezręcznie dotknął jej łokcia, a potem się wyprostowała; popatrzył na nią.

— Czy nie ma jakiegoś miejsca, w którym moglibyśmy się spotkać, porozmawiać, a ja pomógłbym ci to jakoś naprawić?

Dziewczyna pokręciła głową.

— Nie ma. A, w każdym razie, nigdy bym się z tobą nie mogła więcej spotkać.

— Gdybyśmy mogli to jakoś załatwić, gdybyśmy mogli pomyśleć o…

Martha Riordan pokręciła głową w przeczeniu.

— To już jest załatwione. Jestem jego żoną, Linusie. Ty jesteś oficerem. Gdyby cię przyłapano na spotkaniu z żoną szeregowego, zostałbyś zwolniony z armii. I co by to dało nam obojgu?

Na to pytanie nie było odpowiedzi i Linus zdawał siebie z tego sprawę, a gdy zastanawiał się nad tym i, co za tym idzie, nad całym sztywnym systemem kastowym w armii, otworzyły się drzwi. Uderzyły go, więc odsunął się, a do pokoju wszedł kapitan Loring.

Loring zatrzymał się w drzwiach i popatrzył krótko na panią Riordan, a potem na Linusa, a jego brązowe oczy lekko się rozszerzyły na widok nagiej górnej części ciała Linusa.

Oznajmił sztywno: „Przepraszam, Linusie" i podreptał w stronę szafy do ubrań. Był dużym mężczyzną, solidnym i wolno się poruszającym; pot poznaczył jego szaroniebieską koszulę wielkimi, wilgotnymi plamami, które spływały mu pod pachami. Jego mięsista pięść trzymała przemoczony czarny kapelusz polowy, a jego szyja nad koszulą była ceglastoczerwona. Końcówki bujnych ciemnych wąsów kapitana pokryte były kropelkami potu, a on spojrzał z boku na panią Riordan, gdy wchodził do pokoju.

— Pańskie pranie, panie kapitanie — powiedziała pani Riordan. — Przepraszam, że o tak późnej porze, ale Shallet jest w szpitalu. — Dodała, niemal defensywnie: — Mam pozwolenie oficera dyżurnego na wejście do kwater.

— W porządku — odparł łagodnie Loring. — Teraz już uciekaj, dobrze?

Pani Riordan położyła resztę prania na łóżku Linusa i wyszła, a Linus, unikając spojrzenia Loringa, wrócił na swoje krzesło. Loring opadł na łóżko ze świszczącym westchnieniem i wsunął ręce między kolana. Linus wiedział, że kapitan był gotów, aby wygłosić lub przyjąć komentarz na temat piekielnej pogody, ale Linus go uprzedził.

— Lepiej, żebyś polubił te wizyty. Od jutra będziesz miał ich pełno.

Usiadł ponownie do listu, a Loring tylko jęknął.

Linus sięgnął po pióro, gdy Loring łagodnie spytał:

— Nie jesteś zbyt ostrożnym człowiekiem, co, Linusie?

Linus odwrócił się do niego, z wyrazem kpiny na twarzy:

— Ciągle się staram, Mój Mistrzu. — Zrobił krótką pauzę. — Co cię teraz trapi?

— Przepisy mówią, że kobiety nie mogą przebywać w kwaterach oficerskich dla kawalerów, z wyjątkiem określonych godzin.

Linus zauważył:

— Słyszałeś, co powiedziała.

— Chętnie zameldowałbym o tym Brierly'emu. Nie jest sprawą oficera dyżurnego, aby oceniać czy nasz ordynans jest chory, czy nie. — W tym miejscu zrobił znaczącą przerwę. — W dodatku te zamknięte drzwi. A także na wpół ubrany.

Linus poczuł, jak jego stłumiony gniew się rozwija; powoli podniósł się na nogi i przeszedł sztywnymi nogami przez pokój, aby skonfrontować się z Loringiem.

— Próbujesz mi coś powiedzieć, mięląc w ustach to wszystko, mój drogi Benie?

— Próbuję powiedzieć, że mężatka praczka w pokoju oficerskim z zamkniętymi drzwiami narusza zarówno regulamin, jak i zasady dobrego wychowania.

— Nic więcej? — spytał cicho Linus.

— A co jeszcze można tu powiedzieć?

— Nic — stwierdził złośliwie Linus. — Ale jeśli tak uważasz i chcesz to powiedzieć, to będę z tobą dyskutował przy pomocy szabel.

Loring popatrzył na niego, a jego usta rozszerzyły się ze zdumienia. Na jego szerokiej, przyjemnej twarzy malowało się szczere zaskoczenie. Zamknął oczy i oznajmił łagodnie:

— Boże, co za pomysł! Czy to gorąco wyżera ci mózg?

Linus spojrzał na niego niepewnie, a potem na jego twarzy pojawił się uśmiech, który w końcu się rozszerzył; nieśmiało podrapał się po głowie, westchnął i powiedział:

— Myślę, że tak…

Podszedł z powrotem do swojego krzesła. Podniósł ręcznik, otarł nim pierś, zwinął go i rzucił na łóżko. Dręczący niepokój, połączony ze złością na siebie, na Loringa, na upał i na paskudną rzeczywistość zwykłego życia,

popchnął go trochę za daleko. Loring leżał teraz na łóżku, z rękoma na oczach. Linus przeszedł koło niego, rzucając na niego okiem, niepewny, czy jego własny gniew nie dał Loringowi powodu, aby naprawdę zacząć się zastanawiać nad obecnością w pokoju pani Riordan. Musiał to wygładzić, sprawić, by cała sprawa wydawała się nieistotna.

Odsuwając nogą krzesło z drogi, podszedł do okna i wyjrzał na spieczony przez słońce plac apelowy. Po drugiej stronie, w głębokim cieniu werandy koszar, rozmawiała garstka żołnierzy. Po ubitej glinie placu przemknął pies, szybko podnosząc nogi; język zwisał mu z pyska, a ogon miał podkulony między nogami.

Linus odwrócił się od okna, ponownie spoglądając na Loringa. Zapytał z wyszukaną uprzejmością:

— Panna Dunnifon była zadowolona z przejażdżki?

— To zabawne. Chyba tak — odpowiedział Loring.

— A ty? — Linus zapytał beztrosko.

— To nie jest moja ulubiona pora dnia.

Ale Linus zdawał sobie sprawę, że to nie pora na drażnienie pompatycznego Loringa, więc przeszedł z powrotem przez pokój i zatrzymał się przed biurkiem. Spojrzał z niesmakiem na swój niedokończony list. Uniósł wzrok w stronę okna i zobaczył dwóch jeźdźców mijających stajnie kwatermistrzostwa, w drodze do zagród. Najpierw popatrzył okiem kawalerzysty na konie i dostrzegł, że to chuderlawe indiańskie mustangi. Następnie zauważył, że jechali na nich bez siodeł, z linką kantara zamiast uzdy, na modłę Apaczów, i to pobudziło jego ciekawość. Pełne rozpoznanie przyszło chwilę później, lecz kiedy już nastąpiło, rzucił się do otwartego okna i krzyknął przez nie:

— Kinsman! Zaczekaj, Ward.

Odwrócił się i zobaczył, że Loring usiadł na łóżku.

— Kinsman? Jest tutaj?

— Na zewnątrz, ze starym Hollym — powiedział Linus, szybko kierując się do drzwi.

Gdy mijał łóżko, Loring rzucił:

— Panie poruczniku, tak bez munduru?

Linus zaklął i wrócił po koszulę, mrucząc sarkastycznie pod nosem:

— Kapitan Regulamin Wojskowy Loring.

Ale Loring już wybiegł z pokoju. Na końcu budynku koszar Linus, wciskając poły swojej niebieskiej koszuli w spodnie, dogonił go i ruszyli w stronę drogi, która biegła między piekarnią a magazynami.

Linus zobaczył, że Kinsman i Holly zatrzymali się. Gdy Ward ich rozpoznał, podał wodze i karabin Holly'emu, zsunął się na ziemię i ruszył w ich stronę, jego chód był powolny, swobodny i pozbawiony wysiłku. Patrząc na niego, Linus poczuł mgliste i nienazwane podniecenie; sam widok tego człowieka przywołał wspomnienia wielu legend garnizonowych.

Kiedy Ward znalazł się blisko, Linus dostrzegł zaskakujący uśmiech pod kępką zarostu na jego twarzy. Ward powiedział: „Witaj, Irlandczyku" i wyciągnął do niego rękę.

Linus roześmiał się i powiedział:

— Boże, wyglądasz jak jakiś latający bez gaci Indianiec.

Kapitan Loring również wyciągnął rękę i powiedział:

— Kinsman, szukaliśmy cię.

Ward obrzucił go pełnym, łagodnym, ironicznym spojrzeniem i odparł:

— Tak słyszałem — po czym krótko uścisnął mu dłoń.

Linus zauważył głębokie zmarszczki od słońca w kącikach oczu Warda; jego kasztanowe włosy urosły w długą grzywę przy uszach i na szyi, a ubranie zmieniło się w łachmany, nawet po połatane mokasyny. *„Był człowiekiem wyczerpanym, steranym lecz nieugiętym, pogodnym i skrytym*", pomyślał Linus; a potem przyjacielska i ciężka powaga Loringa nadała temu spotkaniu swoją nudną rzeczowość.

— Kinsman, czy czegoś potrzebujesz, poza snem? Jeśli nie, zabiorę cię natychmiast do majora.

— W porządku — odparł Ward. Popatrzył na Linusa, jego spojrzenie było jednocześnie ostre i zabarwione humorem wspomnień, a następnie ruszył z Loringiem.

Przecinając plac apelowy w kierunku zbudowanego z cegieł adobe budynku sztabu, który tworzył jeden bok szerokiej wschodniej bramy wartowniczej, Loring powiedział:

— Nie chciałbym cię poganiać, Kinsman, ale to pilne.

Ward tak przypuszczał już wcześniej i nic nie powiedział; weszli do pokoju biura, i przy drzwiach w jego bocznej ścianie Loring skrupulatnie zapukał i został poproszony o wejście.

Loring odsunął się, by go przepuścić, a Ward wszedł w gorący piec pokoju, by stanąć przed majorem Brierlym, który wstał od biurka. Brierly powiedział:

— Jak się masz, Kinsman? — i wyszedł zza biurka, by uścisnąć mu dłoń.

Był to mężczyzna średniego wzrostu, szczupły, o prostokątnej, gładko ogolonej, brzydkiej twarzy, naznaczonej fioletowymi żyłkami. Od siwych brwi w dół jego twarz była mocno opalona przez słońce i wiatry; nad brwiami czoło było białe i zwieńczone siwym zakolem włosów, które zdawały się łączyć parę dużych uszu. Ward wiedział, że major nie był żołnierzem garnizonowym, a kiedy uścisnął mu dłoń, jego szacunek był szczery.

— Kapitanie Loring — polecił Brierly, — proszę przekazać moje wyrazy uszanowania dla panny Dunnifon, i czy mógłby pan ją tu sprowadzić?

Loring wyszedł, a Brierly popatrzył badawczo na Warda.

— Przegapiłeś parę posiłków, co?

Ward skinął głową.

— Holly cię znalazł? Jest razem z tobą?

— Znalazł mnie i Diablito — stwierdził sucho Ward. — Tak, jest ze mną.

Brierly gestem wskazał mu proste krzesło przy bocznej ścianie, a następnie usiadł za biurkiem. Surowość wyraźnie zniknęła z jego bladych oczu, i powiedział:

— Lepiej trochę wyluzuj, zanim zaczniemy. Nie mogłem wysłać tam po ciebie oddziału, bo ludzie tego Małego Diablika zaroiliby się koło niego jak

osy. — Wypowiedział imię Diablito ze spokojną nienawiścią. — Holly wydawał się być solidnym wyborem. Tak?

Ward odparł bez ironii:

— Wygląda na to, że tak. Jestem tutaj.

— Nie lubię wtrącać się w czyjeś sprawy. Nie wtrącałbym się w twoje, gdybym mógł tego uniknąć.

Ktoś zapukał do drzwi, otworzyły się i do pokoju weszła dziewczyna. Ward i Brierly poderwali się na nogi, a Ward zobaczył, że spojrzenie dziewczyny, gdy zatrzymała się za drzwiami, a następnie powoli weszła do pokoju, natychmiast spoczęło na nim z dziwnym i badawczym skupieniem.

— Panno Dunnifon, proszę pozwolić, że przedstawię pani pana Kinsmana — powiedział Brierly. — To człowiek, na którego czekaliśmy.

Dziewczyna podeszła do niego i wyciągnęła rękę. Miała około dwudziestu kilku lat, jak ocenił Ward. Miała czystą oliwkową cerę, a jej włosy były tak czarne, że wydawały się aż bezbarwne. Oczy miała jasnozielone i szeroko otwarte, sprawiające wrażenie niemal zwierzęcej czujności, a wyraz jej twarzy, choć pozbawiony uśmiechu, był uprzejmy i nieśmiały, niemalże ostrożny.

Był świadom dokonanej przez nie szybkiej, bezlitosnej oceny, takiej jak w oczach grzecznego dziecka przyjmującego prezent, które wie, że niezależnie od tego, czy się mu spodoba czy nie, nigdy nie zostanie odrzucony. Jej dłoń była dziwnie chłodna w jego dłoni; powiedziała uprzejmie:

— Dorastałam z panną Kinsman. Wszyscy mówiliśmy do niej „kuzynko” — a potem dodała bardziej formalnie, wciąż bez uśmiechu. — Witam pana.

Ward skinął głową i powiedział cicho:

— Pani.

Major Brierly przemówił zrezygnowanym tonem:

— Pewnie byłoby nam chłodniej, gdybyśmy przenieśli się do stajni. Niestety, nie wyglądałoby to zbyt dobrze, więc proszę usiąść, moja droga.

Loring, który stał przy drzwiach, szybko podszedł do krzesła i przesunął je na miejsce przed biurkiem Brierly’ego. Ward pochwycił szybki, delikatny uśmiech wdzięczności, jakim obdarzyła Loringa, zanim usiadła; zobaczył też czułość, jaką ten uśmiech wywołał na twarzy Loringa, zanim odwrócił się i wyszedł z pokoju.

— Kapitanie Loring, proszę zostać — powiedział Brierly. Popatrzył na dziewczynę i prawie się uśmiechnął. — Myślę, że kapitan Loring jest bardziej niż trochę zainteresowany. Mam rację, moja droga?

Dziewczyna uśmiechnęła się, w wyrazie zgody, a Loring wrócił, by stanąć sztywno obok jej krzesła, gdy Brierly usiadł. Teraz major przemówił do Warda, który obserwował, jak dziewczyna spokojnie poprawia fałdy swojej jasnozielonej sukienki.

— Panna Dunnifon pochodzi z wojskowej rodziny, Kinsman, jest córką pułkownika Dunnifona. To pomoże wyjaśnić część tego, co będzie dalej.

Przez chwilę wpatrywał się w biurko, zbierając myśli.

— Tej wiosny — zaczął, — kiedy Diablito wyrwał się z rezerwatu, zabrał ze sobą dwa małe oddziały wojowników, pamiętasz? Rozdzielili się,

a jeden z nich - oddział Sala Juana - udał się do Meksyku, dokonując po drodze szeregu napadów.

Ward skinął głową.

— To był też dosyć zagmatwany czas, jeśli ponownie sięgniesz pamięcią wstecz. Po drugiej stronie Bowie została zniszczona niewielka karawana wozów i jeszcze mniejsza przy Steen's Peak. I o tę właśnie nam chodzi. To była rządowa grupa badawcza, która nie chciała czekać na eskortę. Słyszałeś o tym, oczywiście.

Ward znów skinął głową.

— Nie słyszałeś pewnie, że była z nimi kobieta.

Ward oznajmił powoli:

— Nie, nie słyszałem.

— Pani Carlyle — wyjaśnił Brierly. — Pan Carlyle był młodszym geodetą, młody chłopak z Ohio, nowy. On i jego żona, oraz jego ludzie, dołączyli do grupy rządowej w Kalifornii. Podróżowali w towarzystwie kilku wozów imigrantów, a gdy zatrzymywali się na posterunkach, Carlyle - zgodnie z umową - podawał swoją żonę za jedną z imigrantek. Oczywiście, zgodne z zasadami, oficjalnie, jego żona nie mogłaby z nimi pojechać. W Bayard karawana Carlyle'a nie czekała na eskortę. Gdzieś za Bayard zepsuł się wóz imigrantów. Carlyle, jego żona i grupa, pojechali dalej, i złapał ich Sal Juan. Zabił wszystkich oprócz pani Carlyle. Wiemy o tym, ponieważ wśród zabitych nie było ciała kobiety. Imigranci, którzy wrócili do Bayard, bali się mówić, gdy usłyszeli o masakrze. Cała sprawa wyszła na jaw dopiero później.

Major Brierly delikatnie podniósł się z krzesła, z powodu gorąca, i znów na nim usiadł.

— Banda Sal Juana udał się do Meksyku i — głos Brierly'ego robił się ironiczny — armia została zatrzymana przez granicę. Zwiadowcy Apacze w Bowie mówią nam teraz, że część bandy Sala Juana przedostała się z powrotem i dołączyła do Diablito. Od Meksykanów dowiedzieliśmy się, że w bandzie była biała kobieta, a teraz nie ma jej już z resztą — przerwał na chwilę. — Czy powinniśmy założyć, że była z grupą, która dołączyła do Diablito?

Ward nie odpowiedział. Obserwował, jak Brierly kiwa głową w stronę dziewczyny.

— Nazwisko panieńskie pani Carlyle brzmi Dunnifon. Mary Dunnifon - siostra Ann.

Zaskoczone spojrzenie Warda przesunęło się na dziewczynę. Przypuszczał, że uważnie go obserwowała, żeby sprawdzić, czy ta historia zrobiła na nim wrażenie. Zrobiła, i to w pewien sposób, w jaki miał nadzieję, że ona go nie zauważy.

Brierly powiedział dalej:

— Chciałem, żebyś tu przybył, Kinsman, żeby cię o coś zapytać. Pierwsze pytanie brzmi, czy uważasz, że możliwe jest wykupienie pani Carlyle od bandy Diablito?

Ward pokręcił głową w natychmiastowym zaprzeczeniu.

— Od każdego innego niż Diablito, być może. Od niego, nie. — Zawahał się, po czym dodał rzeczowym tonem. — Gdyby wiedział, że ona

ma powiązania z armią, że armia pragnie ją uwolnić, odesłałby nam jej głowę w worku.

Popatrzył na Ann Dunnifon, a ona nawet nie drgnęła; jej policzki utraciły trochę swych kolorów, lecz wytrzymała jego spojrzenie. Loring, jak zauważył, wyglądał zarówno na zmartwionego, jak i lekko wzburzonego.

Brierly stwierdził, słysząc jego słowa:

— To potwierdzałoby inne opinie. Teraz drugie pytanie. — Chwycił chusteczkę i otarł czoło. — Jestem upoważniony — zaczął mówić, a potem przerwał i poprawił się, ponurym tonem — Mam rozkazy, aby ustalić miejsce pobytu pani Carlyle. Nie byłem w stanie wykonać tych rozkazów, Kinsman, nie dając Diablito poznać, że go podejrzewamy. Wysłałem ludzi pod białą flagą, aby omówić warunki jego kapitulacji. Nie zauważyli żadnych oznak obecności pani Carlyle. Potajemnie wysłałem zwiadowcę Apacza. Został zabity. Ja… — Przestał mówić i popatrzył na Warda uważnie. — Wróciłeś przeżywszy kilka tygodni na jego ziemi. Czy zgodziłbyś się - lub czy mógłbyś - wrócić tam i zdobyć dowody, których szukamy - potwierdzić obecność lub nieobecność pani Carlyle?

Ward przez chwilę wpatrywał się w swoje dłonie, a następnie popatrzył na Brierly'ego.

— Jeśli to potwierdzę, co zrobicie?

— Po potwierdzeniu obecności pani Carlyle z Diablito mam rozkaz wyruszyć w pole, ścigać Diablito oraz jego bandę, i odesłać ich z powrotem do rezerwatu. — Uśmiechnął się sucho. — Poza tym, po raz trzeci, jestem upoważniony do opłacenia usług przewodnika - ciebie.

Ward przesunął wzrok na dziewczynę i widząc jej wyraz twarzy, pomyślał cierpko: *„Naopowiadali jej niestworzonych rzeczy: mam być prawdziwym magikiem*", a jego spojrzenie powróciło do Brierly'ego. — Czy ta kampania ma na celu uratowanie pani Carlyle, czy zagnanie do rezerwatu Diablito?

— I to, i to. Oficjalnie powrót Diablito jest niezbędnym elementem. Nieoficjalnie Departament Wojny nie zamierza pozwolić, aby córka jednego z ich ulubionych pułkowników trafiła w ręce wrogów.

Ward pokręcił przecząco głową.

— To będzie albo jedno, albo drugie.

— W takim razie chodzi o uratowanie pani Carlyle.

— Czy to robi jakąś różnicę, panie Kinsman? — spytała Ann Dunnifon.

Ward popatrzył na nią spokojnie.

— Jeśli pani siostra, panno Dunnifon, jest z bandą Diablito, to jest niewolnicą. Kiedy Diablito będzie pewien, że ściga go armia, natychmiast zjedzie z Peak i rozpocznie ucieczkę. Kiedy armia zacznie go naciskać, pozwoli na pojmanie swoich kobiet i dzieci. Ale nie niewolników, a zwłaszcza takich niewolników, których rodacy zabijają jego ludzi. Nawet gdyby pani siostra byłaby w stanie poruszać się szybciej niż Apacze, prześcignąć ich w pracy lub na koniu, ostatnim czynem Diablito przed poddaniem się byłoby zabicie jej.

Popatrzył teraz na Brierly'ego.

— Prosicie mnie o zlokalizowanie tej kobiety, co może z dużą pewnością skutkować jej śmiercią. Ja tego nie zrobię.

Wstał, skinął głową i w milczeniu wyszedł z pokoju.

Rozdział 2

Wyciągnięty w fotelu fryzjerskim, z gorącym ręcznikiem na twarzy, Ward leniwie przysłuchiwał się mnogości porannych odgłosów wokół budynku handlarza posterunku. Po jego lewej stronie, przez drzwi do dużego sklepu, wpadały przyciszone głosy żon dwóch wojskowych, dyskutujących o materiale na suknie. Dziwnie było znów słyszeć kobiece głosy; ich dźwięk - melodyjny, czasami wahający się, czasami poganiający, czasami zmieszany z innymi - stanowił dawno już zapomnianą przyjemność. Od czasu do czasu ze sklepu dobiegał szelest, który wkrótce zidentyfikował jako oczekującego klienta, przeglądającego wygniecioną gazetę sprzed miesiąca.

Leniwie pomyślał o nadchodzących dniach. Tutaj był niepotrzebny, ponieważ odrzucił wczoraj ofertę Brierly'ego, a skoro Peak i kopalnia Roufa były dla niego niedostępne, to równie dobrze mógł udać się do Silver City. Na kilka dni, znajomości i interesy zatrzymają go w tym jaskrawym i hałaśliwym miasteczku, a potem wyjedzie stamtąd. To był wystarczająco długi horyzont czasu do zaplanowania.

Po jego prawej ręce, w saloonie, słychać było stłumione szmery głosów. Usłyszał, że rozmowy ucichły, a potem do jego uszu dotarł mocny stukot butów, zbliżający się do salonu fryzjerskiego. Kroki przeszły przez drzwi, zaczęły obchodzić fotel w którym leżał, po czym zatrzymały się.

Poczuł, jak ręcznik delikatnie unosi się z jego twarzy i otworzył oczy. Spoglądał na kwadratowe, uśmiechnięte, poczerniałe od słońca rysy żołnierza z wyblakłymi szewronami sierżanta na rękawie. Sierżant oznajmił:

— Nawet w nowych ciuchach, te mokasyny natychmiast cię zdradzają, stary.

Sierżant wyciągnął twardą od pracy, szorstką dłoń, a Ward ujął ją, mówiąc:

— Mack, myślałem, że twój okres służby się już skończył. A co z tym saloonem w Cincinnati?

Sierżant popatrzył na niego trzeźwo.

— Jest tak, Ward. Potrzeba mi dwóch lat, aby przygotować porucznika do mojego odejścia i bezpiecznego pozostawienia oddziału G w jego rękach. I za każdym razem, gdy kończy mi się okres służby, przysyłają mi nowego porucznika.

Uśmiechnął się i rzucił ręcznik fryzjerowi za fotelem Warda, po czym popatrzył na niego badawczo. Był to mężczyzna o zwartej sylwetce, w swym niebieskim mundurze, czysty i twardy jak żelazo. Smuga humoru w jego oczach łagodziła twardy i trzeźwy wyraz jego twarzy i sprawiała, że

człowiek zastanawiał się, ile odległych bójek przez cztery okresy zaciągu, zostało przez niego wszczętych dla zabawy.

— Mówi się, że do nas wrócisz — zasugerował chytrze sierżant Mack. — Podobno Mały Diabełek znów cię wkurzył.

— Wróciłem, żeby się ogolić, Mack — mruknął Ward.

Popatrzyli na siebie kpiąco, a Ward wiedział, że Mack jest zbyt dobrym żołnierzem, by prosić go o zwierzenia. Mack mrugnął do niego poważnie i pokręcił głową.

— Jeśli wyruszymy w pole, założę się, że będzie to dziś wieczorem.

— Jak to?

Mack skrzywił się.

— Dziś powinien przyjść żołd, pierwszy raz od czterech miesięcy. Po wypłacie, połowa chłopaków jest pijana, a druga połowa ma rozkwaszone głowy i ręce.

Machnął mu niedbale ręką i poszedł dalej, a Ward, po skończonym goleniu, zapłacił i ruszył do sklepu. Jego nowa bawełniana koszula wciąż była sztywna od leżenia na sklepowej półce. Gorąca kąpiel i fryzjer sugerowały świąteczną zabawę, ale gdy wyszedł na długą werandę i poczuł narastający upał dnia, ogarnęło go lekkie przygnębienie Niskie kształty w kolorze ziemi, dalekiego posterunku, rysowały się niewyraźnie w falach gorąca, i przypomniał sobie chłodną samotność Peak. Został tu wezwany w bezsensownej sprawie, przez człowieka o dobrych intencjach, którego przełożeni skazywali na śmierć pewną kobietę. Myśl o tym nie była przyjemna i zszedł po schodkach na pełne słońce, kiwając głową trzem żołnierzom, stojącym w cieniu werandy.

Niewiele miał do roboty do wieczora, kiedy to, po ustąpieniu dziennego upału, wyruszy w drogę. Musiał sprawdzić ranę na szyi swojego indiańskiego pony, odebrać pocztę, wyrównać rachunki z panią Hance, żoną kamerdynera, za pokój i wyżywienie, a reszta dnia zapowiadała się bezczynnie.

Korrale Fortu Gamble znajdowały się na południe od magazynu kwatermistrza. Ward przeszedł między stajnią A, a szopą na paszę i zatrzymał się tam, by uścisnąć dłoń żołnierzowi Ennisowi, z Oddziału I, który, rozebrany do pasa, przesypywał zboże do worków. Następnie podszedł do północnego korralu i położywszy ręce na najwyższej belce ogrodzenia, zatrzymał się, by przyjrzeć się koniom. Z kuźni dobiegał brzęk młota o kowadło.

Ward od razu dostrzegł kasztana Holly'ego; był sam, przechadzał się ostrożnie, lecz spokojnie, po małym kółku, którego obwód nigdy nie stykał się z innymi końmi. One z kolei przyglądały się kasztanowi ostrożnie, a na ich widok Ward się uśmiechnął. Mustang Apaczów, roztaczający wokół siebie aurę dziwnych i przerażających indiańskich zapachów, nie został dobrze przyjęty przez armijne konie.

Rozejrzał się za swoim gniadoszem i nie widząc go, skierował się w stronę Stajni A. Para żołnierzy holowała ambulans, którym manewrowali, aby zabrać go z drogi; trzeci żołnierz, którego Ward rozpoznał, siedział przykucnięty koło stajni, z kapeluszem na kolanie i fajką w ustach. Miał kręcone włosy, rude i krótko przycięte, a ciężkie kości jego dużych ramion

wydawały się niewystarczająco zakryte chudymi i żylastymi mięśniami. Nad podwiniętym rękawem koszuli Ward dostrzegł na wyblakłej od słońca koszuli ciemnoniebieską plamę, na której niegdyś widniały szewrony. Oczy mężczyzny były przekrwione i wyrażały pustą obojętność, gdy Ward zbliżył się do niego.

— Kręcił się tu gdzieś Holly, Riordan? — spytał Ward.

— Nie dziś rano. — Głos żołnierza był melodyjny i miękki.

— Więc nie zabrał mojego konia?

Riordan popatrzył uważnie na swoją fajkę.

— Nie.

— Byłeś tu?

— Tak.

Ward popatrzył na niego w zamyśleniu, po czym powiedział uprzejmie:

— Próbuję się tylko dowiedzieć, gdzie umieścili mojego konia.

— Sprawiał kłopoty — odparł cicho Riordan i popatrzył na niego. — Nie należy do armii, prawda?

— Jest mój.

Riordan burknął mrukliwie:

— Sprawiał kłopoty w korralu, więc go przegnałem. Nie pracuje pan dla nas, nieprawdaż, panie Kinsman?

— Nie.

— Przegnałem go.

Ward przyglądał mu się przez kilka długich sekund, przypominając sobie, co wiedział o tym człowieku. Pod koniec zeszłorocznej kampanii Riordan został awansowany na wolne stanowisko sierżanta. Rekomendował go fakt, że był żonaty i w związku z tym przypuszczalnie stateczny, w połączeniu z jego dobrą historią w polu. Ale patrząc na niego teraz, Ward pomyślał że woda sodowa uderzyła mu do głowy i zastanowił się nad tym. Wezwanemu przez dowódcę cywilowi, zawsze oferowano kwaterę, wyżywienie i stajnię dla konia, jako zwykłą uprzejmość. W takim przypadku największy nawet służbista, kwatermistrz, biorąc pod uwagę ryzyko związane z przybyciem na wezwanie Brierly'ego, nie postąpiłby inaczej. Ward szybko dostrzegł, że Riordan, pozbawiony rangi, zmienił się w zapijaczonego, gburowatego żołnierza, koszarowego pieniacza, który potrafił tylko cytować przepisy w obronie swoich praw i postępowania.

Wiedział też, że jedno słowo skierowane do sierżanta stajennego lub oficera oddziału G skutkowałoby zwrotem mu jego konia, a dla Riordana naganą i karą, lecz długi związek z armią nauczył go unikać tego podejścia, a nawet grożenia nim. Powiedział więc łagodnie:

— Wyjeżdżam dziś wieczorem, Riordan. Przyjdę do tej zagrody po mojego konia.

Riordan tylko spojrzał na niego pusto.

— Naprawdę, przyjdzie pan?

Ward odwrócił się i minął Stajnię A, kierując się w stronę piekarni i poczty, które współdzieliły budynek za placem apelowym. Za stajnią B usłyszał ostre komendy oficera prowadzącego musztrę konną, a z oddali, ze strzelnic, dobiegły go ostre odgłosy ćwiczeń strzałów i ładowania. Były

to znajome odgłosy dobrze funkcjonującego posterunku wojskowego, odgłosy armii dążącej do perfekcji, której nigdy nie osiągała.

Mijając wielkie magazyny kwatermistrzowskie, usłyszał swoje nazwisko i obejrzał się. Porucznik Delaney, stojący w otwartych drzwiach jednej z szop, machnął na niego, zapraszając go do środka.

Kiedy Ward ruszył w kierunku długiej platformy załadunkowej, porucznik Delaney zostawił swojego towarzysza i podszedł do niego. Jego krok był energiczny, beztroski; klepał się po nogach rękawicami, a w oczach widać mu było tłumioną wesołość.

Gdy Ward zbliżył się, Linus przyklęknął na krawędzi platformy i powiedział:

— Jak na człowieka, który musi uważać, bo inaczej dostanie strzałę w plecy, jesteś ślepy jak kamień.

Ward zatrzymał się, czekając na wyjaśnienie tych tajemniczych słów, zaś Linus powiedział:

— Ja przemyślałem sobie drogę z pomieszczenia ordynansów do stajni C i byłem przez całą drogę w cieniu, poza odcinkiem trzydziestu metrów. Dlaczego ty tego nie zrobiłeś?

— Gdybym aż tak bardzo nie cierpiał słońca, nosiłbym ze sobą parasol. Dlaczego ty tego nie robisz?

— Nigdy o tym nie pomyślałem — odparł uroczyście Linus. — Zasugeruję to majorowi. — Uśmiechnął się przez chwilę, po czym powiedział poważnie: — Czy to prawda, że odmówiłeś rządowej pensji?

— Kto ci powiedział? — powoli zapytał Ward.

— Loring dzieli ze mną pokój. — Linus zaśmiał się nagle. — To żadna tajemnica. Gdyby tak było, Loring powinien zacytować sobie odpowiednie punkty regulaminu i kary za ich naruszenie.

Ward skinął głową.

— To prawda, odmówiłem.

— Z jakichś własnych dobrych powodów?

— Spytaj Loringa.

Linus uśmiechnął się szeroko.

— Spytałem. On uważa, że nie są wystarczająco dobre. A jednak, on jest uprzedzony, jak wszyscy lojalni potencjalni mężowie.

Ward pomyślał: *„To dlatego Brierly pozwolił mu zostać”*, a potem zapytał z zaciekawieniem:

— Czy panna Dunnifon też tak uważa?

Linus wzruszył ramionami.

— Trudno powiedzieć. Ale to rozsądna dziewczyna i nie sądzę aby tak było. — Uśmiechnął się słabo. — Loring eskortował ją z Pueblo aż tutaj. Był tak zajęty olśniewaniem jej, że wątpię, czy wie, co ona myśli, jaki rodzaj ciasta lubi i czy nie zmusi go do zgolenia wąsów.

Oficer stojący w drzwiach magazynu zawołał w tym momencie:

— Pobierasz te racje, Linus, czy mam ci dać spleśniały bekon?

Linus wstał, a Ward zapytał:

— Dokąd jedziesz?

— Eskorta płatnika do Craig i zwiad w drodze powrotnej.

— Wokół Peak? — spytał Ward z lekkim niepokojem w głosie.

— Mój Boże, nie — odpowiedział Linus. — Major Brierly chce utrzymać resztę bandy Sal Juana na południu, aby nie dołączyli do Diablito przed rozpoczęciem balu.

— Kiedy wyjeżdżacie?

— Po kolacji, kiedy już się ochłodzi. Pojedziesz z nami?

Ward zawahał się przez chwilę. Jego sprawy były skończone i nic go tu nie trzymało. Craig było zupełnie gdzie indziej, a na szlaku czekało go miłe towarzystwo.

— Jeśli chodzi o Craig, to tak.

— Ale nie na zwiad?

— Nie na zwiad.

Linus wstał.

— Dobrze, do zobaczenia później.

Ward poszedł dalej i zastanawiał się nad niejasnym poczuciem winy w duszy, teraz, gdy zdecydował się odjechać.

Na małej poczcie Ward odebrał swoją pocztę od stojącego za okienkiem kaprala, po czym ponownie skierował się do sklepu dla żołnierzy. Mijając rząd skromnych, jednopokojowych domków z adobe, które stanowiły kwatery żonatych żołnierzy, usłyszał płacz dziecka rozdrażnionego przez upał.

Zobaczył, że weranda przy sklepie opustoszała. Przypuszczał, że wszyscy żołnierze byli na kwaterach, czekając na płatnika. Minął sklep, przeszedł przez ogrodzenie z palików i skręcił w bramę przyległego do posterunku domu. Był to niewielki dom o konstrukcji szkieletowej, wykorzystywany jako hotel i dom gościnny, przez panią Hance, żonę wojskowego handlarza.

Duża topola ocieniała piaszczyste podwórze, a wysokie bzy, o tak intensywnie ciemnozielonych liściach, że wydawały się prawie czarne, osłaniały przed słońcem frontowy ganek.

Ward bezszelestnie wszedł po schodkach na ganek i już miał się skryć w drzwiach wejściowych, gdy usłyszał na ganku ruch i odwrócił się. Ann Dunnifon podniosła się powoli z ławki, na której siedziała, i Ward natychmiast zdjął kapelusz.

— Bałam się, że pan wyjechał, panie Kinsman — powiedziała Ann Dunnifon.

— Dopiero dziś wieczorem.

Ward zauważył, że na twarzy dziewczyny maluje się zaskoczenie, a po chwili zastąpił je słaby uśmiech.

— Nie byłam nawet pewna, czy to pan.

— Moja twarz jest znacznie lepiej widoczna niż wczoraj.

Ann uśmiechnęła się, i po chwili ponownie usiadła kładąc rękę na ławce.

— Czy… mógłby pan ze mną chwilę porozmawiać?

Ward w milczeniu ruszył w stronę ławki, myśląc: Ona spróbuje zmienić moją decyzję, i usiadł, patrząc ukradkiem na dziewczynę. Oparła się plecami o ścianę, a ręce złożyła na kolanach. Twarz miała zarumienioną od gorąca i obserwując ją, Ward pomyślał, że jej pozorny spokój jest złudny. Mocno utrzymywała wszystko w sobie.

Rozpoczęła rozmowę, mówiąc spokojnym tonem:

— Większość ostatniej nocy spędziłam myśląc o tym, co powiedział pan majorowi Brierly'emu. — Popatrzyła mu prosto w oczy. — Jest pan tak bardzo pewien, że ma pan rację. Dlaczego?

— A dlaczego major Brierly mnie wezwał? Powiedział pani?

— Powiedział mi, że zna pan Diablito i Apaczów lepiej niż ktokolwiek inny.

— A pani mu nie wierzy? — zasugerował Ward.

Zawahała się, a potem odparła:

— Nie sądzę, żeby major Brierly, w całym swym życiu, kiedykolwiek intencjonalnie skłamał.

Wardowi nie umknęło określenie „intencjonalnie", uśmiechnął się leciutko i nic nie powiedział.

Ann Dunnifon mówiła dalej:

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Skąd pewność, że Diablito zabiłby Mary, gdyby wiedział, że jest córką wojskowego? Jak mógłby się na to odważyć? Nie może przecież wiecznie szaleć, i w końcu nadejdzie dla niego dzień rozliczenia, prawda?

— Nie. — Głos Warda zabrzmiał sucho. — Nie będzie żadnego rozliczenia, panno Dunnifon. Nigdy nie było. Ucieknie z Peak, a armia ruszy za nim, będzie zabijał, palił i kradł, aż zostanie osaczony. Wtedy zawrze układ.

— Jaki układ? — rzuciła wyzywająco.

— Obieca, że będzie dobrym Indianinem i wróci do rezerwatu ze swoją bandą, jeśli nie zostaną ukarani. I nie zostanie ukarany.

— To już się zdarzało?

Ward skinął głową.

— Armia będzie miała go dość, kościoły będą wyć, gazety besztać, a Biuro do spraw Indian będzie się nad nim trzęsło. — Wzruszył ramionami. — Każdy z nich chce tylko zmienić go w pokojowo żyjącego Indianina z rezerwatu.

— I wybaczą mu jego zbrodnie?

— Tak. — Spojrzał na nią ukradkiem i łagodnie stwierdził: — Może to pani potwierdzić, rozmawiając z mężczyznami, którzy kąpią się regularnie, panno Dunnifon.

Rumieniec, który pojawił się na jej policzkach, był niewątpliwy, lecz spojrzenie, jakim go obdarzyła, było dziwnie pozbawione wstydu, jakby musiała doszukiwać się znaczenia każdego jego słowa, intonacji i gestu.

Powiedziała więc:

— Chyba… przyszłam się tu pokłócić. — Zawahała się, po czym mówiła dalej: — Widzi pan, wychowałam się na zachodnich posterunkach. Kiedy major Brierly powiedział, że jest pan przewodnikiem, przypomniałam sobie tych, których kiedyś znałam - brudnych, dziwnie pachnących ludzi w jelenich skórach, którzy opowiadali nam wspaniałe kłamstwa i zawsze byli niewiarygodni. Wczoraj wyglądał pan jak jeden z nich.

Spuściła wzrok, spoglądając na swoje złożone dłonie i mruknęła:

— Teraz nie jestem tego już taka pewna.

Ward nie skomentował tych słów w żaden sposób. Spojrzał w dal, na równiny, i właśnie zobaczył, jak pierwszy z żołnierzy wyskakuje ze wschodniej bramy wartowniczej, i pomyślał: „*Płatnik przyjechał*".

Z zamyślenia wyrwał go głos Ann Dunnifon:

— Czy to pański biznes… lub zawód? Jak pan to nazywa?

— Nigdy tego tak nie nazywałem — odparł Ward z wyraźną obojętnością.

— Bierze pan żołd od armii za prowadzenie kampanii?

— Tak.

— W takim razie musi pan znać ten kraj, a jeśli go pan zna, to spędził pan w nim trochę czasu. — Uśmiechnęła się przyjaźnie. — Więc jeśli spędził pan w nim dużo czasu, musiało to mieć jakieś swoje powody - co w ogóle nie jest moją sprawą; i oboje będziemy udawać, że nie jestem ciekawa - co również jest kłamstwem.

Ward popatrzył na nią z lekkim zdumieniem, a ona pokręciła głową, jakby do siebie, odwróciła wzrok i powiedziała cicho:

— Chyba nie tędy droga.

Potem gwałtownie odwróciła się do niego i obrzucili się nawzajem ostrożnymi spojrzeniami. Ward pomyślał: „*Teraz się zacznie*", dokładnie w chwili, kiedy dziewczyna oznajmiła z nagłą pasją:

— Czy nie widzi pan, co próbuję powiedzieć? Uznał pan w swojej duszy, że moja siostra skazana jest na śmierć. Nikt inny tego nie zrobił. Ale dlaczego mam wierzyć, że ma pan rację? Dlaczego powinnam w to uwierzyć?

— Zaczynając od Diablito — wyjaśnił łagodnie Ward. — Co pani o nim wie?

— Zaczynając od pana — zaripostowała Ann Dunnifon. — Co ja wiem o panu?

Ward oparł łokcie na kolanach i nie patrząc na nią, powiedział:

— Mam niezłą sumkę na koncie w banku, panno Dunnifon, posiadam większościowe udziały w bardzo dochodowej linii transportowej biegnącej z Silver City do kopalni. Po kilku tygodniach oczytania mógłbym zostać przyjęty do Territorial Bar. Ja…

— Nie to mam na myśli i dobrze pan o tym wie — stwierdziła cierpko Ann Dunnifon.

Ward jednak nawet na nią nie spojrzał. Kontynuował tym samym tonem.

— Niech będzie. Lubię samotność. Jestem ciekaw co jest po drugiej stronie każdego wzgórza, które zobaczę. Lubię pracę fizyczną… co jest luksusem, na który mogą sobie pozwolić tylko biedni ludzie. Lubię sposób życia Apaczów i myślę, że właśnie w taki sposób człowiek powinien żyć. Lubię sosnowy las bardziej niż jakikolwiek pokój, w którym byłem. Lubię moich rodaków pojedynczo, ale nie w stadach, i jest mi zupełnie obojętne, co ktoś o mnie myśli — popatrzył na nią — w tym również i pani.

Ann wytrzymała jego spojrzenie i powiedziała niezrażona:

— Teraz może pan zacząć od Diablito.

Hałas z baru był ledwie słyszalny. Kolejka żołnierzy, parami i trójkami, przepychała się w stronę kontuaru, jak widział Ward. Po chwili Ann spytała:

— Czy on naprawdę jest mały? Jego imię to sugeruje.

Ward skinął głową.

— Jest niewielkich rozmiarów.

— Czy jest słabowity lub chory?

— Tylko na umyśle — odpowiedział powoli Ward. — Apacze są tradycyjnie okrutni dla swoich wrogów, lecz okrucieństwo Diablito szokuje nawet ich. Gardzą nim i boją się go. To urodzony przywódca, który oszalał na punkcie zła.

— Przywódca? — spytała zdziwiona Ann.

— Szumowin, swojego pokroju. Jest dobrym wojownikiem, przebiegłym i upartym, pozbawionym cienia litości.

— Co do Mary — zastanowiła się Ann miękkim, smutnym głosem. Mimowolnie zadrżała. — Co oni jej zrobią?

— Będzie pracować. Kobiety mogą ją uderzyć, ale poza tym nic jej się nie stanie.

Ann popatrzyła na niego pytająco.

— Dopóki będą myśleć, że nie chcemy jej uwolnić.

Ward skinął głową i zmarszczył brwi.

— Diablito już tego dopilnuje. Jeśli to on ją ma, będzie miał w ręku coś, czego do końca nie rozumie. Zabijał wiele białych kobiet podczas najazdów, ale wzięcie którejś z nich na niewolnicę, to co innego. — Przerwał i dodał jeszcze ciszej: — Jeśli to on ją ma.

— A jeśli nie, to gdzie ona może być?

— Martwa. W Meksyku, tutaj, gdziekolwiek, na setkach szlaków.

Odgłos pośpiesznych kroków sprawił, że oboje unieśli wzrok. Zobaczyli kapitana Loringa wychodzącego przez bramę; gdy popatrzył w górę i ich zobaczył, zwolnił tempa, ale grymas na jego twarzy pozostał.

— Ann, nie powinnaś była tu przychodzić — powiedział poważnie Loring. Zdjął kapelusz i skinął krótko głową Wardowi, po czym popatrzył z powrotem na dziewczynę. — Placówka obozowego handlarza, to nie miejsce dla dziewczyny w dniu wypłaty.

Ann Dunnifon wstała i odparła spokojnie:

— Przepraszam, Ben. Zamierzałam wrócić przed przybyciem płatnika. — Odwróciła się do Warda i wyciągnęła rękę. — Dziękuję, że odpowiedział pan na moje pytania… nawet te impertynenckie.

Ward w milczeniu uścisnął jej dłoń. W jej zielonych oczach dziewczyny dostrzegł lekką figlarność, niemalże potwierdzenie przyjaznej konspiracji, i dotknął ręką kapelusza.

Loring wyciągnął rękę i Ann ją przyjęła, a Loring ponownie skinął głową Wardowi, gdy schodzili po schodkach.

— Nie powinnaś była tego robić, Ann. Niektórzy z tych ludzi wariują od alkoholu. To niebezpieczne.

Ann obrzuciła go ukradkiem wzrokiem i powiedziała łagodnie:

— Czy upijają się mocniej niż inni mężczyźni?

Loring uśmiechnął się słabo pod wąsami i przyjął reprymendę. Następnie zapytał:

— Czego mogłaś chcieć od Kinsmana? Więcej ponuractw?

— Dostałam więcej — stwierdziła trzeźwo Ann.

— Nie wierzę w jego nieomylność.

— Ja też nie, ale on wydaje się pewny tego co mówi. — Zawahała się, po czym zapytała: — Czy wie dostatecznie dużo, żeby być pewnym?

Loring delikatnie zadrwił.

— Widziałem wystarczająco wielu przewodników, by ich dobrze poznać. Są bardziej Indianami niż białymi i stoi za nimi rządek indiańskich żon. Są brudni, niegodni zaufania — nie zauważył słabego uśmiechu Ann — łgarze i próżniacy, a interesuje ich tylko przedłużenie kampanii, by otrzymać wyższą zapłatę.

— Jak Kinsman? — zapytała chytrze Ann.

— Nie wątpię, że zachowuje się skromnie — odparł zgodnie z oczekiwaniem Loring. — Jeśli major podniesie mu żołd, zmieni zdanie.

Ann znów się uśmiechnęła, niemal skrycie.

Spośród rzędu rozgadanych kobiet, stojących przy drewnianych umywalkach w pralni, tego ranka milczała tylko Martha Riordan. Perspektywa pierwszej od czterech miesięcy pensji dla mężów tych kobiet, ożywiła rozmowy, planowanie, ulgę; oznaczała dobre czasy z drobnymi zakupami i wnosiła kolor do ich trudnego życia na pograniczu.

Pani Schermerhorn, żona szeregowca Schermerhorna z oddziału G, zajmowała umywalkę obok Marthy. Była tęgą kobietą o pokaźnej posturze, gadatliwą i jednocześnie taktowną. Wyprostowała się teraz w parującym upale i popatrzyła na Marthę.

— Gdybym była złą kobietą, poczekałabym tydzień, żeby zadać się z Hance'em — oświadczyła.

— Jego żona by tego nie zniosła — zauważyła Martha z roztargnieniem.

— Zrobiłabym to, bo ona martwi się, że Hance sypia gdzieś poza domem, dopiero gdy wyciągnie połowę żołdu od Freda.

Bieda pani Hance była ulubionym tematem rozmów między żonami żołnierzy, ale tego ranka Martha nie miała ochoty na żarty. Wciąż spoglądała w okno nad parującymi wannami, pracując wytrwale nad przemoczonymi, namydlonymi ubraniami przed sobą.

Kiedy zobaczyła młodego Andy'ego Fergusona schodzącego ze wzgórza i mijającego pralnię w drodze do domu, wyprostowała się, opłukała ręce i podeszła do drzwi.

— Kto pierwszy dostał żołd, Andy? — zawołała.

— Ja, pani Riordan.

Martha, wycierając ręce w fartuch, podziękowała mu i wyszła na słońce, skręcając pod górę. Przez chwilę było jej chłodno, ponieważ słońce wyciągnęło wilgoć z jej sukienki i włosów. Mijając okno pralni, zdawała sobie sprawę, że kobiety dyskutują o jej sprawie i być może współczują jej, ale obecnie była już obojętna na ich plotki. Nie była dziś jedyną

kobietą, która miała nadzieję, zwykle bezpodstawną, że uda jej się dotrzeć do męża, zanim jego skromna pensja zostanie wydana w saloonie Hance'a.

Przy wschodniej bramie wartowniczej kręciło się kilka grup żołnierzy; Martha znalazła miejsce w cieniu, przyłożyła rękę do ściany i dopiero wtedy przypomniała sobie o odwinięciu rękawów i zdjęciu fartucha.

Czekała w ten sposób przez kilka minut, do czasu gdy na zewnątrz pojawiła się trójka żołnierzy, kierujących się bezpośrednio do obozowego handlarza. Tom Riordan był o głowę wyższy niż jego dwaj towarzysze, i widziała, jak odrzuca głowę do tyłu i śmieje się z jakiegoś żartu. Pomyślała z dziwnie łagodną świadomością: *„Picie w perspektywie i od razu czuje się dobrze*"; zebrała się więc w sobie, wyprostowała i zawołała:

— Tomie! Tomie Riordan!

Riordan zatrzymał się, obejrzał i zobaczył ją, a potem powiedział coś do swoich dwóch towarzyszy, którzy szli dalej w zwolnionym tempie.

Kiedy podchodził do niej, Martha zobaczyła, że nie pozostały w nim nawet resztki dobrego humoru; jego przystojna twarz pokryła się surowością; widok jej posiniaczonej twarzy wywołał u niego wstyd, który, jak wiedziała Martha, tylko jeszcze mocniej go rozgniewał. Po chwili zatrzymał się i powiedział:

— Zdaje się, że mówiłem ci, żebyś tego nie robiła.

— Obiecałeś, że przestaniesz, Tom.

— Byłem właśnie w drodze, żeby rozliczyć się z Hance'em — oznajmił ponuro Tom.

Nie patrzył na nią, a Martha wiedziała, że to kłamstwo, ale szybko powiedziała:

— Och, Tom, pozwól że ja to zrobię. Stracisz przy nim panowanie nad sobą, a potem zajmie mi całe tygodnie, żeby to załagodzić.

— Niech go diabli! — warknął Riordan. — Nie potrzebujemy tych jego śmieci.

— Ależ potrzebujemy — upierała się Martha. — Proszę cię, ja pójdę się z nim rozliczyć.

Tom popatrzył na nią z gniewem zmieszanym ze wstydem. Marta wiedziała, że pozostała jej jeszcze tylko jedna rzecz, jaką mogła zrobić, a mianowicie wyciągnięcie ręki oraz twarde żądanie. Zrezygnowała jednak z tego i patrzyła na męża w cierpliwym milczeniu.

W końcu Riordan sięgnął do kieszeni i wyciągnął garść złotych monet, którymi zapłaciła mu armia. Martha wiedziała, że była to żałośnie mała kwota i przez chwilę podzielała jego czarną i beznadziejną gorycz, gdy trzymał je w swojej szorstkiej dłoni i kontemplował.

Dał jej kilka monet, ale to nie wystarczało i patrząc na nie, szybko zdecydowała, że pogodzi się z porażką w tej sprawie, aby odnieść zwycięstwo w drugiej. Powiedziała więc cicho:

— I pieniądze na paczkę, Tom.

— Następnym razem — odparł Riordan.

Martha pokręciła głową:

— Och, Tom, a co jeśli znowu miną cztery miesiące? Tak długo tego nie przetrzymają.

— Wtedy nie będziesz miała nowej sukienki, to wszystko — rzucił szorstko Tom. — Nie możesz bawić się w damę oficerską, za moją pensję, czy muszę ci to powtarzać?

— Nie, Tom — odparła Martha cicho, potulnie.

— I nie pozwolę, żebyś znowu na mnie naskakiwała, zanim jeszcze mój żołd nie znajdzie się w mojej kieszeni — oznajmił cienko. — W rodzinie jest tylko jedna para spodni i jedna halka, więc lepiej naucz się, co pasuje na ciebie. — Zrobił pauzę. — Czy mam ci to pokazać po raz kolejny?

Martha włożyła monety do kieszeni sukienki, uśmiechnęła się i pokręciła głową.

— Wracam, Tom, muszę zrobić kolację.

Riordan nic nie powiedział. Odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem w stronę swoich towarzyszy, z wyprostowanymi ramionami, robiąc długie kroki, które w upale wzbijały z ziemi drobinki kurzu, a jego czarna, uparta duma powiewała nad nim niemalże jak flaga.

Martha wycofała się w cień i przez chwilę rozkoszowała się jego chłodem, po czym ruszyła z powrotem w stronę pralni. Przypuszczała, że odniosła pewnego rodzaju zwycięstwo, ponieważ zdobyła część jego żołdu, niewielką kwotę, która pozwoli na wstrzymanie egzekucji ich chwiejnego kredytu u Hance'a. Sukienka, za którą nie mogła zapłacić, będzie musiała poczekać, ale była do tego przyzwyczajona i zaakceptowała to z filozoficznym spokojem.

W pralni znów pracowała z determinacją, aby skończyć pranie, zanim ogień w piecu wygaśnie i pozostanie jej tylko letnia woda.

Po rozwieszeniu ubrań ruszyła z powrotem w kierunku szeregu żołnierskich domków, do jednopokojowego domku z adobe, który był jej domem. Mijając Ringgoldów, usłyszała zrzędzenie żony szeregowego Ringgolda i przyśpieszyła kroku.

Weszła do domu i zatrzymała się na chwilę tuż za drzwiami. Było tu chłodno, a ona rozejrzała się po prostym, czystym pokoju z ciepłym uczuciem posiadania. Podeszła do łóżka w przeciwległym kącie, opadła na nie i wyciągnęła się, odpoczywając przez chwilę. Wiedziała, że Tom nie wróci na kolację. Wróci, o którejś godzinie popołudniu, przepiwszy wypłatę, kłótliwy, zły i przesiąknięty tanią whisky Hance'a. Jeśli dobrze to rozplanuje, może wtedy będzie prasować lub, jeszcze lepiej, dostarczać pranie na posterunek, a kiedy wróci do domu, on już będzie spał.

Przypomniała sobie wtedy, z uczuciem dojmującej czułości, wczorajszy gniew Linusa na widok jej posiniaczonej twarzy. To nie było pełne obojętności współczucie dla żony innego mężczyzny; to było gorące oburzenie kochanka, brata lub jakiegokolwiek innego przyzwoitego człowieka, pomyślała. Przez chwilę gorycz jej ponurego, pozbawionego miłości życia, przytłoczyła ją z pełną siłą. Pokręciła głową i usiadła, jej ładna twarz wyrażała upartą złość na samą siebie. Wiedziała, że wszystko można znieść, dopóki człowiek nie zacznie litować się nad samym sobą. Podeszła do szafki, otworzyła ją i w tym samym momencie usłyszała kroki na ubitym podwórku z gliny. Ktoś zapukał do framugi drzwi i zawołała:

— Proszę — po czym odwróciła się do drzwi.

Porucznik Linus Delaney, z owiniętą w wyblakłą niebieską koszulę paczką prania pod pachą, wszedł w drzwi, zdjął kapelusz i przywitał się:

— Dzień dobry, Martho.

Martha Riordan stała zupełnie bez ruchu, z ręką uniesioną w stronę szafki. Potem jej ramię powoli opadło i, ignorując jego powitanie, powiedziała:

— Nie powinieneś tu przychodzić, Linusie.

— A dlaczego by nie? — spytał Linus. — Wyruszam dziś wieczorem i chciałbym po powrocie mieć czystą koszulę.

Martha nie uśmiechnęła się; podeszła do niego, wzięła pranie z jego rąk i położyła je na stole.

— Czy mogę usiąść? — spytał Linus.

— Wolałabym… wolałabym, żebyś tego nie robił.

Linus popatrzył na nią badawczo, a następnie podszedł do łóżka, rzucił na nie kapelusz i usiadł. Splótł palce, oparł łokcie na kolanach i oznajmił łagodnie:

— To musi w końcu się stać, Martho. Dlaczego z tym walczysz?

— Bo to nie przyniesie niczego dobrego — powiedziała Martha cichym głosem. — Możemy tak rozmawiać przez cały rok, Linus, ale nic się nie zmieniło. Powiedzieliśmy sobie już wszystko, co można było powiedzieć.

— Czy przemyślałaś moją ofertę?

— Nie, nigdy nie mówiłam, że to zrobię.

— On jest już pijany, nieprawdaż?

Martha krzywo się uśmiechnęła.

— Powiedziałabym, że jeszcze nie. Nabrał całkiem sporej sprawności w piciu.

Na szczupłej twarzy Linusa powoli pojawił się uśmiech.

— Jako Irlandczykowi, nie podoba mi się to. Wszyscy urodziliśmy się z pewnymi zdolnościami.

Martha uśmiechnęła się tylko lekko, a Linus poważnie stwierdził:

— Stworzono cię, żebyś się śmiała i dobrze bawiła, ale wszystko co widzę na twojej twarzy, to tylko ten półuśmiech.

— To więcej, niż widzi ktokolwiek inny, Linusie.

Wyraz niedoli przemknął po twarzy Linusa i zaczął ją przekonywać niskim, pełnym goryczy głosem:

— Na litość boską. Marto, nie ciągnij tego dalej! Nie do tego zostałaś stworzona. Nie zależy mi aż tak bardzo na sobie. Rozumiem, dlaczego nie chcesz się z nim rozwieść i wyjść za mnie, i szanuję to. Ale nie mogę zrozumieć, dlaczego z nim zostajesz. Czy w kontrakcie małżeńskim jest coś, co tego wymaga?

— Wszystko w nim tego wymaga, Linusie.

Linus jęknął i podniósł się, zawahał się tylko przez chwilę, po czym przeszedł przez pokój i wziął ją w ramiona. Pocałował ją gwałtownie, a ona się poddała, lecz nie odpowiadając. Linus odsunął się od niej, trzymając ją za ręce, i popatrzył głęboko i chciwie w jej oczy.

— Obiecałem, że już tego nie zrobię, prawda?

— Tak — wyszeptała Martha.

Niepohamowana wesołość wkradła się w ponury nastrój Linusa i zauważył:

— Ale ci się podobało?

— Och, Linusie, nie dręcz mnie — zawołała Martha przyciszonym głosem.

W jednej chwili Linus znów otrzeźwiał.

— Jestem cholernym psem — oznajmił żałośnie — ale co człowiek ma zrobić, kiedy kocha kobietę?

— To — wyszeptała Martha, obserwując go.

To Linus jako pierwszy usłyszał kroki. Natychmiast jego ręce opadły z ramion Marthy, szybko się odwrócił, podszedł do łóżka i podniósł kapelusz. Mówił normalnym głosem:

— Och, Doc Horton nie uważa, żeby to było coś poważnego. Shallet na ostatnim zwiadzie, przez długi czas jadł wyłącznie koninę, i chyba było to dla niego za dużo, po regularnej diecie wojskowej.

Przerwał swoją kwestię, kiedy w drzwiach pojawiła się jakaś postać. To był Riordan, który położył obie ręce na framudze drzwi, żeby się przytrzymać i wszedł do środka. Przez chwilę spoglądał ze zmrużonymi oczyma na Marthę, a potem przeniósł wzrok na Linusa; moment zajęło mu skupienie wzroku, a Linus powiedział spokojnie:

— Witaj, Riordan.

Riordan wyprostował się, jakby chciał stanąć na baczność, ale potem się rozmyślił. Powiedział:

— Porucznik Delaney. Jak się pan ma, panie poruczniku? — głosem gęstym od whisky i przepełnionym ironią.

— Powinienem wrócić za kilka dni, pani Riordan, więc nie ma pośpiechu — oznajmił Linus rzeczowo. — Shallet do tego czasu będzie już na nogach i wszystkim się zajmie. Proszę mu to przekazać.

Lekko się skłonił i odwrócił w stronę drzwi. Patrząc Riordanowi prosto w twarz, powiedział poważnie:

— Gorący dzień dzisiaj mamy, prawda? — i minął go, mówiąc radośnie: — Do widzenia.

Riordan nie odpowiedział na jego słowa. Patrzył, jak Delaney zakłada na dworze kapelusz i żwawo znika z pola widzenia. Następnie Riordan powoli się obrócił, opierając się o framugę drzwi.

— Więc teraz masz na zawołanie oficerów?

Martha odpowiedziała obojętnie:

— Przynajmniej jednego z nich, który nie wstydzi się, że widzi się go z praniem pod pachą.

— Co on tu robi? — spytał Riordan.

Martha niedbale wskazała na zawiniątko na stole.

— Jego ordynans jest w szpitalu.

Riordan przemyślał to z ostrożną, pijacką koncentracją, a następnie stwierdził:

— Czy ordynans jest jedynym szeregowym, który może przynieść pranie?

— Nie wiem, Tom — ze znużeniem odpowiedziała Martha.

— Co on tu robił? — powtórzył Riordan.

— Mówiłam ci! — rzuciła Martha ze złością.

Riordan odepchnął się od drzwi, rzucając się ku niej. Martha szybko umknęła za stół, a Riordan wpadł na mebel z taką siłą, że jego nogi wyżłobiły bruzdy w ubitej ziemi.

— Więc nawet w domu muszę znosić obecność oficerów!

Martha cofnęła się do pieca i sięgnęła po żeliwną patelnię, która na nim stała. Gdy już ją miała w dłoni, powiedziała cicho:

— Nie będziesz mnie już więcej bił, Tom. Nie zniosę tego dłużej, słyszysz?

Riordan, opierając obie ręce na stole, uważnie ją obserwował i nie był w stanie ukryć zaskoczenia na twarzy, wywołanego jej buntem. Przez pół minuty patrzyli na siebie, zaś spojrzenie Marthy było nieugięte.

Riordan powoli się wyprostował i zatoczył się na nogach. Wsunął wielką dłoń do kieszeni i wyciągnął z niej kilka złotych monet. Otworzył dłoń i wepchnął monety Marthcie.

— Trochę szczęścia w pokerze — oznajmił szorstko. — Wystarczy na sukienkę i jeszcze parę rzeczy. Wracam do domu, żeby dać ci te pieniądze, i znajduję cię, w wielkiej poufałości z oficerem.

— To nieprawda, Tom! — zaprzeczyła gorąco Martha.

Jej twarz mocno się zaczerwieniła, a ona sama próbowała wytrzymać spojrzenie męża i ku swemu zaskoczeniu nie mogła.

— Ty kłamczucho! — cisnął jej w twarz z goryczą Riordan.

A potem, z gwałtownym szarpnięciem, przewrócił stół na bok i rzucił się na Marthę z wyciągniętymi rękoma.

Martha zamachnęła się na oślep patelnią, opuszczając ją z ukosa na dłonie Riordana. Cios wytrącił jej męża z równowagi i powalił go na kolana. W tym momencie Martha przebiegła obok niego i pomknęła do drzwi.

Na zewnątrz, w jasnym słońcu, w połowie drogi między jej domem a tym, który stał naprzeciwko niego, po drugiej stronie ulicy z ubitej gliny, zatrzymała się i czekała, odwrócona w stronę domu. Nagle zdała sobie sprawę, że ciągle trzyma w dłoniach patelnię, i ogarnęło ją okropne zażenowanie.

Wkrótce Tom pojawił się w drzwiach. Trzymał się za prawy nadgarstek i stanął w otwartych drzwiach, z ogłupiałymi i niewidzącymi oczyma. Poczyniony wysiłek, uderzenie Marthy i jego upadek, w połączeniu z whisky, wywołały w nim jeszcze większe oszołomienie. Opierając się o framugę drzwi, rozglądał się dokoła, w końcu zobaczył Marthę, przyglądał jej się przez chwilę, a następnie rzucił w jej stronę przekleństwo, powolnym, ochrypłym głosem.

Zrobiwszy to, wyszedł przez drzwi, zatoczył się, upadł, pozbierał się ponownie na nogi i skręcił w ulicę, idąc w stronę sklepu dla żołnierzy.

Martha spoglądała przez chwilę za nim, z pełnym goryczy upokorzeniem, a następnie powoli wróciła do domu. Postawiła patelnię na piecu tak delikatnie, jakby była ze szkła, a następnie powoli odwróciła się, aby popatrzeć na pokój. Wstyd tkwił w niej nadal, palące, mdłe uczucie upokorzenia. To, pomyślała, było najgorsza rzecz w jej życiu. Zawsze wcześniej starała się zachować choćby powierzchowny szacunek dla samej

siebie i prezentować światu przyzwoitą fasadę. *„Nawet to już się rozsypało*", pomyślała z goryczą, *„nie jestem lepsza od tego śmiecia, którego poślubiłam*".

Zabrała się do doprowadzeniu do porządku pokoju, lecz wspomnienie tej kłótni pozostało boleśnie żywe. Gdyby mu się nie sprzeciwiła, mogłoby się to skończyć na jednym kuksańcu z jego strony. To jego podejrzliwość wobec niej sprawiła, że dalsza potulność stała się nie do zniesienia - a w dodatku było to podejrzenie, które miało pewne podstawy. Pozwoliła innemu mężczyźnie się pocałować, sprawiało jej to nawet przyjemność, a mimo to zachowała się wobec męża jak ladacznica, kiedy ją o to podejrzewał. Cała ta sprawa była obrzydliwa, nędzna i tandetna, i była to jej wina.

A potem naszło ją kolejne wspomnienie, niechciane i nienawistne - wspomnienie powodu powrotu Toma do domu. Choć pijany, wrócił, żeby dać jej pieniądze na sukienkę, podczas gdy ona była w ramionach innego mężczyzny. Jej poczucie winy stało się wtedy niemal nie do zniesienia, podeszła do łóżka i usiadła na jego krawędzi, ciężko jak drewniana kłoda. Może byłby to dzień, który zmieniłby ich życie; może Tom, pokazując przez swój prezent, że ją kocha, zaczerpnąłby głęboką siłę z jej uznania dla jego daru. Widząc ją szczęśliwą, zadowoloną i nieskarżącą się, mógłby odrzucić stare życie i podążyć w stronę nowego. Lecz ta chwila też już minęła.

Siedziała tam bez ruchu, przerażona poczuciem winy, które stało się jej udziałem.

Kolacja w mesie oficerskiej, wydana zarówno na cześć kapitana Harcourta, płatnika, jak i na cześć tego, co jego wóz przywiózł w żelaznej skrzyni, nieco przycichła. Ward wyszedł na werandę i zastał tam doktora Hortona i porucznika Storrowa. Horton, gruby, siwiejący i pogodny mężczyzna, mruknął na widok Warda.

— Kolejny człowiek, który pierwsze co robi, to bierze do ręki papierosa i nie wyjdzie z pokoju, żeby go wypalić.

— Powietrze w środku zrobiło się gęste, to prawda — zgodził się Ward.

— Powodem nie jest dym z papierosów, lecz to, co ten upał robi z człowiekiem pijącym whisky — poskarżył się Storrow. — Mam dziś apel, Boże, pomóż mi. Powiedzmy, że wezmę to co mi wyjdzie z wyliczeń, i podzielę to przez trzy, to chyba wyjdzie mi mniej więcej dobrze?

Ward uśmiechnął się, patrząc w dal przez ciemny plac apelowy. W koszarach naprzeciwko płonęły lampy, a trzech żołnierzy ruszyło w stronę stajni. Tego wieczora wypito za dużo whisky oraz wina, i musiał trochę przewietrzyć głowę. Ponieważ do przygotowania do capstrzyku, sygnału do odjazdu eskorty do Craig, pozostało kilka minut, wyszedł na żwirową ścieżkę i skręcił, by powoli okrążyć plac apelowy. Przez podeszwy butów czuł słabnący upał dnia. Z oddalonego punktu handlowego dla żołnierzy, dobiegł do niego ciągły gwar, który oznajmiał świętowanie wojaków.

Zawrócił w dalszym rogu placu apelowego i podszedł do werandy kwatery dowódcy. Trawnik wielkości chusteczki, pachnący podlaną trawą,

wyróżniał go spośród innych budynków z adobe. Rzuciwszy okiem na werandę, Ward zobaczył siedzącą tam kobietę i dopiero po pewnym czasie zdał sobie sprawę, że to musi być Ann Dunnifon. Podniósł rękę, aby dotknąć kapelusza, gdy przypomniał sobie, że przecież nie ma kapelusza.

Jednak ona zobaczyła go i rzuciła uprzejme pozdrowienie:

— Dobry wieczór, panie Kinsman.

Ward zatrzymał się i odparł:

— Wieczór jest całkiem dobry, nieprawdaż?

— Zabawiam się starą grą w liczenie gwiazd — poinformowała go Ann Dunnifon. — Co tam jest po bilionie?

— Piętnaście, zdaje się — oznajmił poważnie Ward i usłyszał jej cichy śmiech.

Skręcił na chodnik, wszedł po schodkach i usiadł na najwyższym. Ann Dunnifon siedziała w bujanym fotelu, skrzyżowawszy nogi; teraz je rozprostowała, wygładziła spódnicę i powiedziała cicho:

— Z dobiegających do mnie odgłosów wydawało się, że kapitan Harcourt przywiózł ze sobą jakieś nowe historie. Strasznie zabawne.

— Tak, i wszystkie kompletnie nie nadające się do powtórzenia — odpowiedział Ward. Przez chwilę milczał. — Zaczynam myśleć, że życie płatnika jest strasznie ciężkie. Mam na myśli jego układ trawienny.

Ann się roześmiała.

— To bardzo towarzyski czas.

— Taki był. Na szczęście dzisiaj wieczorem on już wyjeżdża.

— A pan razem z nim, jak słyszałam.

Ward skinął głową i popatrzył na nią z ciekawością. Przyglądała mu się, lecz było zbyt ciemno, aby mógł dostrzec wyraz jej twarzy.

Wyczuła, co myśli i powiedziała:

— Och, nie mam zamiaru błagać.

— Wcale nie sądziłem, że pani to zrobi. — Ward przez chwilę milczał. — Chciałbym, żeby pani spojrzała na to w ten sposób - że ostatecznie nie będzie miało znaczenia, czy ja tutaj będę, czy nie. Moja obecność nic by nie zmieniła.

— Dlaczego więc ci ludzie myślą, że mogłaby?

Ward wzruszył tylko ramionami, czując w duchu lekką irytację.

Ann zauważyła cicho:

— Sukces zawsze ma swoją cenę, prawda? Ludzie potem nieustannie oczekują niemożliwego. Może dlatego właśnie, to co jest niemożliwe, często udaje się osiągnąć.

— Rozumując w odwrotną stronę, można by powiedzieć, że człowiek, który ośmiela się podjąć takie wyzwanie, jest głupcem.

— Tak czy inaczej, jest pan człowiekiem o zdecydowanych opiniach — stwierdziła sucho Ann.

Ward popatrzył na nią.

— A czy pani nie jest osobą o zdecydowanych opiniach?

Ann milczała przez chwilę.

— Nie sądzę, w przeciwnym razie nie byłoby mnie tutaj. Moim zdaniem Mary popełniła głupstwo, że wyszła za Boba Carlyle’a. Zgodnie z moją opinią był za bardzo lekkomyślny i trochę zbyt łatwo podejmował decyzje -

kiepskie połączenie. Moja kolejna opinia brzmi tak, że w ogóle nie powinni wyruszać razem na zachód, nie powinni próbować oszukać rządu i nigdy nie powinni podejmować dalszej podróży bez eskorty. Gdybym była kobietą o zdecydowanych opiniach, powinnam od razu zdecydować, że dostali to, na co zasłużyli, i że było to po prostu niefortunne. — Zatrzymała się. — A jednak, jestem tu.

Ward powiedział ze skrępowaniem:

— A to cokolwiek zmieni, co?

— Nie, chyba że człowiek chce, żeby tak było — powiedziała spokojnie Ann.

Na chodniku słychać było głosy, i Ward uniósł wzrok, by zobaczyć grupę oficerów na werandzie i chodniku. Kolacja się skończyła, wyraźna oznaka wyjazdu płatnika i jego własnego. Dziwnie niechętnie stąd wyjeżdżał i przyjrzał się twarzy Ann Dunnifon w ciemności. Była osobliwą dziewczyną i mądrą, i mgliste poczucie winy, które pojawiło się wraz z jego decyzją o wyjeździe, dziś rano, teraz powróciło. Chciał, aby ich pożegnanie zakończyło się czymś innym niż ta lekka nuta niezgody czy też nawet antagonizmu, a jednak ta myśl, uparta i nieustępliwa, wciąż mu towarzyszyła: *„Nawet gdybym został, to by nic nie zmieniło*".

Teraz wstał, Ann również, i stanął przed nią.

— Już się nie zobaczymy.

— Prawdopodobnie nie. — Wyciągnęła dłoń, a on ją uścisnął. — Powodzenia, dokądkolwiek pan się uda.

— Mam nadzieję, że wszystko ułoży się dobrze z pani siostrą — powiedział Ward.

— Ma pan nadzieję, ale pan nie wierzy. Dziękuję.

Rzucił jej szybkie badawcze spojrzenie i stwierdził, że jest w pełni opanowana, a ponieważ nie było już nic więcej do powiedzenia, zszedł po schodkach na chodnik. Kapitan Loring, opuszczając grupę oficerów, minął go, idąc pożegnać się z Ann, i oznajmił mu szybko:

— Masz tylko około piętnastu minut, żeby zabrać swój ekwipunek, Kinsman.

Ward odparł z lekką irytacją:

— Jest już w mojej kieszeni, panie kapitanie — i dołączył do grupy oficerów.

Linus podał mu jego kapelusz i ruszyli ramię w ramię, kierując się ze wszystkimi w stronę stajni.

— Teraz wiem, jak Harcourt może to wytrzymać przy każdej wizycie, — stwierdził. — Po prostu kładzie się na siedzeniu swojego wozu i odsypia te kolacje.

Przy stajniach piętnastu ludzi z Oddziału G, w świetle latarni stajennych, ustawiło się w szeregu obok swoich wierzchowców, a wóz płatnika czekał już zaprzęgnięty. Sierżant Mack krążył wzdłuż szeregu, z twardym spojrzeniem w oczach. Żołd był żołdem, a whisky była dla ludzi, ale każdy żołnierz w eskorcie ma siedzieć prosto w siodle, jak głosiło jego niepisane prawo. Grupa innych żołnierzy stała jako gapie w drzwiach stajni.

Przy korralu Ward zobaczył, że nie ma tam jego konia, i przypominając sobie obietnicę złożoną dzisiejszego ranka Riordanowi, popatrzył wzdłuż szeregu żołnierzy. Po chwili podjechał Frank Holly, który był przewodnikiem w czasie tej wyprawy. Ward porozmawiał z nim, a następnie popatrzył na żołnierzy w drzwiach stajni. Tam też nie było widać Riordana. Porucznik Delaney jako pierwszy przypomniał sobie, że Ward przyjechał na rannym indiańskim koniu i zawołał natychmiast.

— Ennis, osiodłaj mojego kasztana dla pana Kinsmana. Szybko, wykonać.

Major Brierly i Loring rozmawiali z kapitanem Harcourtem na rogu Stajni A. Kapral, woźnica Harcourta, stał znudzony przy wozie.

Linus podszedł natychmiast do Warda i powiedział:

— Nie widziałem tego konia, na którym przyjechałeś, od…

Z tyłu w półmroku drzwi stajni, za gapiącymi się żołnierzami, Ward dostrzegł postać, którą rozpoznał, i ruszył w stronę drzwi, kiedy Linus wciąż mówił do niego.

— Riordan — zawołał.

Nastąpił natychmiastowy, gwałtowny ruch wśród żołnierzy i Riordan wpadł przez nich do drzwi stajni. Ward natychmiast zauważył, że był tak pijany, że ledwie był w stanie utrzymać równowagę. Ward milczał, wiedząc, że wypytywanie go byłoby bezcelowe. Riordan stał chwiejnie w mroku, zerkając złowrogo wokół siebie, a Ward usłyszał, jak Linus podchodzi do niego.

— Chciałeś coś od niego? — spytał Linus. — Ten facet jest pijany.

— Mogę poczekać.

— Kapral straży! — zawołał Linus. — Aresztować tego człowieka!

Dźwięk głosu Linusa wzburzył Riordana i żołnierz rzucił się w stronę porucznika, niemalże tracąc równowagę. Wybełkotał niewyraźnie:

— Ty cholerny złodzieju żon. Ty podły kundlu…

Już ich niemal dopadł, mimo że dwóch żołnierzy uczepiło się go. Ward usłyszał, jak kapitan Loring krzyczy „Kapral straży!”, a potem Ward uderzył. Był to szybki, mocny cios wymierzony w czubek szczęki Riordana, a odgłos uderzenia, okrutnie miękki i stłumiony, zagłuszył odgłos zamieszania, jakie wybuchło.

Riordan upadł twarzą u stóp Linusa i leżał zupełnie bez ruchu; Ward z dziwnym uczuciem zauważył, że do tyłu jego szarej koszuli przywarły źdźbła siana. Koło nich rozległ się tupot butów, uniósł głowę i zobaczył Loringa oraz żołnierza ze zdjętym karabinem, którzy zatrzymali się obok niego.

— Odprowadź go do wartowni, Evans — polecił Loring żołnierzowi. Potem spojrzał na Warda i Linusa, oraz zapytał: — Jak on was nazwał?

Ward musiał sięgnąć w głąb pamięci i zerknął na Linusa. Twarz Linusa w słabym świetle latarni była wściekle czerwona. W tej samej chwili, gdy Ward to zauważył, przypomniał sobie, że epitet Riordana brzmiał „złodziej żon”. Nie zastanawiając się, a nawet nie myśląc, Ward zwrócił się do Loringa i powiedział łagodnie:

— Złodziej koni, czyż nie? Przyjechałem na koniu skradzionym Apaczom, a on go wypuścił i nie chciał go nakarmić.

Loring rzucił Linusowi i Wardowi badawcze spojrzenie, jakby z niedowierzaniem, a następnie ustąpił miejsca majorowi Brierly'emu i kapitanowi Harcourtowi. Brierly spojrzał na Riordana i stwierdził:

— Te same stare kłopoty, Harcourt. Ten twój żołd zawsze nam je przynosi. — Spojrzał na Warda i spytał: — Co on mówił?

Ward opowiedział historię swojej kłótni z Riordanem, a Brierly tylko prychnął.

Kawalerzysta Ennis zameldował skądś z tyłu:

— Koń dla pana Kinsmana, panie kapitanie.

— Dobrze — odparł Loring. — Jesteś gotów, Harcourt?

Harcourt był; sierżant Mack również zameldował:

— Wszyscy gotowi, panie kapitanie.

Podczas wymiany ostatnich pożegnań. Ward obrzucił krótkim spojrzeniem Linusa. Porucznik twarz miał nadal zarumienioną, a szczękę zaciśniętą; jego spojrzenie, gorące i zdezorientowane, odpowiedziało Wardowi przez jedną króciutką chwilę wstydu, a następnie uciekło w bok.

Kapitan Loring, znajdujący się teraz na czele kolumny, wskoczył na siodło.

— Przygotować się do wsiadania… na koń!

Manewr był nieco kanciasty, ale każdy żołnierz znalazł się na swoim miejscu. Ward również wskoczył na siodło i niedbale zasalutował majorowi Brierly'emu, po czym kolumna, z wozem Daugherty'ego[1] pośrodku, ruszyła w mrok, kiedy wciąż nieco rozgniewany głos Loringa rozkazał:

— Dwójkami, na lewo, marsz!

[1] Wóz Dougherty'ego (ang. Daugherty wagon) – rodzaj wytrzymałego, wozu pasażerskiego, zazwyczaj krytego skórzanymi ścianami i dachem, powszechnie wykorzystywanego przez armię Stanów Zjednoczonych w czasach Wojny Secesyjnej i bezpośrednio po niej (przyp. tłum.).

Rozdział 3

— **C**arrick, Menzies, pomóżcie Evansowi — rozkazał major Brierly.

Dwóch żołnierzy wyszło przez drzwi stajni i wraz z Evansem próbowali postawić Riordana na nogi. Major Brierly dokonał kiepskiego wyboru pomocników; Carrick był surowym młodym rekrutem, chudym, niezdarnym, o ciężkim dowcipie, podczas gdy Menzies, stary wyjadacz, wiecznie zgnębiony swoim losem w życiu, był zadziornym małym człowieczkiem o mikrej posturze. Evans przewyższał go tylko o kilka centymetrów. Cała trójka ledwie była w stanie stać i podtrzymywać wielką masę Riordana na nogach, kiedy im się to udało major Brierly odwrócił się i ruszył w stronę narożnika stajni, kierując się ku swojej kwaterze.

Evans chrząknął:

— Przenieśmy go przez podjazd. Będzie krócej.

Ciężkie ciało Riordana było jednak zupełnie bezwładne i po pokonaniu trzech czwartych drogi przez stajnię, żołnierz wyślizgnął się kawalerzyście Carrickowi z rąk. Pozostali również stracili uchwyty i Riordan osunął się na ziemię.

— No dobrze, spróbujmy może go pociągnąć — oznajmił z irytacją Evans.

Menzies kwaśno zauważył:

— Nie masz wystarczająco wysokiej rangi, żeby kazać mi go ciągnąć, Evans. Sam sobie go ciągnij.

— Niech mnie diabli, jeśli tego nie zrobię — warknął Evans. Przerzucił karabinek przez ramię, łokciem zepchnął Menziesa z drogi i powiedział do Carricka: — Podnieś go wyżej i zarzuć sobie jego ramię na szyję. Teraz…

Dopłynęły do nich tony sygnału przygotowania do capstrzyku i Carrick wyprostował się.

— Przygotowanie do capstrzyku — powiedział bezbarwnie — Musimy go teraz zostawić i wracać na apel.

— Ty cholerny zakuty łbie! — warknął Evans. — Dowódca wie, że jesteś na służbie. Podnieśmy go.

Przy drugiej próbie udało im się postawić Riordana na nogi, a sami podeszli mu jego ramiona, lecz ciężar pijanego żołnierza, w połączeniu z ich nierównym wzrostem, wyrzucił ich do przodu z oszałamiającą styczną prędkością, która przeniosła ich przez drugie drzwi stajni, gdzie wreszcie niezręczność Carricka przewróciła ich na ziemię. Upadli w rozdeptane błoto, które otaczało koryto z wodą stajni A.

Menzies, wylądował w drzwiach wejściowych, i nie wydał z siebie żadnego dźwięku, podczas gdy Evans podniósł się na nogi, przeklinając. W świetle latarni w drzwiach Evans opuścił wzrok na swoje spodnie pokryte

błotem; ręce, trzymane przez niego wysoko w powietrzu, także ociekały błotem. Carrick podniósł się i otarł twarz rękawem.

Evans ponuro stwierdził:

— Są łatwiejsze sposoby niż ten — i przeszedł obok Menziesa do stajni. Za chwilę wrócił z wiadrem, stanął nad Riordanem, napełnił wiadro wodą z koryta i chlusnął jego zawartością w twarz Riordana.

Riordan jęknął, przewrócił się na plecy i otworzył oczy.

— Na nogi, Tom — rozkazał Evans. — Jesteś za wielki, żeby cię nieść.

Co dziwne, Riordan potulnie podniósł się na nogi. To sprawiło, że Menzies podszedł do niego. Gdy Riordan już stał, na szeroko rozstawionych nogach, rozejrzał się i w końcu jego przekrwione oczy skupiły się na czymś.

— Lepsze łóżko znajdziesz na wartowni, pijaku ty jeden — burknął Menzies.

— Chodź, Tom, nie rób już kłopotów — powiedział Evans. Wyciągnął wiadro do Menziesa, mówiąc: — Powieś to, dobrze Fred?

— Sam sobie powieś — odpowiedział Menzies. — Nie jestem w twoim plutonie.

Evans zaklął, po czym przepchnął się obok niego z wiadrem, na wybieg stajni. Carrick stał w ciamajdowatym milczeniu, obserwując Riordana.

Menzies przyciął złośliwie:

— To chyba więcej wody, niż widziałeś przez cały miesiąc, co, Tom?

Nie tracąc chwili czasu Riordan uderzył go zawzięcie w twarz grzbietem dłoni. Menzies krzyknął i upadł do tyłu, a wtedy Riordan zamachnął się szaleńczo na Carricka. Nie był to zbyt silny cios i nie trafił w cel, ale jego przedramię trafiło Carricka w szyję i sprawiło, że ten się przewrócił. Riordan rzucił się w ciemności nocy, w kierunku stodół z sianem.

Carrick podniósł się pierwszy, kiedy Evans wrócił na miejsce.

— Gdzie on jest? — zaczął dopytywać się Evans.

— Walnął nas obu.

— Niech was diabli, w którą stronę poszedł? — spytał Evans.

Carrick nie potrafił mu powiedzieć. Evans odwrócił się do Menziesa, który już się podnosił z ziemi. Menzies trzymał dłoń na ustach; po chwili cofnął ją i popatrzył na nią, a krew, jaką na niej zobaczył, sprawiła, że z jego rozbitych ust popłynęły ciche przekleństwa.

— W którą stronę poszedł? — dopytywał się Evans.

Menzies też nie potrafił mu powiedzieć, i Evans jęknął cicho ze złości.

— Lepiej się zastanówcie — oznajmił cicho. — To nasz więzień.

Carrick powiedział:

— Jest pijany. Uwali się gdzieś i odeśpi to. Puśćmy go.

— Chcesz chodzić przez trzy miesiące na warcie, ty durny farmerze? — warknął Evans.

Evans odbezpieczył karabinek, po czym w zamyśleniu wpatrywał się w ciemności, nasłuchując. Gdyby Riordan próbował przejść przez linię wart, wartownicy by go zgarnęli. Ogłoszenie alarmu rozpętałoby piekło, a on, jako kapral straży, odpowiedzialny był za bezpieczeństwo więźnia. Evansowi przemknęło przez myśl, że może zostać pozbawiony stopnia kaprala, na który zapracował w pocie czoła, i wskutek tego straci prestiż

oraz żołd. Wiedział też, z cynizmem starego żołnierza, że zarówno Menzies, jak i Carrick, ponieważ nie należeli do jego oddziału, będą kryć samych siebie. *„No cóż, to by było na tyle*", pomyślał zrezygnowany. *„W takim razie znajdźmy go.*"

Jego głos brzmiał spokojnie i był pełen pewności siebie.

— Jack, stary. Przynieś nam kilka latarni i zacznijmy go szukać.

Carrick poszedł do stajni i wrócił z dwiema latarniami, które zapalił. Evans wziął jedną z nich i dał Carrickowi drugą, po czym rozejrzał się.

— Najpierw stodoły z sianem — powiedział. — Uważaj tam na lampę, stary.

To był początek poszukiwań, które od stodół z sianem i stogów z paszą dla koni, przeniosły się do kuźni oraz magazynu kwatermistrza. Każda chwila zwiększała niepokój Evansa. Jakiś oficer z pewnością zobaczy latarnie, wezwie dowódcę straży, a wtedy rozpęta się prawdziwe piekło. Carrick, wraz z podążającym za nim jak cień Menziesem, pokornie zaglądali w podejrzane miejsca, a Evans po cichu przeklinał swoją powolność. Potem rozległy się powolne dźwięki capstrzyku i Evans wiedział już, że zawiódł. Nie można było dłużej tego odkładać. Zawołał do Carricka, który zmierzał do pralni:

— Zaczekajcie tu, Jack — po czym odwrócił się i pobiegł w stronę dziedzińca.

Oficerem dyżurnym był porucznik Tremaine i to jemu należało złożyć raport. Tremaine był świeżym podporucznikiem, zaledwie kilka miesięcy po ukończeniu Akademii, sztywnym, poważnym, niepewnym siebie. Evans poczuł, jak ogarnia go znużona rezygnacja; w całym piekle nie ma takiej furii, jak porucznik ganiący opieszałość.

Major Brierly zsunął fotel ze skrzypiącej deski, usiadł wygodnie i z zadowoleniem zaciągnął się cygarem, przyglądając się w ciemności, z milczącą kontemplacją, Ann Dunnifon. W ciągu dziesięciu dni, kiedy była jego gościem - *„Niech diabli wezmą przyzwoitość*", powiedział pani Wolverton, żonie swojego młodszego kapitana. „Wy mężatki jesteście teraz szaleńczo przewrażliwione. Poza tym byłem na ślubie Andy'ego Dunnifona i jestem ojcem chrzestnym Mary. Ann zostaje ze mną" - nabrał do tej dziewczyny głębokiego szacunku i sympatii. Przypuszczał, że to naturalna reakcja mężczyzny prowadzącego życie bez kobiety, ale tu chodziło o coś więcej. Przez osiem lat, odkąd jego wredna żona w końcu spełniła swoją groźbę i zostawiła go wraz z jego przeklętą armią, był cudownie zadowolony ze swego samotnego życia. Nie żywił niechęci do kobiet; uważał jedynie, że tak jak ślepy na kolory artysta tworzy gorszego malarza, tak on, kiepsko oceniający kobiety człowiek, stworzyłby gorsze małżeństwo. Ann jednak ona przełamała wszystkie jego mentalne zastrzeżenia co do swojej płci.

Odwróciła się do niego i zapytała:

— Czy Craig to dobry posterunek, panie majorze?

— Nie — stwierdził krótko Brierly. — Byłbym skłonny zrezygnować z mojej kariery wojskowej, gdybym go otrzymał. — Po czym dodał chytrze: — Nie zostanie tam długo.

— Dokąd się uda? — spytała Ann.

— Wróci, chyba że natknie się na ślady Apaczów. — Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. — Mówimy o pani ulubionym kapitanie. Prawda?

Ann roześmiała się cicho.

— Nie, obawiam się, że nie. Myślałam o panu Kinsmanie.

„A, to ciekawe", pomyślał Brierly. Popatrzył na czworokąt placu apelowego, gdzie lampy zostały pogaszone po capstrzyku.

— Nie wiem. Jest odludkiem, trudno go zrozumieć. Przypomina mi jednego z tych Anglików, którzy odebrali wykształcenie aż po czubki uszu, po to by przyjechać na zachód i żyć jak poganiacze mułów.

— Czy można na nim polegać?

— Całkowicie. — Głowa Brierly'ego odwróciła się na dźwięk żołnierza biegnącego po drugiej stronie czworoboku. Był tylko zaciekawiony, a nie zaniepokojony, ponieważ w pełni wierzył w czujność swoich ludzi i oficerów. Jego uwaga wróciła do tematu, o którym rozmawiali. — Czasami żałuję tego jego uporu. Tak jak teraz. — Przerwał na chwilę. — Byłby bardzo pomocny.

— Gdzie teraz pojedzie?

— Łowić ryby, polować, odwiedzać, może pracować, może szukać złota. Pewnego lata był krupierem faraona, zrezygnował z tego, zmienił rolę i robił bank w kasynie, w którym pracował, a potem zniknął. Nigdy tego nie wyjaśnił. Myślę, że zdał sobie sprawę, że człowiek potrzebuje pieniędzy, wziął sobie chwilę wolnego, by zarobić tyle, ile chciał, a potem z powrotem poszedł swoją najwspanialszą dla siebie drogą.

— Tak się zastanawiam, czy ona jest rzeczywiście najwspanialsza — spytała cicho Ann.

— Dla niego — przypomniał Brierly. Usłyszał teraz dalsze dogłosy bieganiny, tym razem od strony koszar oddziału G. Zaniepokoiło go to, więc odłożył cygaro i wstał. — Dziwne — powiedział, a potem: — Przepraszam na chwilę, moja droga.

Zszedł po schodkach i skierował się w stronę placu apelowego. Przez otwarte drzwi usłyszał głos sierżanta Isaacsa, który wywoływał nazwiska.

Z koszar wyszedł porucznik Tremaine, zobaczył Brierly'ego i stanął na baczność. Brierly spytał:

— Panie Tremaine, jakieś kłopoty?

— Evansowi uciekł więzień, panie majorze. Evans myśli, że ukrywa się w pobliżu stodół z sianem.

— Riordan?

— Tak jest, panie majorze.

Brierly powiedział:

— No to go zgarnijcie. Jest pijany, więc ostrożnie. Kto zajmuje się szczegółami - Isaacs?

— Tak jest, panie majorze.

— Dobrze. Zamelduj mi, kiedy go znajdziecie.

Brierly odwrócił się i wrócił do swojego domu. Riordan, o ile pamiętał, był kiepskim żołnierzem garnizonowym. Szkoda, bo miał ładną żonę. Oczywiście mógł zostać przydzielony do eskortowania poczty, co usunęłoby go z posterunku, ale to również rozdzieliłoby go z żoną. W grę wchodziła jednak służba polowa, a Riordan w terenie był dobrym człowiekiem. Może właśnie tego potrzebował.

Po powrocie na werandę wyjaśnił Ann:

— Pijany żołnierz, to wszystko. Nie ma się czym martwić.

Ann stwierdziła:

— Chyba pójdę spać, majorze. Dobranoc.

Gdy Brierly również pożegnał ją na dobranoc, wstała i weszła do środka. Brierly usiadł na swoim fotelu, tym wygodniejszym. Odział poszukiwawczy zniknął z boku czworoboku, a potem Brierly usłyszał odległe śmiechy wartowników, którzy spotkali go na linii wart.

Teraz, w mroku, samotnie, skupił się na problemie, który zaprzątał jego umysł przez cały dzień. Odłożył decyzję o pełne dwadzieścia cztery godziny; jutro musiał ją podjąć. Kwatera główna będzie czekać na jego ocenę co do możliwości potwierdzenia obecności Mary Carlyle w bandzie Diablito. Teraz, gdy Kinsman odmówił wykonania tego zadania, nie widział możliwości uzyskania takiego potwierdzenia, ponieważ Holly, drugi przewodnik, nie był w stanie tego zrobić, i ten fakt bardzo go irytował. Chociaż jego rozkazy zawierały te trzy zbawienne słowa „jeśli to możliwe", co było sposobem Kwatery Głównej na wyrażenie całkowitego zaufania do niego, wiedział, że zawiódł. Wiedział też, jakie będą tego konsekwencje. Po jego telegraficznym przyznaniu się do porażki, nadejdzie rozkaz wyruszenia w pole przeciwko Diablito. Kiedy ta ociężała machina ruszyła, nic jej nie mogło zatrzymać. Mary Carlyle mogła to przeżyć lub nie, a według Kinsmana nie przeżyje. A on, ojciec chrzestny Mary Carlyle, jak na ironię, może być narzędziem, które przyczyni się do jej śmierci. „*Taka już jest armia*", pomyślał ponuro, po czym się poprawił. „*Nie, nie armia, tylko życie*."

Zadumał się nad tym ponuro, słysząc szybkie kroki po drugiej stronie czworoboku. Zobaczył, jak ktoś wchodzi do koszar oddziału, a wkrótce sześciu kolejnych ludzi wyszło na dwór, kierując się w stronę stodół z sianem.

Poczuł lekką irytację. Czy oficer dyżurny miał zamiar wywrócić do góry nogami cały posterunek w poszukiwaniu jednego pijanego żołnierza? Pomyślał o poruczniku Tremaine ze zrozumieniem i współczuciem. Chłopak był nowy, bardzo poważny, bardzo młody, niepewny siebie, zaciekle pragnący jak najlepiej wykonać każde zadanie. Choć był nadgorliwy, pewnego dnia zostanie dobrym oficerem. Jeśli chodzi o tego rodzaju absurdalne obowiązki, jego ludzie będą karali go na swój własny, drobny sposób, dopóki nie stanie się oficerem, pod którym będą lubili służyć. Brierly uśmiechnął się do siebie w nocy, przypominając sobie własne wybryki, jako świeżo upieczonego porucznika.

Nagle poczuł się senny i zmęczony. Prawie już podniósł się z fotela, gdy przypomniał sobie swoją prośbę do Tremaine'a, by zgłosił się do

niego, kiedy Riordan zostanie odnaleziony. Usiadł z powrotem na fotelu i wyciągnął świeże cygaro.

Wypalił je i jeszcze jedno, gdy jego cierpliwość w końcu się skończyła. Wstał, opuścił werandę i zawrócił w stronę stajni. Kiedy tylko wzrok mu się przyzwyczaił do ciemności, zobaczył pół tuzina latarni w pobliżu szop na paszę dla koni i ruszył w tamtym kierunku. Chrapliwy głos Tremaine'a, odpowiadający Isaacsowi, był jedynym dźwiękiem dochodzącym do niego w mroku nocy:

— W porządku, sierżancie, więc ruszcie te worki. Szukajcie, z życiem!

Tremaine usłyszał kroki Brierly'ego i odwrócił się. Nieświadomie zesztywniał.

— Na razie bez powodzenia, panie majorze, ale jestem pewien, że jest w szopie na paszę.

— Dlaczego? — spytał sucho Brierly.

— Jeśli jest pijany, będzie mu się chciało spać. Tutaj znajdzie najbardziej miękkie miejsca do spania.

Brierly nie mógł powstrzymać się od pytania:

— Czy opiera pan to na osobistym doświadczeniu, panie Tremaine?

Tremaine zawahał się, po czym odpowiedział niechętnie:

— Osobista obserwacja, panie majorze.

— Prawdopodobnie ma pan rację. Mimo to nie możemy pozwolić, żeby ludzie nie spali przez całą noc. Wydaje mi się, że jedynym zagrożeniem może być tu zaprószenie ognia. — Zawahał się przez chwilę. — Proszę dokończyć przeszukiwanie szopy, a potem odwołać oddział. Niech strażnicy co kwadrans obchodzą stajnie i szopę na paszę. A teraz dobranoc, panie Tremaine.

— Tak jest, panie majorze. Dobranoc, panie majorze — odpowiedział Tremaine.

Brierly odwrócił się i ruszył z powrotem na czworobok placu apelowego. Minął róg alei defiladowej, kiedy popatrzył na ciemną werandę kwater oficerskich. Porucznik Storrow miał zapaloną lampę, a w jej rozproszonym świetle, które sączyło się słabo przez okno, Brierly dostrzegł stojącą na werandzie postać. Jego przenikliwe spojrzenie zatrzymało się na niej przez chwilę, po czym zaciekawione powróciło. Wydawało mu się, że wyraźnie widzi zarys poruszającego się człowieka, lecz był to bardzo chwiejny krok. Przyszło mu do głowy, że jeden z jego oficerów, niemający głowy do alkoholu, nie przeżył kolacji dla Harcourta bez kłopotów.

Zatrzymał się, przyglądając się mu z głęboką dezaprobatą, po czym ruszył żwirowym chodnikiem w kierunku postaci. Jeśli któryś z jego oficerów nie potrafił znieść wypitego przez siebie alkoholu, nie powinien w takim stanie pokazywać się w miejscu publicznym.

Major Brierly znalazł się już prawie za postacią, której nie potrafił zidentyfikować, kiedy został usłyszany; człowiek ten obrócił się, i w tym samym czasie Brierly usłyszał stukot drewna o ścianę.

— Kto to? — ostro spytał Brierly.

Nie było odpowiedzi, więc Brierly wyszedł na werandę. Nagle dotarło to do niego z siłą niemal fizycznego wstrząsu.

— Riordan?

Brak odpowiedzi. Brierly odwrócił się i zawołał:

— Sierżant straży! Biegiem do mnie!

Odwrócił się akurat w chwili, by zobaczyć, jak postać zatacza się od ściany, w jego stronę. Sięgnął po pistolet, zanim przypomniał sobie, że jego pas i pistolet pozostały na werandzie, przewieszone przez oparcie krzesła.

Powiedział ostro:

— Spokojnie, żołnierzu! — a potem zobaczył uniesione ręce, jakby chciały one zadać cios.

Brierly podjął szybką decyzję i ruszył w stronę żołnierza, słysząc za sobą tupot butów przemierzających plac apelowy.

I wtedy, za późno, zobaczył, z czym ma do czynienia. Dokładnie w chwili gdy to dostrzegł, poczuł przeszywający ból w boku oraz w pachwinie, i poczuł, że przewraca się do tyłu. Upadł ciężko, gdy z głębi werandy padły, szybko jeden po drugim, dwa strzały. Usłyszał, jak porucznik Storrow krzyczy: „W porządku, dostał, leży" i zastanawiał się, po co ktoś miałby tak wołać i do kogo.

Sięgnął do boku, w miejsce gdzie ból był najsilniejszy, i jego palce dotknęły czegoś metalowego, a po chwili kapitan Wolverton znalazł się koło niego, przyklękając z pistoletem w dłoni. Byli tam też inni ludzie, lecz Brierly nie zwracał na nich uwagi. Obmacał metalowy przedmiot, wyczuwając jego kształt, a po chwili zorientował się, dlaczego bolała go również pachwina.

Wolverton powiedział:

— Spokojnie, panie majorze, spokojnie. — Krzyknął do tyłu. — Latarnia, tutaj!

Wtedy Brierly powiedział spokojnie:

— Wyciągnij je, Wolverton. Nie możesz mnie nieść ze sterczącymi ze mnie widłami.

Tuż przed świtem, w miejscu, gdzie droga do Craig przecinała wyschnięte dno potoku, piaszczystą łachę pokrytą rozłupanymi czerwonymi głazami, kapitan Loring zarządził postój na odpoczynek i jedzenie. Na drugim brzegu znajdowało się wystarczająco wiele rozproszonych kęp mesquite, na ogniska, a od tego punktu plątanina płaskowyżów na wschodzie miała się przybliżyć, wymagając zachowania zwiększonej czujności.

Mimo to Loring wystawił nawet tutaj silne straże, a ludzie rozpalili małe ogniska, by usmażyć zabrany przez siebie bekon. Mglisty świt zapowiadał, że dzień będzie upalny, a Loring zupełnie niepotrzebnie przekazał sierżantowi Mackowi, że po śniadaniu będzie chciał wyruszyć z na wpół tylko pełnymi manierkami.

Na ziemi rozłożyła się przygnębiona gromadka żołnierzy, z których już wyparowała wypita whisky; ich rozmowy były rzadkie i ostre, a kapral będący woźnicą Harcourta, abstynent o różowych policzkach, rozmawiał z Frankiem Hollym i z zadowoleniem obserwował ich, jak cierpią w milczeniu.

Ward, wracając, po uwiązaniu na kołkach koni swojego i Linusa, okrążył tył wozu Daugherty'ego akurat w chwili, by usłyszeć, jak Loring mówi do sierżanta Macka:

— …je jeżeli któryś jest kulawy, zamelduj mi o tym. Zdarzają się chwile rozluźnienia, tak zaraz po wypłacie, sierżancie.

— Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, panie kapitanie — odpowiedział poważnie sierżant Mack. W głosie Macka nie było nawet cienia kpiny, lecz w jego oczach pojawił się sardoniczny błysk, protest kompetentnego człowieka, któremu niepotrzebnie mówi się, co ma robić.

Loring odwrócił się i podszedł do wozu, a jego koszula była już wręcz przesiąknięta potem. Kapitan Harcourt niepewnie przysiadł na stopniu wozu Daugherty'ego, obserwując, jak Linus sypie gęstą kaskadą kawę do ciemnego dzbanka.

— Spokojnie, Linusie — skomentował Loring. — Spowodujesz, że będzie gęsta jak sos.

Linus przestał sypać, nalał wody z manierki do dzbanka i postawił go na ogniu. Kiedy Ward oparł się o tylne koło, Linus popatrzył na niego. Jego młoda twarz była posępna; potem pojawił się na niej słaby uśmiech i powiedział:

— Jesteś strasznie wyelegantowanym przewodnikiem. W tym garniturku wyglądasz, jakbyś szedł na potańcówkę.

Ward odparł:

— Jestem tu, żeby się trochę przejechać, a ty mi nie płacisz, więc niech szlag trafi twoje zdanie.

Linus uśmiechnął się krótko, po czym jego twarz znów zrobiła się ponura, a Ward pomyślał: *„Chodzi o ten ostatni wieczór i o Riordana. Nie wie, jak mi to powiedzieć."* A potem pomyślał z irytacją: *„Nie wierzę, a jednak w końcu zaczął myśleć."*

Loring z westchnieniem opadł na ziemię i powiedział:

— Za dużo zjadłem wczoraj wieczorem. Ten upał to zabójstwo. — Popatrzył na Warda, a w jego ciemne oczy i na twarz, wkradł się cień chłodu. Ward wiedział, że Loring ani nie zapomniał, ani nie wybaczył mu odmowy pomocy dla Ann Dunnifon. — Kinsman, jakie są szanse na odnalezienie śladów Apaczów?

Frank Holly podszedł do grupy i słysząc pytanie Loringa również popatrzył na Warda.

Po chwili namysłu Ward odpowiedział.

— Całkiem niezłe, może w drodze powrotnej.

— Jak to?

Ward wzruszył ramionami.

— Diablito domyśli się, że kiedy Brierly ściągnął mnie z Peak, będzie chciał, żebym dla niego pracował. Wyśle wiadomość do rezerwatu i za granicę, że coś się zaczyna dziać. To przyciągnie wszystkich malkontentów i chłopców, którzy pragną dobrej walki. — Przerwał na chwilę. — Wszystko to jest bardzo możliwe.

— To cholerna prawda — zgodził się Frank Holly.

Linus popatrzył na niego.

— Źle ci z tego powodu?

— Źle mi, ale przecież mi za to płacą? — spytał kwaśno Holly. — Nie, to nie tak. Zapłacono by mi tyle samo, gdybym walczył z tylko połową z nich. Po prostu, jest ich o paru za dużo.

Harcourt, jako pochodzący z działu finansowego, oznajmił ze złośliwym uśmiechem:

— A ja będę czytał o tym w gazecie w Santa Fe. „Armia ściga Apaczów. Diablito, szukając bezpiecznego miejsca, zmierza w kierunku Gór Hellangone. Kapitan Loring, potomek bogatej nowojorskiej rodziny, oświadczył: 'Mam zamiar wysłać skórę Diablito mojemu wytwórcy butów, z przeznaczeniem na ich następną parę'".

Loring uśmiechnął się lekko i stwierdził:

— To ostatnie bardzo mi się podoba.

Ward przyglądał się Loringowi z lekką ciekawością. Dlaczego zadał mu tamto pytanie i jakim naprawdę był człowiekiem. Był to przecież mężczyzna, którego faworyzowała Ann Dunnifon, a więc Ward próbował sobie przypomnieć, co o nim słyszał, ponieważ kapitan przybył do Gamble wiosną, i Ward nigdy z nim nie służył. Loring, jak mówiono, był dosyć dobrym oficerem. Był bogaty jeśli chodzi o osobisty majątek, pochodził ze znanej rodziny ze stanu Nowy York i zazdrościli mu wszyscy młodsi oficerowie z garnizonu. W romantycznym stylu szlachetnie urodzonych kawalerów, przyjął broń jako swój zawód. Był żołnierzem-dżentelmenem, powrotem do odległych czasów, a zatem ciekawostką dla swoich kolegów oficerów, będących pracowitymi, zdolnymi i zwykle dosyć biednymi ludźmi. Ward domyślał się, że był człowiekiem pozbawionym poczucia humoru, poważnym i prywatnie mocno zdystansowanym, lecz posiadał spokojną pewność siebie, która mogła przyciągnąć pozbawioną ojca dziewczynę, taką jak Ann Dunnifon. Ponad wszystko inne, pomyślał Ward, będzie miał rację we wszystkim.

Krótkie śniadanie, składające się z kanapek z zimnym mięsem oraz gorącej kawy, dobiegło końca i oddział ponownie wyruszył. Teraz jednak Loring wystawił flanki, gdyż wjeżdżali na teren pożłobiony kanionami. Na północy, w świetle nowego dnia, nad całą okolicą górował Bailey's Peak, dominując nad nią. Kapral Baltizar, z połową oddziału, zajął pozycję z tyłu kolumny, w kurzu wzbijanym przez wóz Daugherty'ego; jechali z chustami na ustach, niemalże wisząc w siodłach, tylko na wpół rozbudzeni i zawzięcie cierpliwie prąc przed siebie. Loring i Holly jechali na czele, a jadący obok Linusa Ward, widział jak przy pierwszym dotyku palącego słońca, po plecach Loringa zaczyna rozchodzić się ciemna plama potu.

W środkowej części poranka odpoczęli, zmienili flankujących żołnierzy i pozycje w szyku oddziału, po czym znów wyruszyli dalej. Ward siedział w siodle obwisły i senny, czując narastający z godziny na godzinę upał. Było sucho, dziko, bezlitośnie i podobało mu się to. Okolica była przez cały czas taka sama, co działało uspokajająco. Była to pustynia pełna ciemnych skał, kęp bylic oraz splątanych krzewów mesquite, i nigdy nie była całkowicie równa, tak że kręta droga kluczyła między niekończącymi się występami zerodowanych płaskowyżów i nachyleniami podłoża kanionów. Bailey's Peak rzadko znikał im z oczu, powoli obracając się po ich lewej

stronie i prawie nie zmieniając wielkości wraz z pokonywaną drogą, i wyglądając przez cały czas tak samo.

Loring zajechał na południowy postój, przejeżdżając przez wypełnione piachem arroyo, którego pokonanie wymagało od koni znacznego wysiłku. Na drugim jego brzegu Ward dostrzegł ślady i wyjechał z kolumny. Holly, po prawej stronie Loringa, dostrzegł je w tej samej chwili i powiedział:

— Chwileczkę.

Loring wyprowadził kolumnę z piaszczystej łachy i zatrzymał ją.

Kapitan zawołał po chwili z przodu kolumny:

— Co tam nowego?

Ward zsiadł z konia. Popatrzył krótko, z irytacją, na żołnierza na prawej flance, który jadąc przodem, powinien był zauważyć ślady. Ten jednak pozostał nieco z tyłu, stanął na brzegu piaszczystej łachy i patrzył na ziemię. Ward wskazał podbródkiem na Holly'ego i powiedział obojętnie:

— Proszę zapytać swojego przewodnika.

Loring wydał rozkaz aby zsiąść z koni, po czym podjechał do Holly'ego. Ward ruszył pieszo za śladami w kierunku, w którym zmierzały, wzdłuż łachy, w stronę Bailey's Peak. Usłyszał że ktoś za nim jedzie i uniósł głowę, by zobaczyć Linusa, który przyglądał mu się z rękami złożonymi na łęku siodła. Linus nic jednak się nie odzywał.

Ward wsiadł na konia i pojechał w górę arroyo, które zaczęło się zwężać między zaciskającymi się brzegami, przecinając pokryty rumowiskiem skalnym grzbiet wzgórza. Dalej dostrzegł miejsce, gdzie zbocze nieco się wypłaszczało umożliwiając wydostanie się na drugą stronę, i zryty grunt, po którym pony Apaczów wjechały na zbocze wąwozu. Przyglądał się temu przez chwilę, myśląc już o zawróceniu, po czym jednak zmienił zdanie, wprowadził konia w głęboki piasek i wpędził go na strome zbocze arroyo. Tutaj skręcił koniem gwałtownie w lewo, a następnie, wciąż siedząc na koniu, przez długą chwilę badał ziemię, pozwalając koniowi odetchnąć. Następnie ostrożnie zsiadł z konia i zaczął krążyć po znajdującej się tutaj równiejszej półce terenu, a kiedy zobaczył, że koń Linusa wyłania się ponad krawędzią arroyo, kazał mu gestem podjechać swojego konia.

Linus przyglądał mu się, jak zatacza kółko. W pewnej chwili Ward przyklęknął i uważnie zbadał ziemię, po czym podniósł coś i zbadał, zanim to wyrzucił. Potem zniknął wzdłuż grzbietu za plątaniną mesquite, a kiedy wrócił, ocierał twarz chusteczką.

Linus spytał sucho:

— Czy tam jest bardziej gorąco niż tutaj?

— Jest gorąco, to prawda — odparł Ward i zatrzymał się przy koniu.

Pomyślał, „*To nie za wiele, żeby się na tym oprzeć*", po czym przeszedł bezpośrednio przez półkę do miejsca, które badał wcześniej. Przeszukiwał je teraz dokładnie, na kolanach, a Linus obserwował go z ogromną niecierpliwością. Kiedy Ward wstał, na jego twarzy pojawił się grymas. Nic nie powiedział, wskakując na siodło i zjeżdżając ze zbocza, by dołączyć do oddziału.

Żołnierze czekali koło koni, większość z nich siedziała apatycznie w cieniu, jaki udało im się znaleźć. Holly, Loring i Harcourt z sierżantem Mackiem stali na czele kolumny i rozmawiali.

Kiedy Linus i Ward zsiedli z koni, Loring popatrzył na Warda i powiedział:

— Holly mówi, że było ich mniej więcej ośmiu. Ślady mają około godziny. Czy się z tym zgadzasz?

Ward skinął głową.

— Część jest starsza o parę godzin.

Holly delikatnie i jednym kciukiem podrapał się po kości policzkowej nad brodą i przyjrzał się Wardowi.

— Kilka kobiet — powiedział w końcu.

Ward znów skinął głową.

— Z dziećmi. Dlatego zostały w tyle.

Harcourt prychnął sceptycznie.

— Pewnie znalazłeś pieluchę, jak sądzę — stwierdził z dobrodusznym szyderstwem.

— W zasadzie tak — mruknął Ward. — Skrawek mchu.

Loring uważnie go obserwował i teraz, ignorując Holly'ego, spytał Warda:

— Co o tym myślisz?

— Wojownicy śpieszą się, żeby dołączyć do Diablito i rozbiją obóz dziś wieczorem. Gdyby się tego nie spodziewali, nie pozwoliliby kobietom zostać z tyłu. Poza tym nie są zaniepokojeni. Przebyli piekielną drogę, ponieważ ich konie są zmęczone i nie są w dobrej kondycji. Wojownicy są po prostu niecierpliwi; prawdopodobnie zostali wezwani.

Loring rozważał to w milczeniu, a Linus obserwował go z rosnącą niecierpliwością. W końcu Linus powiedział:

— Ben, chciałbym poprosić o pozwolenie, żeby ich dogonić.

Odpowiedź Loringa po chwili, była sucha, pełna ciężkiego humoru:

— A także o pozwolenie na eskortowanie twojego żłobka z powrotem na posterunek?

Linus uśmiechnął się szeroko.

— Tak jest, panie kapitanie. Może nie będą to same kobiety i dzieci.

Loring odwrócił się powoli i popatrzył w górę arroyo. Za nim, w oddali, znajdował się szczyt Bailey's Peak. Powiedział cicho:

— Mając godzinę opóźnienia na starcie i zmęczone konie, nie ma raczej nadziei, że uda nam się je dogonić, zanim dotrą do Diablito. Są szanse, że i tak by nie stawiały oporu. Nie chcemy kobiet. — Popatrzył na Linusa. — A przynajmniej tak mi się wydaje.

— Do diabła — stwierdził spokojnie Linus.

Loring oznajmił sztywno:

— Moje rozkazy brzmiały: nie dopuścić, aby jakakolwiek banda dołączyła do Diablito. Pozostawiono to do mojej decyzji.

— To zbyt pasywne działanie, Ben — zaprotestował Linus.

Twarz Loringa powoli zmieniła się w twardą maskę, a Ward czekał, aż lekkomyślność Linusa zostanie utemperowana. Ale mroczne spojrzenie Loringa powędrowało w stronę Warda.

— Jednak nigdy nie zaniedbałem spytania o radę przewodnika. Czy warto, Kinsman?

— Ja bym pojechał — powiedział Ward. — Ale możesz zapytać Holly'ego; on jest twoim przewodnikiem.

— A z jakiego powodu? — spytał Loring, ignorując Holly'ego.

Ward skinął głową w stronę grzbietu.

— Ta cała historia tutaj, nie jest jasna. Jeśli chcesz, możesz tu zrobić południowy popas i wysłać Holly'ego na godzinę. Kiedy wróci, będzie wiedział więcej.

— Godzina to za długo, czyż nie?

Ward skinął głową na znak zgody.

Loring oznajmił stanowczo:

— Ale z jakiego powodu chcesz to sprawdzić?

— Z innego niż twój, kapitanie — mruknął Ward. — Kogokolwiek byś złapał, wojowników czy nie wojowników, mógłby nam powiedzieć więcej o planach Diablito i tym, co o nim wie, niż wiemy teraz. Ale to nie jest zgodne z rozkazami, prawda?

Loring oświadczył z uporem:

— Mam twoje słowa, że prawdopodobnie znajdziemy tropy Apaczów w drodze powrotnej. Czy mam podzielić swój oddział i stracić swojego przewodnika dla pościgu za kobietami i dziećmi, czy mam go pozostawić przy sobie dla bardziej prawdopodobnej perspektywy, która zaszkodzi Diablito?

— Nie stracisz swojego przewodnika — odparł cicho Ward. — Ja pojadę.

Zaskoczenie odbiło się na twarzy Loringa, a on i Ward w milczeniu przyglądali się sobie nawzajem. Loring z wysiłkiem próbował wyczytać, co kryje się za ofertą, a puste oblicze Warda nie zdradzało żadnych powodów jego decyzji. Loring ponownie popatrzył na Bailey's Peak, a kiedy jego wzrok powrócił z tej dalekiej podróży, skierował się na Linusa.

— No dobrze. Linusie, zabierzesz sierżanta Macka i siedmiu ludzi, oraz Kinsmana jako przewodnika. Spróbujesz dogonić tę grupę przed zapadnięciem zmroku. Nie wolno ci iść dalej niż do obozu, który rozbijesz dziś wieczorem. Jutro zawrócisz i udasz się do Craig. Bez wątpienia spotkamy was w drodze powrotnej.

Linus zasalutował zamaszyście, odwrócił się i zawołał:

— Sierżancie!

Ale sierżant Mack, który słyszał rozmowę, już kłusem zmierzał w stronę kolumny.

Loring ściągnął swój czarny kapelusz i otarł czoło oraz włosy chusteczką, a zdziwione spojrzenie Warda na chwilę, zanim się odwrócił, zatrzymało się na tym człowieku. Było tu coś, czego nie rozumiał. Podporucznicy tacy jak Linus notorycznie z zapałem garnęli się do akcji i najczęściej odmawiano im tej możliwości na rzecz starszych oficerów. Loring, dowodzący, wypytywał swojego przewodnika, dopóki nie uzyskał od niego opinii co do akcji; a potem, zamiast oddelegować swojego młodszego oficera do mozolnej pracy w eskorcie i samemu przejąć szansę na akcję, odmówił. Odmówił? Ward nie był pewien. Albo był to akt

hojności, albo odrobina tchórzostwa, a Ward raczej wątpił w tę drugą możliwość.

Sierżant Mack wybrał siedmiu ludzi z oddziału, sprawdził, czy mają pełne manierki, a Loring natychmiast ruszył dalej całą kolumną, ponownie kierując się w stronę cienia Credit Canyon, gdzie mieli odpocząć, i pozostawiając za swymi plecami, wiszącą chmurę gorzkiego pyłu.

Linus dał znak sierżantowi Mackowi, a potem powiedział Wardowi:

— Nie zaproponowałbym niczego, poza wyprzedzeniem tej bandy. Jaki jest najlepszy sposób, żeby tego dokonać?

Ward opowiedział mu o trzech głównych grzbietach Bailey's Peak, po wschodniej stronie, które rozciągały się jak macki rozgwiazdy; najwyraźniej banda zmierzała w górę środkowej doliny - Calendar Canyon - i jeśli nie będzie niepokojona, powinna trzymać się znanego szlaku.

— Więc spróbujemy ich wyprzedzić? — spytał ponuro Linus. — Nasze konie są już na szlaku jakichś piętnaście godzin.

— Jest jeszcze jedna możliwość do wyboru — powiedział Ward. — Na początku Calendar Canyon jest źródło. To nie jest dobra woda, ale nadaje się do picia. Możliwe, że tam rozbiją obóz. Możesz zaryzykować i celować od razu tam.

— Kiedy tam dotrzemy?

— Po zmroku.

Linus milczał przez dłuższą chwilę, rozważając te kwestie, a sierżant Mack przyglądał mu się z głęboką uwagą. Wybór był prosty; albo porucznik Delaney mógł poprowadzić swoich ludzi i ich wierzchowce z perspektywą, że wyczerpani będą musieli stoczyć walkę przed zapadnięciem zmroku, albo mógł wybrać łagodniejszą, ostrożną inną drogę, która niczego nie obiecywała i mogła okazać się bezowocna. Był to trudny wybór dla młodego porucznika, który chciał walczyć, ale w wyrazie twarzy Macka widać było zdecydowaną opinię.

Linus oznajmił po chwili:

— Zagrajmy bezpiecznie. Celujemy w źródło.

Ward zobaczył, jak Mack nieznacznie skinął głową, a cień uśmiechu musnął jego usta, zanim odwrócił się do czekających żołnierzy.

Popołudnie było istnym piekłem. Ward przeprowadził oddział o dwa grzbiety na wschód, a potem rozpoczęła się mozolna, duszna wspinaczka, której szybkość mierzono zmęczeniem wierzchowców i trudnością przecinających im drogę kanionów, których ściany odbijały duszące gorąco.

Raz zrobili odpoczynek i ruszyli dalej, Linus obiecał, że o zachodzie słońca odpoczną dłużej. Nadal znajdowali się w trudnym terenie, ale kaniony stały się płytsze, i pojawiły się sporadyczne karłowate cedry walczące o oparcie dla swych korzeni, w kieszeniach kamienistej gleby. W ciasnych kanionach cuchnący zapach potu końskiego i ludzkiego wisiał niemal chmurą w powietrzu, a żołnierze, z twarzami szarymi od kurzu i opuchniętymi oczami, ze znużeniem zatopili się w milczeniu na skutek gorąca.

Wraz z zapadającym zmrokiem nadeszła ulga od upału, a Ward, póki jeszcze mógł cokolwiek zobaczyć, wspiął się na grzbiet wzgórza i rozejrzał

się po okolicy, po czym wrócił, by skierować kolumnę nieco bardziej na zachód. Główna część szczytu Bailey's Peak, nawet w narastających ciemnościach, wypełniała czarną i złowieszczą sylwetką połowę północnego nieba.

Minęła kolejna godzina ciemności, przerywana jedynie ponurymi przekleństwami ludzi lub szurnięciem potykającego się zmęczonego konia, zanim Ward się zatrzymał. Linus, dojeżdżając do niego, cicho zatrzymał oddział.

— W dolinie za następnym grzbietem — poinformował Ward. Wiedziałby to bez żadnych punktów orientacyjnych w terenie, ponieważ jego koń, czując zapach wody, niespokojnie unosił głowę.

Sztywno zsunął się z siodła i powiedział:

— Odpocznijcie trochę. Rozejrzę się — i szybko zniknął w ciemnościach.

Podchodzenie po skalistym zboczu sprawiło, że nogi zaczęły go boleć. Wspinał się szybko, cicho, czując w pewnej chwili, jak podeszwa jego mokasyna ociera się o kolce opuncji. Na szczycie grzbietu przycisnął się do ziemi, czołgając się powoli, czując, jak jego zmysły wyostrzają się, i w pewnej chwili, zatrzymał się.

W dole, w płytkiej dolinie, znacznie mniejszej niż ta, z której tu przeszedł, płonął dogasający ogień. Przyjrzał się otaczającemu go terenowi i wkrótce dostrzegł kilka rozproszonych śpiących postaci. Policzył je i, dopuszczając że mógł jakąś przeoczyć, wyszło mu siedem. Źródło wypływało z podstawy grzbietu, na którym się znajdował, i dlatego było niewidoczne.

Kiedy się rozglądał, jedna z postaci poruszyła się i wstała. Był to starszy mężczyzna, który ruszył w górę kanionu. Ward nastawił uszu i usłyszał, jak Indianin zmienił miejsca wypasu koni przywiązanych na kołkach w rzadkiej trawie w kanionie. Kiedy tamten wrócił i położył się ponownie, Ward wycofał się z grzbietu i wrócił do oddziału.

On, Linus i Mack omówili rozkład obozu; zgodzili się, że atak z góry kanionu zaniepokoiłby konie i obudził obóz, podczas gdy atak z dołu kanionu zmusiłby grupę do wycofania się w stronę koni. Linus wybrał atak z grzbietu i po wyznaczeniu koniowodnych i wydaniu rozkazu zdjęcia z butów ostróg, Linus zebrał oddział wokół siebie.

— Będą tam kobiety i dzieci. Nie strzelajcie do nich. Wojownicy to uczciwa zwierzyna, jeśli będą walczyć, ale pamiętajcie, że potrzebujemy jeńców. Uformujemy linię ataku po tej stronie grzbietu i przejdziemy cicho. Poczekacie ze strzałem na mój rozkaz. Ward i sierżant Mack będą najdalej na prawo, aby odciąć im odwrót do koni. Ani słowa. Sygnał do rozstawienia się da człowiek przed wami, dotykiem: wy dotkniecie człowieka za sobą. Ani słowa.

Wkrótce dotarli do grzbietu i ruszyli rzędem w górę, Ward na czele. Od czasu do czasu słychać było szeptane przekleństwa, ale wspinaczka była w miarę cicha. Tuż pod grzbietem żołnierze rozstawili się w szyku bojowym i dano sygnał do natarcia.

Dotarli do wierzchołka grzbietu wzgórza i byli już w jednej trzeciej drogi w dół, gdy jeden z koni w kanionie zarżał. Starzec poderwał się na nogi, krzycząc, a cały obóz zdawał się zakotłować.

— Do ataku! — zawołał Linus i nieuchronne było, że któryś z żołnierzy źle usłyszy rozkaz i wystrzeli. Cała linia bojowa ruszyła biegiem chaotycznie w dół zbocza, a Linus zobaczył, że starzec krzyczy i pędzi do koni. Ward był już prawie na dnie kanionu i sam, ponieważ Mack zatrzymał się, by wycelować w starca. Strzał był niecelny i zaraz po nim Ward wbiegł w dno kanionu. Starzec, widząc go, zmienił się natychmiast w ruchomy cień, zmierzający w jego stronę, i Ward uniósł rewolwer oraz wystrzelił. Starzec padł, przetoczył się i momentalnie zerwał się po tym udawanym upadku niczym wańka-wstańka, a kiedy się podnosił, w słabym świetle zabłysnął matowo jego nóż. Drugi strzał Warda powalił go na ziemię i usłyszał donośny głos Macka, krzyczącego:

— Drugie zbocze, drugie zbocze!

Trzy schylone postacie wspinały się zygzakiem na przeciwległy grzbiet, zatrzymując się tylko, by wystrzelić z karabinów do żołnierzy. Jednocześnie Ward zobaczył unoszącego rewolwer i strzelającego Linusa. Jedna z postaci zwolniła, drgnęła i bez słowa oparła się o skałę. Pozostałe zniknęły zupełnie. Kobieta Apaczów uciekająca na oślep przed frontem żołnierzy strzelających w górę zbocza uderzyła w Linusa i powaliła go na kolana, ale miał na tyle przytomności umysłu, by zawołać:

— Mack, wyprzedźcie ich koło koni!

Jakiś żołnierz rzucił się na uciekającą kobietę i ją powalił. Druga kobieta zawodziła przenikliwie, a dziecko, które trzymała, zaczęło płakać. Mack przebiegł koło Warda, pociągając za sobą innego żołnierza i kierując się w stronę koni, a żołnierz Ennis zaczął wspinać się na przeciwległe zbocze, ale zastanowił się, wycelował w postrzelonego Apacza i strzelił. Ciało poruszyło się i znieruchomiało.

Wszystko się zakończyło. Linus kopniakiem rozjarzył ogień i zobaczył leżącą obok niego pod kocem ludzką postać. Szturchnął ją łagodnie czubkiem buta, a postać wyszła spod koca i usiadła. Był to mężczyzna, Apacz, po średnim wieku i z dumą spojrzał na Linusa.

Linus, z błyszczącymi z podniecenia oczami, powiedział:

— Nie lubisz walczyć i nie lubisz biegać. Dobry Apacz.

Usłyszał, jak zbliża się Ward, odwrócił się i zapytał:

— Czy on jest jakiś chory? — i nie czekając na odpowiedź, odszedł, by spojrzeć na pozostałych więźniów.

Żołnierze pchali w stronę ognia kobietę z dzieckiem. Podążała za nią starsza kobieta. Dwóch żołnierzy kłóciło się, czy uciekło dwóch czy trzech mężczyzn, i doszli do wniosku, że było ich dwóch, podczas gdy Linus przeliczył swoich ludzi.

— Grady i Bord! — zawołał Linus. — Przyprowadźcie koniowodnych!

Sierżant Mack i Baltizar wrócili, każdy z nich prowadził tylko po dwa mustangi Apaczów, a Mack oznajmił żałośnie:

— Spóźniliśmy się, panie poruczniku. Dwa zniknęły.

Linus rozkazał, by uwiązać konie blisko siebie na kołkach, wystawić warty, a następnie zajął się jeńcami, podczas gdy pozostali żołnierze rzucili się na ziemię, aby porozmawiać o walce.

Dalej, w górze kanionu rozległ się głos sowy, na który natychmiast odpowiedział podobny z grzbietu na zachodzie. Ward zobaczył, jak wojownik Apaczów odwrócił głowę i zaczął słuchać, jego twarz była nieprzenikniona.

Linus również to usłyszał i stwierdził:

— No cóż, przekażą wiadomość Diablito. Ile mamy czasu?

— Możemy tu odpocząć jakąś godzinę — odparł Ward.

Linus skinął głową w stronę wojownika.

— Zacznij od niego. Spytaj go, dlaczego nie chciał walczyć.

Ward zrobił to i otrzymał odpowiedź, że jego rozmówca jest chory, nie ma nic przeciwko białemu człowiekowi i że został tu przywieziony wbrew swojej woli. Kiedy Apacz mówił, Ward popatrzył na kobietę Apaczów, zwykłą dziewczynę, siedzącą samotnie z dzieckiem. Pomyślał, że z nią pójdzie mu lepiej, i natychmiast zostawił wojownika, podszedł i rozniecił kopnięciem ogień, żeby było jaśniej.

Dziewczyna Apaczów spoglądała na niego ponuro, jej oczy były jasne, rozgoryczone i pełne tajemnic. Ward wiedział, że się nie boi; życie w rezerwacie nauczyło ją, czego oczekiwać od armii w kwestii traktowania. Był jednak pewien sposób, aby to pokonać, i odezwał się w gardłowym języku Apaczów:

— Ten chory mężczyzna wygląda trochę jak Meksykanin.

— Jego matka była Meksykanką — odpowiedziała dziewczyna. — On jest moim ojcem.

Linus, słuchając, spojrzał na Warda z oczekiwaniem, ale Ward znów odezwał się do dziewczyny, nie podchodząc do niej, próbując uczynić rozmowę jak najbardziej swobodną i luźną.

— Czy wszyscy ci ludzie byli chorzy, twój ojciec, ci dwaj, którzy uciekli, i ci dwaj martwi?

— Nasze konie były bardzo zmęczone.

Ward milczał przez chwilę, zastanawiając się, czy to jest właściwa chwila, aby zaryzykować i zadać pytanie, które dręczyło go od południa. Uznał, że tak, i spytał:

— Czy byli źli, że przodem razem z wojownikami wyruszyła kobieta, podczas gdy oni musieli pilnować kobiet i dzieci?

— Tak. Nie mogli nic zrobić, ponieważ kobieta była częścią bandy Sal Juana, a oni nie.

Ostrożna euforia wezbrała w Wardzie; jego przypuszczenie, o którym nikomu nie wspomniał, nawet Linusowi, potwierdziło się. Teraz powiedział:

— Jak wyglądała ta biała kobieta? Czy jest inna niż te, które wiedziałaś wcześniej?

— Mówili mi, że początkowo była bardzo dumna — powiedziała dziewczyna. — Teraz ciężko pracuje.

Ward spuścił wzrok, na ogień, jego twarz była zupełnie nieruchoma.

— Czy została wzięta na żonę?

— Nie. Mówią, że jest zbyt dziwna.

Cierpliwość Linusa się wyczerpała i zapytał:

— Co ona mówi, człowieku?

— Powiedziała, że w bandzie, która wyruszyła przodem, była Mary Carylyle, że jest zdrowa i nikt jej nie wziął za żonę.

Linus gwizdnął z okrzykiem i zamyślił się patrząc na Warda.

— Wiedziałeś o tym, prawda? Dlatego zaoferowałeś się pojechać ze mną!

Ward skinął głową, a Linus uśmiechnął się, podnosząc się na nogi.

— Następnym razem może nam się uda.

Właśnie nadeszli koniowodni, i Linus wydał rozkaz godzinnego odpoczynku. Wartownicy mieli zostać zmienieni za pół godziny. Apacze rozłożyli się razem wokół ognia, a żołnierze, nieludzko zmęczeni, wycisnęli sobie w ziemi zagłębienia pod biodra i ramiona, po czym zasnęli bez koców.

Ciche rozmowy Apaczów dotarły do Warda, gdy rozciągnął się zmęczony na ziemi i owinął kocem, pozwalając, by ból zmęczenia rozszedł się po całym jego ciele. Linus podtoczył się blisko, i Ward, myśląc o tym dniu i przebiegu wydarzeń, wiedział, że Linus dobrze sobie poradził. Ward był pewien, że będzie dobrym oficerem - oficerem, którego żołnierze będą kochać bez wstydu.

Głos Linusa, delikatny i niepewny, przerwał jego myśli.

— Nie śpisz?

— Tak.

Linus przez chwilę się nie odzywał, a potem powiedział:

— Odnośnie tego, co powiedział Riordan, zanim go uderzyłeś. — Przerwał na chwilę. — Kocham jego żonę. Chyba musiał się tego domyślić.

Ward nic nie powiedział, czekając, zastanawiając się.

— Ale ona była mu wierna, bo taka już jest. Ukradłbym mu ją, gdybym tylko zdołał, Boże mi dopomóż, ale ona tego nie chce. — Dodał: — Dzięki za ściągnięcie mi z karku Loringa.

Ward powiedział:

— Jasne. Ale co zamierzasz z tym zrobić, Linusie?

— Będę udawał, że zdołam o tym zapomnieć. Ona też.

Ward wiedział, że nie ma już nic więcej do powiedzenia. W jednej chwili zrozumiał gorzką beznadzieję leżącego obok niego człowieka. Sztywny kodeks postępowania, który stworzyła armia, nakazał rozdział między szeregowcami i oficerami oraz między ich kobietami. Nawet męska pasja i lekkomyślność nie miały szans na pokonanie tej przepaści. Była ona tam zawsze, nieubłagana i absolutna.

Wyjazd spod źródła, godzinę później, odbył się szybko i bez słowa. Żołnierze byli nieco odurzeni odrobiną snu, ale wiedzieli, że muszą stąd szybko odjechać. Pod osłoną ciemności byli bezpieczni przed atakiem, ale jeśli zostaną, o świcie zostaną osaczeni przez przeważające liczebnie posiłki z bandy Diablito i unicestwieni. Jeńcy jechali pośrodku oddziału, z żołnierzem na każdej flance, ale nie wykazali chęci ucieczki.

Ward natychmiast skręcił na następny grzbiet na wschodzie, przekroczył go, podążył starym szlakiem, opuścił go, wrócił na niego i znowu opuścił, cały czas kierując się na wschód. Wiedział, iż nie ma

najmniejszej nadziei na to, że uda mu się ukryć ich trop nawet pod osłoną nocy, ponieważ tropiciele Apaczów potrafili zarówno wyczuć ślad w ciemności, jak i wywąchać zapach pyłu pozostawionego przez oddział, ale mógł ich zwodzić co do swoich zamiarów, tak aby nie mogli go okrążyć w ciemności i zaskoczyć na szlaku o świcie.

O świcie znaleźli się już na bardziej otwartym terenie, Linus wystawił flanki i wkrótce podążyli drogą do Craig daleko na wschód od miejsca, w którym ją opuścili. W pełnym świetle dnia, za osłoniętym grzbietem, na którym wystawili punkt obserwacyjny, zjedli zimne śniadanie i ruszyli dalej, z każdą milą zmniejszając szansę na odwet Diablito.

W południe zobaczyli odległą chmurę kurzu wzbijającą się zza niskiego wzgórza, która oznajmiała kolumnę Loringa, w drodze powrotnej. Spotkali się w ciasnym rzędzie w kanionie, minęli ich najpierw flankujący Loringa, salutując Linusowi, a następnie wymieniając krótkie pozdrowienia z żołnierzami oddziału Linusa, gdy ci przejeżdżali koło nich.

Loring i Holly ściągnęli wodze koni, a Linus zsiadł i sztywno podszedł do konia Loringa. Zasalutował i zameldował nieformalnie:

— To był owocny zwiad, Ben. Dogoniliśmy i rozbiliśmy siedmioosobową bandę przy Calendar Springs, po zmroku. Żadnych ofiar po naszej stronie, dwóch u nich. Reszta rozproszyła się w nocy, ale mamy kolejną trójkę. Kinsman rozmawiał z tą dziewczyną i ustalił, że Mary Carlyle była z wojownikami, którzy podróżowali przodem, przed tą grupą. Jest w dobrym zdrowiu, jak mówi ta kobieta.

Szeroka twarz Loringa wyrażała całkowite zdumienie, gdy przeniósł wzrok na Warda.

— Pani Carlyle była w tej grupie?

Ward skinął głową, a Loring oznajmił:

— Świetnie, świetnie. Wspaniała robota, Kinsman. Wszyscy jesteśmy ci dłużni. — Popatrzy na Linusa. — Dobra robota, Linusie. — Zwrócił się teraz do kaprala Amesa i zawołał: — Kiedy opuścimy ten kanion, zrobimy sobie przerwę, kapralu.

Wtedy Linus popatrzył na kolumnę Loringa, a potem odsunął się, żeby mieć lepszy widok. Powiedział ze zdziwieniem:

— Storrow, kiedy do nas dołączyłeś?

Odpowiedział Loring.

— Wiadomości Storrowa z Gamble nie mogły być gorsze, Linusie. Kilka godzin po tym, jak opuściliśmy posterunek, szeregowy Riordan zaatakował majora Brierly'ego widłami. Major jest w poważnym stanie, z przebitym płucem i bokiem.

Ward zobaczył, jak twarz Linusa zbladła pod rumieńcem słońca i powiedział powoli:

— Powiedziałeś, że zrobił to żołnierz Riordan?

— Tak. Człowiek, którego uderzył Kinsman. Storrow strzelił do niego i zranił w nogę.

Storrow zauważył łagodnie:

— Zwracasz się do naszego nowego dowódcy, Linusie.

Linus powiódł wzrokiem od Storrowa do Loringa i z powrotem, a potem powiedział:

— Oczywiście. Starszy kapitan. Moje gratulacje, Benie, chociaż przykro mi z powodu tej sytuacji.

Loring odparł:

— Dziękuję, Linusie — i teraz popatrzył na Warda. — Z przyjemnością wyślę z tobą oddział do Craiga, Kinsman, jeśli nadal jesteś zdecydowany nas opuścić.

W jednej chwili Ward pojął konsekwencje wypadku Brierly'ego. Loring będzie dowodził w polu, kierując pościgiem i schwytaniem Diablito. Z Brierlym jako dowódcą, Ward był pewien, że będzie to profesjonalna, żołnierska, inteligentna i wytrwała kampania; z Loringiem u steru, nie wiedział, jak to będzie wyglądało.

Linus spoglądał na niego teraz, z ogromną prośbą w oczach i nic nie mówił. Ward odchylił do tyłu kapelusz i poczuł, że podjął decyzję, a potem powiedział, niemal zaskoczony własnymi słowami:

— No cóż, Gamble pasuje mi tak samo dobrze jak Craig, kapitanie. Mogę równie dobrze wrócić z wami.

Rozdział 4

Z wejścia do kwatery dowódcy Ann widziała jak na plac apelowy wjeżdża zmęczona kolumna żołnierzy. Zarówno jej uwaga, jak i ciekawość wyostrzyły się natychmiast, kiedy zobaczyła, że Kinsman pchnął konia aby wyjechać z kolumny, i zaczęła się zastanawiać, skąd się u niej wzięło to podekscytowanie. Głos Bena Loringa, który rozpuścił oddział, ściągnął jej uwagę na niego. Kapitan zsiadł z konia, krótko naradził się z porucznikiem Storrowem, po czym oddał wodze sierżantowi Mackowi i ruszył prosto w jej kierunku.

Zauważyła, że szedł ciężko, jakby był zmęczony. Nawet z tej odległości widziała, że jego wyblakła niebieska koszula była mniej szara od kurzu niż u innych, i pomyślała: *„Oczywiście, przecież ich prowadził*". Od tej chwili będzie ich prowadził, w innym tego słowa znaczeniu, a ona przez chwilę zastanawiała się, co myślą o tym jego ludzie. Podczas jazdy z eskortą z Santa Fe widziała wystarczająco wiele, aby się zorientować, że ludzie wokół niego zachowywali się swobodnie, a to mówiło jej, że jest uczciwym człowiekiem. Obecnie nie był już jednak tylko kolejnym zdolnym kapitanem; był ich dowódcą.

Kiedy ją zobaczył, pomachał jej, a gdy szedł w jej stronę, zdjął kapelusz. Pas skóry między linią jego ciemnych włosów a miejscem, w którym opierał się kapelusz, był zaskakująco blady w kontraście z jego zaczerwienioną z gorąca twarzą. Wąsy miał lekko posrebrzone kurzem.

Powiedział:

— Ann, jak możesz wyglądać tak świeżo w tym upale?

Ann wiedziała, że nie wyglądała świeżo; wiedziała również, że powiedział to mechanicznie, w ramach zwyczajowego męskiego komplementu, i zdawała sobie sprawę, że jego podstawowym zmartwieniem był major Brierly. Mimo to ucieszył ją ten komplement i była lekko poirytowana, że tak się stało.

— To był dobry zwiad, prawda, Ben? Widziałam, że wrócili wszyscy ludzie z oddziału i przywieźliście paru więźniów.

— Był, dzięki Linusowi i Kinsmanowi — oznajmił wspaniałomyślnie Loring. Popatrzył na nią z wyraźną i otwartą przyjemnością, po czym zapytał poważnie: — Jak się czuje major Brierly?

— Doktor Horton mówi, że nie najlepiej. Kiedy się z nim spotkasz, Ben, to czy zrobisz to bardzo, bardzo krótko?

— Tak. Zresztą chodź ze mną, Ann.

Ann poprowadziła go do domu, przez salon, który był bezładną kawalerską mieszaniną mebli pożyczonych lub odziedziczonych po

poprzednich lokatorach, do sypialni po prawej stronie prowadzącego do kuchni korytarza.

Żaluzje były zamknięte w ochronie przed oślepiającym słońcem, a w pokoju panował duszny, mdlący upał. Major Brierly leżał na plecach na żelaznym łóżku, w przeciwległym rogu pomieszczenia, i Loring podszedł do niego oraz zasalutował.

— Jak się pan ma, panie majorze?

Ręka Brierly'ego uniosła się w powolnym geście rezygnacji, bagatelizując pytanie, po czym major powiedział cichym głosem:

— Horton mówi, że nie wolno mi dużo mówić. Przeprowadziłeś zwiad?

Loring opowiedział mu o zwiadzie Linusa, o potyczce z bandą Apaczów i pojmaniu dwóch kobiet oraz mężczyzny. Następnie, przerywając swój raport, zwrócił się do Ann, która stała w drzwiach.

— Ann, to jest wiadomość, na którą mieliśmy nadzieję. Kinsman dowiedział się z rozmowy z jedną z pojmanych kobiet, że Mary była w drodze do Diablito, w innej grupie, będącej zaledwie godzinę przed tą.

Ann poczuła niemal bolesne uniesienie, kiedy Loring kontynuował:

— Mary ma się dobrze, choć ciężko pracuje. Nie wzięto jej na żonę ani nie skrzywdzono w żaden inny sposób.

Ann opanowało nagle, niemal wszechogarniające współczucie dla siostry, a potem, w niewytłumaczalny sposób, przyszła jej do głowy myśl: *„Dlaczego nie powiedział mi tego od razu kiedy mnie zobaczył?*", a wraz z nią dziwna uraza. To było tylko przelotne uczucie i Ann pomyślała: *„Jestem przewrażliwiona, potrzebuję snu.*" Ben wrócił do rozmowy z majorem Brierlym; jego głos był łagodny, zwięzły, pełen szacunku i Ann zawstydziła się swoich myśli. *„On jest przede wszystkim żołnierzem. Muszę o tym pamiętać.*", pomyślała.

Teraz odezwał się Brierly.

— Jestem zmęczony, Loring. Przekaż te informacje do kwatery głównej i czekaj na dalsze rozkazy. Teraz ty tu dowodzisz.

— Bardzo mi przykro z tego powodu, panie majorze — powiedział Ben. Chciał jeszcze coś dodać, ale zamiast tego stanął na baczność, zasalutował i powiedział: — Myślę, że lepiej niech pan odpocznie, panie majorze.

Wróciwszy na werandę, Ben oparł się o poręcz balustrady i obrzucił przelotnie wzrokiem plac defiladowy, który teraz już opustoszał, nie licząc Apaczów prowadzonych do wartowni położonej koło piekarni. *„Tam będzie prawdziwy piekarnik*", pomyślał. *„Lepiej ich nakarmię, wyciągnę z nich informacje, a potem odeślę do rezerwatu.*" Lecz w tej chwili miał ochotę tylko patrzeć na Ann, być z nią i odwrócił się do niej.

— Musiałaś go pielęgnować, prawda? Poproszę panią Wolverton lub jedną z żon żołnierzy by cię zastąpiły, a ty odpoczniesz trochę.

Ann odparła:

— Wszyscy mi pomagali, Ben. — Jej zielone oczy były ciemne i zmartwione. — To był taki głupi wypadek. To nie powinno się przydarzyć nikomu, a już najbardziej majorowi Brierly'emu.

— Wiem. Jaka jest opinia Hortona?

— To poważna sprawa. Co dziwne, mówi, że istnieje ryzyko zapalenia płuc.

Loring skrzywił się.

— A co z Riordanem?

— Zwykła rana postrzałowa w nogę. Jest w szpitalu pod strażą.

— Szkoda, że Kinsman nie uderzył go mocniej — stwierdził Ben. Wstał i powiedział: — Lepiej zapoznam się z moją nową pracą. A teraz odpocznij, dobrze Ann?

Ann skinęła głową. Loring uśmiechnął się krótko i zszedł po schodach, kierując się żwirową ścieżką do swojej kwatery. Wzmianka o Kinsmanie nasunęła mu jeszcze jedną myśl: Dlaczego Kinsman zmienił zdanie co do wyjazdu do Craig? Oczywiście, ten człowiek był niespokojnym duchem, a dla tego rodzaju włóczykijów jeden posterunek był równie dobry jak inny, byle tylko miał co jeść i mógł znaleźć towarzystwo. Ale nawet jeśli przez przypadek bardzo im pomógł przy tym zwiadzie, było w nim coś, co Loringowi głęboko się nie podobało - wiara we własną nieomylność i szczęście, w połączeniu z pozbawionym celu, nieodpowiedzialnym stylem życia. Niemniej jednak, kiedy Loring wszedł na werandę, podjął decyzję. Nie miało znaczenia, czy akceptował Kinsmana, czy nie, zamierzał ponownie poprosić go, by służył jako zwiadowca, gdy wyruszą przeciwko Diablito. Rozsądnie byłoby też poprosić Linusa o pomoc w przekonaniu Kinsmana.

Kiedy wszedł do długiego korytarza biegnącego przez całą szerokość budynku, usłyszał pluskanie wody w łaźni na tyłach budynku. Przeszedł przez korytarz i wyszedł na zewnątrz; zajrzał do szopy. Kinsman odwrócił się, gdy usłyszał otwierające się drzwi; stał nagi pod prysznicem, namydlając klatkę piersiową, a jego chude ciało było zaskakująco białe w kontraście z głębokim brązem szyi, twarzy i rąk. Loring z zaskoczeniem zauważył długą, bladą bliznę, która zaczynała się na prawym ramieniu i przecinała plecy aż do lewego biodra.

Loring dobrodusznie oznajmił:

— Ty szczęściarzu, to tutaj właśnie chciałbym się znaleźć. Czy Linus kręcił się gdzieś w pobliżu?

— Mówił coś o odebraniu prania. — Kinsman nie uśmiechnął się; był uprzejmy, lekko zdystansowany, a Loring poczuł zażenowanie oraz urazę, które pojawiają się, gdy zostaje odrzucona czyjaś propozycja przyjaźni.

— Kiedy skończysz, mógłbyś wstąpić do biura — powiedział.

Kinsman tylko skinął głową.

Loring wycofał się i wrócił do swojego pokoju. Zauważył parę pomiętych koszul na łóżku Linusa, a potem, przypominając sobie o zleceniu Linusa, podniósł się gwałtownie. Patrząc teraz na koszule, powróciły dawne podejrzenia, które tłamsił w sobie od tej nocy, kiedy oddział wyruszył w drogę. Ponownie spróbował przypomnieć sobie dokładnie słowa pijanego Riordana, tamtej nocy, i znowu nie był w stanie. Był jednak pewien, że Riordan powiedział „złodziej żon", a nie „złodziej koni", jak to przekazał Kinsman. Nie był pewien, do kogo mówił Riordan i nigdy nie zdobędzie tej pewności. Ale teraz przypominał sobie popołudnie, kiedy wpadł na Linusa i panią Riordan za zamkniętymi drzwiami tego pokoju; pamiętał też nagły gniew Linusa, kiedy sprzeciwił się jego uwagom odnośnie stosowności tej sprawy. Wreszcie przypomniał sobie

minę Linusa po tym, jak Kinsman uderzył Riordana. A teraz, gdy ledwie opadł kurz po powrocie oddziału, Linus poszedł po swoje pranie. *„Oczywiście poszedł do pani Riordan*", pomyślał Loring.

Powoli opadł na krawędź łóżka, splótł palce, oparł łokcie na kolanach i oparł brodę na dłoniach. Wszystkie te jego podejrzenia, które stopniowo przeradzały się w przekonanie, budziły w nim niesmak. A jeszcze bardziej niesmaczny był wniosek, że Linus, absolwent Akademii, oficer i dżentelmen, miał romans z żoną prostego żołnierza. To nie tylko naruszało jego osobisty kodeks honorowy, ale także napawało Loringa głębokim, gniewnym obrzydzeniem. To było coś nikczemnego i obskurnego, oficer wychodzący z własnej klasy, by zadawać się z ladacznicą, żoną brutalnego i pospolitego żołnierza. Takich rzeczy nie powinien robić żaden dżentelmen, a tym bardziej oficer. Mogłoby to skutkować zwolnieniem Linusa, bez żadnych okoliczności łagodzących. I właśnie ta sprawa, jak teraz wyraźnie widział, doprowadziła do wypadku, który niemalże kosztował życie majora Brierly'ego. Gdyby Riordan nie próbował zaatakować Linusa - a nie Kinsmana - nie zostałby aresztowany. Gdyby nie został aresztowany, nie próbowałby uciec. Gdyby…

I wtedy jak grom z jasnego nieba przyszła mu do głowy pewna myśl i aż poderwał się na nogi. Czy Storrow nie doniósł, że Riordan ukrywał się na werandzie kwatery oficerskiej? Oczywiście, że tak, a teraz powód tego, był jasny jak słońce: Riordan, pijany w sztok, szykował się do ataku na Linusa w jego własnym pokoju, kiedy odkrył go major Brierly. To było ostatnie ogniwo w łańcuchu poszlak.

Ta myśl przeraziła go i przez chwilę wpatrywał się pustym wzrokiem w brudne koszule. Stopniowo jego umysł zaczął funkcjonować i z gorzką jasnością zobaczył, co go czeka. Z powodu wypadku Brierly'ego, był teraz dowódcą, a obowiązkiem dowódcy było regulowanie zachowania podległych mu ludzi, zarówno oficerów, jak i żołnierzy. Wcześniej, jako kolega oficera Linusa, mógłby zachować milczenie w kwestii tego, co wiedział, jak każdy dżentelmen, woląc, by czas i plotki ujawniły wreszcie tę sprawę. Lecz teraz, gdy w grę wchodziło morale podległego mu oddziału, nie mógł tego zignorować. Zachowanie Linusa było hańbą dla munduru i nie mogło być tolerowane. Jego obowiązki były jasne - a jednak, wiedząc o tym, musnęła go lekka fala współczucia dla Linusa, która szybko odpłynęła.

Obrócił się i wyszedł z pokoju, jakby chciał w fizycznym działaniu zagubić myśli, które go niepokoiły. Na werandzie zatrzymał się i pomyślał: *„Słuchaj, masz inne obowiązki, wszystkie bardzo ważne, i to one są w tej chwili najważniejsze.*"

Przeciął plac apelowy i wszedł do budynku Sztabu. Porucznik McKevett, jako oficer dyżurny, siedział za biurkiem; stanął na baczność i zasalutował, podobnie jak kaprale Wells i Samson, kanceliści.

Loring odwzajemnił salut i powiedział:

— Witaj, Mac. Proszę o poranny raport. Kapralu Wells, za kilka minut będę miał wiadomość dla oficera sygnałowego.

Wszedł do biura Brierly'ego - teraz jego biura - i zamknął za sobą drzwi. W pomieszczeniu było duszno, ale teraz prywatność wydawała mu

się ważniejsza niż świeże powietrze. Usiadł na krześle Brierly'ego i przeczytał późne depesze z kwatery głównej. W większości dotyczyły one potwierdzenia odbioru depesz informujących kwaterę główną o wypadku i stanie Brierly'ego. Była też jedna depesza potwierdzająca jego nominację na dowódcę. Kapral Wells przyszedł i zostawił poranny raport.

Teraz Loring przygotowywał swoją depeszę do Kwatery Głównej dotyczącą informacji o Mary Carlyle. Kiedy skończył, a kapral Wells był w drodze do oficera sygnałowego, Loring przeczytał poranny raport. Zauważył, że w szpitalu znajdował się tylko jeden pacjent, którym był Riordan. Oznaczało to, że Shallet, ich sanitariusz, wyszedł ze szpitala i znów był na służbie, co nie dawało Linusowi żadnej wymówki, by pójść do pani Riordan z praniem.

Odłożył pojedynczą kartkę papieru i wpatrywał się w okno, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Kapral Samson wszedł i powiedział:

— Pan Kinsman, panie kapitanie.

— Dziękuję, kapralu. Wprowadźcie go — odpowiedział Loring.

Kinsman wszedł do środka, a Loring machnął ręką w stronę krzesła przed biurkiem. Podniósł się, ściągnął na piersi lepką koszulę i powiedział:

— Cholerny kraj. Czy człowiek kiedykolwiek przestaje się tu pocić?

— Mówiono mi, że po jakichś czterdziestu latach — zażartował Kinsman.

Rozsiadł się wygodnie na krześle, a jego ruchy były powolne i swobodne. Miał na sobie parę nieporządnie wyglądających płóciennych spodni, wyblakłą koszulę z perkalu i indiańskie mokasyny z podwiniętymi, sztywnymi noskami. Loring, choć nie pochwalał niechlujności jego ubioru, zazdrościł mu tej swobody.

— Pomyślałem, że jak najszybciej odeślę tych Apaczów do Fort Apache — zaczął Loring. — Myślisz, że dalsze przesłuchania przyniosą coś nowego? — Jego głos brzmiał nieformalnie, grzecznie; chciał sprawiać wrażenie, że ustępuje bardziej doświadczonemu człowiekowi.

Kinsman zastanowił się przez chwilę, a Loring przyjrzał się jego twarzy. Była to silna twarz, z solidną strukturą kości pod oczami i na szczęce; jego brwi, nie blade, lecz o odcień jaśniejsze od ciemnej skóry twarzy, nadawały mu dziwnie pytający wygląd, któremu przeczyły jego bursztynowe oczy. Była w nich pewna tajemniczość, której Loring nie potrafił przeniknąć, rodzaj opanowania wykraczającego poza zwykłą rezerwę. Być może wynikało to z długiego związku Kinsmana z Indianami, którzy, jak Loring zawsze wierzył, pozbawieni byli wyrazu twarzy, z najlepszych możliwych powodów, ponieważ nie mieli do wyrażenia żadnych myśli, ani emocji.

— Nie sądzę, by mogli powiedzieć nam coś więcej. Spróbuję jeszcze raz, jeśli chcesz.

— Spróbuj jeszcze raz — polecił spokojnie Loring i odchylił się do tyłu na krześle. — Co myślisz o tym, żeby zatrzymać tutaj tego Tanę i użyć go jako zwiadowcy, kiedy wyruszymy w pole?

Kinsman znów milczał przez dłuższą chwilę.

— Sam nie wiem.

— Jego historia brzmi tak, że dołączył do Diablito tylko po to, by zaopiekować się córką i jej dzieckiem. Jej mąż wyciągnął ją z rezerwatu. Wydaje się też inteligentny. I pamiętaj, że nie walczył z nami.

— Tak, też to pamiętam — powiedział cicho Ward.

— Czy to świadczy przeciwko niemu?

Kinsman wzruszył ramionami, a Loringa uderzyło podobieństwo tego gestu do gestu Indianina.

— To może być policzone jako jego zasługa. Z drugiej strony mogło być tak, że myślał trochę szybciej niż inni i nie widział powodu, by wstawać i umierać. A może obudził się za późno, by uciekać. Nie wiem.

Loring zastanowił się nad tym i odrzucił te wątpliwości.

— Jeśli będziemy ostrożni, nie sądzę, by mógł nam zaszkodzić. Możemy wykorzystać go jako zwiadowcę i tropiciela dla Oddziału I, skoro G będzie miał Holly'ego.

Kinsman skinął głową i teraz Loring stanął twarzą w twarz z pytaniem, które chciał zadać, a na które nie był gotowy. Przez krótką chwilę wahał się, czy je zadać, a potem pomyślał, że to przecież na wpół piśmienny pograniczny włóczęga; czego ja się wstydzę?

— Byłem zaskoczony, że zmieniłaś zdanie co do wyjazdu do Craig. Czy można zapytać, dlaczego?

— Kaprys.

Loring uśmiechnął się z lekką drwiną.

— Jeden posterunek jest równie dobry jak inny, co?

— Nie, niektóre są lepsze od innych — odparł Kinsman.

Loring próbował coś z tego wyczytać i nie udało mu się. Kontynuował więc, dość uprzejmie:

— Cieszę się, że wróciłeś z nami. Czy fakt, że odkryłeś obecność Mary Carlyle w bandzie, miał jakiś wpływ na twój wybór?

Kinsman skinął głową.

— Czy to oznacza, że ponownie rozważysz swoją odmowę służenia jako przewodnik w terenie?

— Już to rozważyłem — oznajmił powoli Kinsman. — Zgodzę się.

Loring odchylił się na krześle, starając się ukryć zdumienie. Po chwili poczuł lekkie zaciekawienie, a nawet podejrzliwość. Zapytał z widoczną ciekawością:

— Czy można zapytać, co zmieniło twoje zdanie?

Kinsman popatrzył na niego beznamiętnie.

— Służyłem z Brierlym dwa razy i znam go dobrze. Każdy z pół tuzina ludzi mógłby poprowadzić go tym razem i zrobić to równie dobrze jak ja. Rezultat byłby taki sam. Tyle, że tym razem, Brierly'ego nie będzie.

Zakończył swą przemowę, a Loring poczekał chwilę, aż ją wznowi. Kiedy tego nie zrobił, Loring zastanowił się nad implikacjami tego, co powiedział Kinsman, a następnie spytał chłodno:

— A więc teraz, gdy major Brierly został ranny, nie jesteś już tak pewny umiejętności jego następcy. Czy o to chodzi?

Kinsman skinął głową.

— Przynajmniej, szczerze powiedziane — stwierdził Loring. Poczuł, że jego twarz oblewa rumieniec zażenowania. Kinsman nadal nic nie mówił.

— Osobiście — oznajmił Loring — nie żywię do ciebie ani sympatii, ani niechęci. Uważam jednak, że jesteś lepszy niż zwykły przewodnik i dlatego chciałbym mieć cię przy sobie. Więc teraz wiemy, na czym stoimy, prawda?

— Zawsze wiedziałem — odparł łagodnie Kinsman. Podniósł się.

Temperament ponownie skłonił Loringa do mówienia i teraz powiedział:

— Zrozum, Kinsman, że teraz ja dowodzę tym posterunkiem. Moje metody niekoniecznie są zgodne z metodami majora Brierly'ego.

— Co mi próbujesz powiedzieć? — spytał cicho Kinsman.

— Że dostaniesz dziesięć dolarów dziennie za doradzanie mi, kiedy wyruszymy w pole i tylko za to. Na przykład, zatrudnię Tanę bez względu na to, czy się na to zgodzisz, czy nie. Nie jesteś częścią tej armii, chcę przez to powiedzieć. Nie widzę powodu, dla którego cywil miałby dyscyplinować moich żołnierzy, tak jak ty zrobiłeś to tej nocy, gdy wyjeżdżał oddział płatnika. Nie widzę też powodu, dla którego moi oficerowie nie mieliby cieszyć się twoim towarzystwem - ale tylko wtedy, kiedy będą tego chcieli.

Loring dostrzegł zły błysk gniewu w oczach Kinsmana; potem Kinsman odwrócił się i wyszedł cicho z pokoju, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Loring uśmiechnął się krótko, czując, jak jego własny gniew słabnie. Pomyślał krytycznie, że dobrze poradził sobie z Kinsmanem; ten człowiek był wynajętym pomocnikiem, był tu jedynie tolerowany, i nadszedł czas aby mu to powiedzieć.

Teraz zastanawiał się nad pozostałymi sprawami. Była jeszcze sprawa porucznika Delaneya. (Zmusił się, by myśleć o Linusie bezosobowo, jako o zbłąkanym poruczniku o nazwisku Delaney, którym dowodził). Wstał, zmuszając się do podjęcia decyzji, i podszedł do drzwi.

— Kapralu Samson, moje pozdrowienia dla porucznika Delaneya i proszę mu…

Głos mu zamarł i przestał mówić. Nie, to była straszna odpowiedzialność i musiał to przemyśleć. Powiedział:

— Nieważne, kapralu — i ponownie zamknął drzwi.

Ward wyszedł z budynku Sztabu na rażące popołudniowe słońce i skierował się prosto przez plac apelowy w stronę domu Brierly'ego. Z wyjątkiem nagłego przypływu gniewu - dziwnie niepokojącego - był całkowicie obojętny na wszystko, co powiedział mu Loring. Złożył obietnicę i dotrzyma jej. Jeśli chodzi o jego przyjęcie na posterunku, ocenił to dokładnie już dawno temu. Nie było tu oficera, który nie byłby jego przyjacielem i który nie cieszyłby się z jego rzadkiego towarzystwa. Z perspektywy kilku chwil, jakie minęły, reprymenda Loringa wzbudziła w nim rozbawienie i zrozumienie. Człowiek, który miał jakiekolwiek własne zdanie, lubił urządzać wszystko po swojemu; dla Loringa zaakceptowanie czegokolwiek w stylu Brierly'ego oznaczałoby, że jest człowiekiem o kiepskim charakterze, rozumie i dumie.

Ciepło ubitej ziemi przebijało się przez jego mokasyny, a po chwili zobaczył Linusa, który z praniem pod pachą wyszedł zza rogu kwater oficerskich i udał się w cień werandy. Jego długie nogi wlokły się z trudem

i Ward widział, że jest zmęczony. Przypomniawszy sobie o tym, zmienił kierunek swojej drogi i zawołał:

— Kapitan Loring chyba cię szukał, Linusie.

Usłyszał, jak Linus jęknął i powiedział:

— Nigdy się nie wykąpię.

Linus pomachał mu z podziękowaniem, a Ward poszedł dalej, kierując się do schodków domu Brierly'ego.

Pani Wolverton, żona kapitana Wolvertona, wyszła przez drzwi na werandę. Wyglądała na zmęczoną, blondynka, szczupła, z niedbałym, wesołym uśmiechem, a kiedy zobaczyła Warda, powiedziała:

— Miałeś przyjść do nas dzisiaj na kolację, ale teraz moja kolej, żeby posiedzieć tutaj. A może jutro wieczorem?

— Chętnie, Emmy — odpowiedział Ward.

Z wnętrza domu dobiegł przytłumiony głos Ann:

— Nie bądź głupia, Emmy, ja mogę…

Podeszła do drzwi, zobaczyła Warda i urwała, po czym powiedziała poważnie:

— Witam. Więc wrócił pan?

— Nie mogłem wyjechać bez jednego z obiadów Emmy — odparł Ward.

— Antylopa i świeże brzoskwinie — zadrwiła pani Wolverton. Odwróciła się i powiedziała: — Nie, Ann, wolę mieć go na obiedzie jutro wieczorem. Będę za chwilę.

Rozwiązała fartuch, który miała na sobie, zarzuciła go sobie na jasne włosy i wyszła na słońce. Ward uśmiechnął się lekko na ten widok, podobnie jak Ann. Ward zauważył:

— Dobra cera to więcej kłopotów niż to jest warte.

— Tak jak to już dawno odkryli Indianie — odparła Ann. — Proszę usiąść tutaj.

Przyciągnęła dla siebie bujak i Ward poczekał aż usiądzie, a następnie sam również usiadł. Zauważył, że wyglądała na zmęczoną, więc spytał o majora Brierly'ego i dowiedział się, w jakim jest stanie. Gdy mówiła, przyglądała mu się z zaciekawieniem. Skończywszy, zawahała się, a potem spytała:

— Jaki był prawdziwy powód pańskiego powrotu?

— Praca — odpowiedział Ward.

Ann zawahała się tylko przez chwilę, po czym niemal intuicyjnie spytała:

— To znaczy, że będzie pan przewodnikiem, kiedy oni wyruszą w pole?

Ward skinął głową.

— Co zmieniło pańskie zdanie? Nic się nie wydarzyło, poza tym, że wiemy na pewno, iż Diablito ma Mary. — Spojrzała na niego pytająco: — Czy to był wypadek majora Brierly'ego?

— Tak.

Ann powiedziała:

— Jeszcze jedno pytanie. Jak to zmieniło sytuację?

— Major Brierly potrafił walczyć z Indianami jak prawdziwy żołnierz. Bez niego mogą być kłopoty.

— Nie sądzi pan, że Ben Loring jest zdolnym dowódcą w polu?

— Nie wiem tego — odpowiedział obojętnie Ward.

— Ale pan mógłby uczynić go lepszym — powiedziała Ann z ironią w głosie.

— Tak.

Ann roześmiała się, po czym odchyliła się do tyłu w fotelu.

— Przepraszam, muszę być zmęczona. Ale wiele bym dała, żeby Ben to usłyszał.

— Już to usłyszał — mruknął Ward.

Ann popatrzyła na niego.

— I jaka była jego reakcja?

— Negatywna, tak to się chyba nazywa — odpowiedział Ward.

Ann powoli się uśmiechnęła, Ward również, a Ann powiedziała:

— Nie jest pan sprawiedliwy. To dobry żołnierz, a jego ludzie go lubią. Dba o nich. Jest naprawdę uczciwy i powiedziano mi, że dobrze radził sobie z Siouxami.

— Ma coś przeciwko poceniu się — stwierdził Ward.

— Czy przeszkadza panu, że człowiek chce być czysty?

Ward pokręcił głową.

— Przeszkadza mi, że zwraca uwagę na to, że jest brudny. Kiedy jest brudny, wszyscy o tym wiedzą i rozumieją dlaczego.

W poważnym wyrazie twarzy Ann pojawiła się lekka nuta przekory.

— To wcale nie jest dziwne. On nie potrafi całkowicie zerwać z tradycją guwernantek i słodko pachnącego dzieciństwa. Albo domów na plaży, domków myśliwskich i europejskich dworów. To jego zasługa, że udało mu się tak dobrze nosić brudną koszulę, brudną wojskową koszulę.

— Nie przeszkadza mu ta koszula, brudna czy nie — dodał Ward, najwyraźniej się z nią zgadzając. W jego wypowiedzi słychać było delikatną nutkę ironii, którą Ann wyczuła.

— Jest pan przebiegły — oskarżyła go.

— Zamiast być kłótliwym — zgodził się Ward. — Zaprasza mnie pani do zaatakowania człowieka, aby mogła go pani bronić.

— Więc proszę zaatakować go otwarcie — powiedziała szybko Ann. — Powiedziałam, że był dobrym żołnierzem i dobrym oficerem, troskliwym i uprzejmym dla wszystkich, w tym dla ludzi pod jego dowództwem.

Ward nic nie powiedział.

— Zaprzecza pan temu?

Ward poczuł nagłe zniecierpliwienie i pomyślał: „*Jak do tego doszło*?" Patrząc na Ann widział, że jest bardzo poważna i że zawsze tak będzie między nimi. Bez względu na to, czy przyjmie jej wyzwanie, na temat który był mu całkowicie obojętny, czy je odrzuci, wynik będzie taki sam. Ale jeśli będzie dalej milczał, w pamięci obojga z nich na zawsze zapisze się wspomnienie, że zachowywał się małomównie i wymijająco, a co dziwne, miało to dla niego duże znaczenie.

Powiedział łagodnie:

— Ujmijmy to w ten sposób. Rozsądny człowiek jest wyrozumiały dla zwierząt, ponieważ wie, że rozumieją go one w niedoskonały sposób. Wie, że mają więcej instynktu niż rozumu i że potrzebują od niego tolerancji.

Innymi słowy, czuje się od nich lepszy. — Zrobił chwilę przerwy. — Nie musi nawet ich lubić — dokończył wciąż łagodnie.

Ann patrzyła na niego przez dłuższą chwilę w milczeniu, a potem powiedziała:

— Jest pan twardy w swoich osądach, prawda?

— Tylko kiedy ktoś mnie o to poprosi — odparł Ward. On również milczał, patrząc na plac apelowy. Widział, jak Linus, opóźniony przez coś, biegnie w kierunku budynku Sztabu w tempie zbyt szybkim jak na ten upał. — Przyszło mi do głowy, że może pani mieć jakieś pytania dotyczące pani siostry, na które ci Apacze mogliby odpowiedzieć. Zamierzam jeszcze raz z nimi porozmawiać. Chciałaby pani pójść ze mną?

— Nie — odpowiedziała natychmiast Ann, po czym dodała. — Dziękuję, ale nie. Czy to zbyt po kobiecemu, powiedzieć, że nie chcę wiedzieć, co ona wycierpiała, że to nic nie pomoże ani jej, ani mnie? — Jej głos lekko się załamywał i dodała: — To znaczy, chciałam powiedzieć, że zaszłam tak daleko, wiedząc, co robię. Wolałabym dalej iść tą drogą.

— To mądrze z pani strony — stwierdził Ward i wstał. — Przekaże pani majorowi, że o niego pytałem?

Ann odparła, że to zrobi i również wstała. W sposobie ich rozejścia się, było coś dziwnego i niepokojącego, i oboje to czuli. To Ann, przeżywając to dogłębnie, rozwiała tę atmosferę jednym prostym gestem. Wyciągnęła rękę, mówiąc:

— Dziękuję, że zmienił pan zdanie. Nieważne dlaczego.

Ward uścisnął krótko jej dłoń, dotknął kapelusza i zszedł po schodkach, skręcając w lewo, w stronę wartowni obok piekarni za kwaterami żołnierzy.

Chwilę po tym, jak Linus zobaczył zdziwienie na twarzy Loringa po jego stwierdzeniu:

— Posłał pan po mnie, panie kapitanie? — wiedział, że to jakieś nieporozumienie.

— Ja… dlaczego…? — odparł Loring, a potem wyraz jego twarzy zmienił się w coś, czego Linus nie potrafił dokładnie odczytać. — Och, już wiem. Proszę usiąść, panie Delaney.

„*Będzie doprowadzał mnie do porządku*”, pomyślał Linus i wyjął kapelusz spod lewej pachy, usiadł na krześle przed biurkiem Loringa i położył kapelusz na kolanach.

— Chciałem, żeby pomógł pan przekonać Kinsmana do wyruszenia z nami, panie Delaney. Jednak on już się zgodził.

Twarz Loringa była surowa; przesunął jakieś papiery z prawej strony biurka na lewą, a następnie popatrzył na Linusa.

— Jest jednak jeszcze jedna sprawa, panie Delaney. Nie mówiłem o tym wcześniej, ponieważ nie należało to do mnie. Ale ponieważ major Brierly przebywa w szpitalu, otrzymałem rozkaz przejęcia dowództwa i rozwiązanie tej sprawy staje się moim zadaniem.

Linus poczuł, jak powoli ogarnia go niepokój. Twarz Loringa, już zaczerwieniona od gorąca, przybrała zawzięty wyraz.

— Wspominam o tej sprawie z taką samą niechęcią, jaką moje słowa wzbudzą w panu — zaczął Loring, po czym ruszył prosto z mostu. — Podejrzewam, że ma pan romans z żoną szeregowego, panie Delaney. Czy moje podejrzenia są słuszne?

Linus wiedział, że jego twarz zrobiła się sztywna ze złości i odpowiedział natychmiast:

— Pańskie podejrzenia są niesłuszne, panie kapitanie.

Loring milczał przez długą chwilę, kiedy spoglądali na siebie, a potem powiedział:

— Zwykle słowo oficera jest wystarczające, panie Delaney. Jednak zaszło kilka wydarzeń, które miały miejsce na moich oczach, a których implikacje chciałbym wyjaśnić. Zakładam, że jest pan skłonny przedstawić takie wyjaśnienia.

— Jeśli tylko zdołam, panie kapitanie.

— Po pierwsze — oznajmił Loring, — uważam, że Kinsman skłamał na temat tego, co powiedział Riordan w noc, kiedy wyruszył oddział. Pamięta pan to?

— Tak jest, panie kapitanie.

— Ponieważ ja też to słyszałem, wiem, że Riordan powiedział „złodziej żon", a nie „złodziej koni". — Przerwał na chwilę. — Do kogo on to mówił, panie Delaney?

Linus poczuł, jak ogarnia go ponury strach, zawahał się tylko przez chwilę, po czym powiedział:

— Do mnie, panie kapitanie.

— Dlaczego tak pana nazwał, panie Delaney?

Linus poczuł, jak kropla potu spływa mu po skroni i policzku; nie zrobił nic, żeby ją wytrzeć. Oświadczył spokojnie:

— Zaniosłem trochę prania do pani Riordan do jej domu, ponieważ nasz ordynans był w szpitalu, jak pan wie. Riordan, pijany jak bela, wszedł, gdy wychodziłem. Zakładam, że było mu to się nie spodobało.

Loring popatrzył na niego z uprzejmą drwiną. Po chwili zapytał bezosobowym głosem:

— Panie Delaney, czy kiedykolwiek cieszył się pan względami pani Riordan?

— Z całą pewnością, nie! — oznajmił Linus ze złością.

— Ale był pan z nią bardziej przyjaznych stosunkach niż z żonami innych żołnierzy?

Linus pochylił się do przodu na krześle i nie potrafił powstrzymać gniewu w głosie.

— Mam jak najgłębsze współczucie dla pani Riordan, jak każdy spostrzegawczy mężczyzna. Jest źle traktowana przez męża. Kiedy pobił ją w trakcie jednej ze swych pijackich burd, zaproponowałem, że zapłacę za jej powrót do rodziny, żeby mogła się od niego uwolnić. Uważam, że jest dobrą kobietą i chciałbym jej pomóc.

Loring obrzucił go chłodnym spojrzeniem, tak jakby widział przed sobą kogoś obcego, zanim powiedział:

— Panie Delaney, zawsze istniało wyraźne rozróżnienie między oficerami a szeregowcami. Oprócz szeregu bardzo dobrych powodów,

które ich dzielą, do których należą różnice w wychowaniu, umiejętnościach, wyszkoleniu i charakterze, istnieje jeszcze jedna kwestia - konieczność zachowania dyscypliny. — Zrobił chwilę przerwy, aby to uwypuklić. — Uważam, że pańskie stosunki z żoną szeregowca, jakkolwiek niewinne, zagroziły dyscyplinie tego posterunku. Jeśli ludzie ze służących na nim obu oddziałów uznają, że ich kobiety są molestowane przez oficerów lub poddają się ich zalotom, nie będą nas słuchać ani szanować. To doprowadzi do dezercji, walk, odwetów - krótko mówiąc, do anarchii. Czy pan też tak uważa, panie Delaney?

— Jeśli będą mieli powody, by tak sądzić, panie kapitanie — odparł Linus, wciąż wściekły.

Loring uniósł ciężką rękę i wskazał Linusa palcem wskazującym.

— Jedynym powodem, dla którego w tej chwili w to nie wierzą, jest fakt, że Kinsman okazał się wystarczająco bystry, by wziąć na siebie winę za pańskie czyny.

Linus milczał - wściekły, zażenowany i zawstydzony.

Loring nachylił się do przodu i złożył dłonie na biurku.

— A teraz, panie Delaney, oto moja propozycja: jeśli plotki w koszarach nadal będą łączyć nazwisko pani Riordan z Kinsmanem, a nie z panem, sprawa zostanie zarzucona. Ale jeśli wyjdzie na jaw, że Riordan podejrzewa pana o niewłaściwe stosunki z żoną, będę miał pewną sugestię. Polega ona na tym, że w takim wypadku natychmiast wystąpi pan o przeniesienie na inny posterunek, z powodu łagodnej dolegliwości fizycznej, takiej jak katar. Horton to potwierdzi, a ja zatwierdzę.

— A jeśli odmówię przyjęcia pańskiej propozycji?

— Wtedy to ja poproszę o przeniesienie pana z mojego posterunku.

Linus rzucił gniewnie:

— Jeśli pan to zrobi, poproszę sąd wojskowy o oczyszczenie mnie z zarzutów.

— Oczyścić pana, panie Delaney? — Loring zapytał z udawaną łagodnością. — Żaden sąd w armii nie oczyściłby pana z zarzutu postępowania wysoce szkodliwego dla morale i dyscypliny tego posterunku.

Linus patrzył na niego ciekawie przez dłuższą chwilę, po czym zapytał cicho:

— Czy ty chcesz mnie załatwić, Benie?

Loring wytrzymał jego spojrzenie i odparł cicho, stanowczo:

— Linusie, nigdy nie uważałem za właściwe aby osądzać czyjąś moralność albo gust. Ale aż do dnia mojej śmierci będę osądzał kwalifikacje człowieka do noszenia munduru, który teraz nosisz. — Odchylił się do tyłu i powiedział uprzejmie: — To wszystko, panie Delaney.

Linus wstał, stanął na baczność, zasalutował, obrócił się w drugą stronę i podszedł do drzwi.

— Jeszcze jedno, panie Delaney.

Głos Loringa zatrzymał go i obrócił w stronę kapitana.

— Osobiście uważam, że pańskie zachowanie wobec pani Riordan było bezpośrednią przyczyną ataku kawalerzysty Riordana na majora

Brierly'ego. Nie potrafię tego udowodnić i nie próbowałbym tego zrobić, nawet gdybym potrafił. Ale uważam, że powinien pan rozważyć tę kwestię.

— Czy mogę na to odpowiedzieć, panie kapitanie? — spytał Linus ze złością.

— Nie, nie może pan, panie Delaney. To wszystko.

Wróciwszy do pokoju, Linus zamknął drzwi i rzucił się na łóżko, trzęsąc się ze złości. Dopiero po kilku minutach zdał sobie sprawę, że nadal trzyma w dłoni kapelusz. Podniósł się, rzucił kapelusz na krzesło i dręczony gwałtownym niepokojem, zaczął krążyć po pokoju. Czy był winny spowodowania ataku Riordana na Brierly'ego? Nie. Martha powiedziała mu, że podejrzenia Riordana były tylko powodem, na którym mógł oprzeć swój gniew, że każdy inny oficer, którego znalazłby w swoim domu, sprowokowałby te same wydarzenia. Tym, co wywołało jego gniew, był fakt, że broniła się przed pobiciem. *„Ale to ty byłeś tym oficerem*", dręczył go głos sumienia; *„nie musiałeś tam iść. Poszedłeś tam, żeby zobaczyć kobietę, którą kochasz."*

Jęknął cicho i zacisnął pięści w kieszeniach na biodrach, a potem usłyszał, że drzwi się otwierają.

Do środka wszedł Ward. Wyraz głębokiego nieszczęścia na twarzy Linusa sprawił, że zawahał się w drzwiach. Przypomniał sobie, że Linusa wezwał Loring, i zastanawiał się, co między nimi zaszło. Jego pierwszym impulsem było wycofać się, ale Linus gestem ręki kazał mu wejść, i Ward zamknął za sobą drzwi, mówiąc:

— Wyglądasz, jakbyś właśnie został kancelistą i uwięziono cię na posterunku.

Linus zdołał się lekko uśmiechnąć i wskazał na krzesło. Następnie obrócił się i podszedł do okna po stronie placu apelowego. Przez długą chwilę patrzył przez nie, po czym powiedział przez ramię:

— Loring wywęszył coś na temat mój i Marthy.

Kiedy Ward nic nie odpowiedział, Linus przeszedł przez pokój i zatrzymał się przed nim. Gorzkim, zmęczonym głosem opowiedział Wardowi o rozmowie i o ukrytym ultimatum Loringa.

Kiedy skończył, popatrzył na Warda z wyrazem głębokiego nieszczęścia w oczach.

— Nienawidzę tchórzy, a sam nim jestem — stwierdził żałośnie. — Jeżeli bym się odezwał po tym, jak uderzyłeś Riordana, jeżeli bym wyjaśnił to Brierly'emu, nigdy by się to nie wydarzyło.

— Wiele tych „jeżeli" — zauważył cicho Ward, obserwując go.

W oczach Linusa pojawił się przelotny cień ironicznego humoru.

— Wiem. Nigdy nie spoglądaj za siebie. — A potem humor zniknął. — Ale co dalej? Obrzuciłem Marthę tym błotem i ciebie też. A moja przyszłość zależy od wyobrażeń ponurego, pijanego bydlaka.

Ward milczał, obserwując ponurą niedolę na jego twarzy. Następnie powiedział łagodnie:

— To, co cię boli, Linusie, to nie fakt, że Riordan przez przypadek powiedział prawdę. Bardziej boli cię to, że Loring ma rację. Czyż nie?

Linus popatrzył na niego badawczo.

— Tak, to prawda. I na litość boską, co ja mam zrobić?

— Zapłać za swoje czyny — powiedział łagodnie Ward. — Bez względu na koszty, zapłać.

Linus patrzył mu w oczy jeszcze przez chwilę, a potem przeniósł wzrok na okno. Skinął tylko powoli głową; było to pogodzenie się ze swoim losem, z tym, co przyniesie przyszłość, Ward wstał i wyszedł z pokoju.

Wyszedł leniwie przez wschodnią bramę wartowniczą posterunku i ruszył przez płaski teren. W gorącym słońcu nic się nie poruszało, nawet pisy, bo ten wczesny wieczór był najgorętszą częścią upalnego dnia. Skierował się do sklepu dla żołnierzy i wszedł po schodach do ciemnej, parującej klitki, pokoju u pani Hance, którą dzielił z siodłem i sakwami nieznanego innego lokatora. Zdjąwszy koszulę, położył się na łóżku polowym, splótł palce na karku i wpatrywał się w niebo nad sufitem pokoju. Rozmyślał o Linusie. Linus popełnił błąd, taki, jaki mógłby popełnić każdy człowiek, młody, bezmyślny i zbyt pewny siebie. Ale popełnił go pod niewłaściwym dowódcą i złamał zasady nieubłaganego systemu, który nie przewidywał wybaczenia. Mógł on go złamać i odrzucić bez zastanowienia. I to jest szkoda, pomyślał Ward, bo Linus jest najlepszym żołnierzem ze wszystkich.

Zastanawiał się nad tym przez pewien czas i wkrótce przyszło mu do głowy, co powinien zrobić. Potem jednak, chcąc zasnąć, zorientował się, że myśli o Loringu. Dzisiaj na trzy różne sposoby natknął się na cień Loringa; żadne z tych wydarzeń nie miało większego znaczenia, ale łączna ich waga była całkiem imponująca i dosyć niepokojąca. Lepiej się do niego przyzwyczajaj, pomyślał leniwie i potem zasnął.

Obudził się o siódmej wieczorem, czując silny głód, ale odsunął go na bok, wiedząc, że musi wykorzystać najbliższy czas. Włożył koszulę, wyszedł ze sklepu dla żołnierzy i spokojnie ruszył w ciemności, w stronę posterunku.

Minął wartownika i po przejściu przez bramę skręcił w prawo do budynku Sztabu. Wchodząc do oświetlonego lampą pokoju, zobaczył głowę porucznika Tremaine'a pochyloną nad książką sygnałową. Tremaine uniósł głowę, już podnosząc się z przyzwyczajenia, lecz gdy zobaczył Warda, odprężył się.

— Dobry wieczór, panie poruczniku — powiedział Ward uprzejmie. — Jest pan oficerem dyżurnym?

— McKevett jest na kolacji. Jest oficerem dyżurnym w najgorętszym dniu w roku — odparł Tremaine i uśmiechnął się do Warda przyjaźnie.

Ward położył nogę na biurku i chwilę rozmawiali, Ward odpowiadał na pytania o schwytanych Apaczów, którzy, poza Taną, tego popołudnia zostali wysłani w drogę. Po chwili Ward powiedział:

— Mam małą sprawę do jednego z pańskich więźniów, panie poruczniku – chodzi o mojego konia, którego on wypuścił, a ja nie mogę tego zrozumieć. Czy mam zaczekać, aż zostanie osądzony i uwolniony albo rozstrzelany, czy mogę go zobaczyć teraz?

— Ma pan na myśli Riordana. Jest w szpitalu pod strażą. — Tremaine zmarszczył brwi. — Dziś pozwolono mu na odwiedziny. Nie rozumiem, dlaczego nie mógłby pan z nim porozmawiać.

Sięgnął po zeszyt, wypisał przepustkę i powiedział:

— Proszę dać to strażnikowi, kiedy będzie pan wchodził.

Ward podziękował mu i wyszedł. Zjawił się tu w dokładnie wybranym momencie, domyślając się, że Loring, nowy w pracy, będzie pracował do późna, ale nie za długo, ponieważ był znużony i wyczerpany.

Wszedł do posterunkowego szpitala, mieszczącego się w budynku z adobe, którego drugą połowę stanowiła wojskowa piekarnia. Przy ścianie frontowej siedział na krześle uzbrojony żołnierz, który wziął wystawioną przez Tremaine'a przepustkę. W wąskim pokoju było osiem łóżek, a w jednym z nich, w przeciwległym rogu, w miejscu najbardziej oddalonym od okna, leżał Tom Riordan. Na ścianie u wezgłowia łóżka paliła się lampa. Żołnierz leżał nagi pod pojedynczym prześcieradłem, a i tak pot błyszczał na jego masywnej piersi i ramionach. Ward podszedł do niego i popatrzyli na siebie, nie odzywając się. Riordan dzisiaj się ogolił. W jego ponurej twarzy było coś przystojnego, nie można było temu zaprzeczyć, ale jego rude włosy były niemal skręcone od potu.

Ward wsunął nogą między łóżka krzesło i popatrzył na niezbyt zainteresowanego strażnika, który był poza zasięgiem słuchu. Usiadł, położył rękę na oparciu krzesła i zapytał łagodnie:

— Riordan, ile pamiętasz z tego pijaństwa?

— Pamiętam ciebie — stwierdził ponuro Riordan. — Gdybyś nie zaczął krzyczeć, nigdy by to się nie wydarzyło.

— Czekałeś na mnie?

— Jesteś tym gościem, który powiedział, że wróci po swojego konia. Chciałem zobaczyć, co zrobisz, kiedy go nie znajdziesz.

Ward uśmiechnął się lekko.

— No cóż, dowiedziałeś się. A pamiętasz, jak mnie nazywałeś?

Riordan popatrzył na niego z pogardą:

— Cokolwiek by to nie było, powiem to jeszcze raz, kiedy stąd wyjdę.

— Nie zaprzeczam, że nie boisz się wyzywać ludzi, jak ci się podoba — powiedział poważnie Ward. — Mimo to wątpię, czy określiłbyś mnie tym wyzwiskiem po raz drugi, kiedy już wiesz, jak ono brzmiało.

Riordan zmarszczył brwi.

— A co to było?

— Złodziej żon.

Riordan popatrzył na niego badawczo, a Ward powiedział łagodnie:

— To wyzwisko czyni z ciebie kogoś gorszego od chuligana. Zastanawiam się, co miałeś na myśli, skoro nigdy nie ukradłem nikomu żony, zwłaszcza twojej - jeśli ją masz.

— Byłem pijany — burknął ponuro Riordan.

Uwaga Warda wyostrzyła się; ten człowiek nie pamiętał co się stało. Ward powiedział swobodnie:

— Byłeś, to prawda. Masz żonę?

— Mam.

Ward pokręcił głową ze zdumieniem.

— Człowieku, jeśli zamierzasz ją zatrzymać, to jakoś bym to naprawił. Cała eskorta cię słyszała; tak samo jak oddział w stajni. Służyłeś w wojsku wystarczająco długo, żeby wiedzieć, co z tego zrobią żołnierze.

Riordan popatrzył na niego z dawną zadziornością, a jego wielka dłoń zacisnęła się nieświadomie.

— Tak — powiedział ponuro. — Rozwalę gębę każdemu, kto będzie o tym gadał. — Przetarł twarz wielką dłonią i powiedział ze zdziwieniem. — Mało pamiętam, jeśli chodzi o whisky. Pamiętam, jak wygrałem w pokera. Pamiętam, jak porucznik Delaney wpadł, żeby zostawić pranie, i to mnie wkurzyło, bo był oficerem w moim domu, do którego przysięgałem, że nigdy nie pozwolę zajrzeć żadnemu oficerowi. A potem się pokłóciliśmy - ja i moja żona, i ona uderzyła mnie czymś, co wystarczyło, żeby opadły mi ręce. Potem jeszcze więcej piłem, pamiętam.

— Pamiętasz, kto stał obok mnie, kiedy cię uderzyłem?

— Nie, kto?

Ward uniknął odpowiedzi na pytanie.

— Myślałem, że to może był ten człowiek, o którym mówiłeś.

Nigdy nie skrywany temperament Riordana znów wybuchł.

— Nikt mi nie ukradł żony, mówię ci! A kim ty jesteś, żeby pytać? Jeśli chodzi o wyzwiska, będę cię nazywał tak, jak mi się podoba. A teraz możesz…

Przerwał mu odgłos upadającego na podłogę krzesła wartownika. W tym samym momencie Ward usłyszał głos, ostry od gniewu.

— Kinsman!

Ward odwrócił głowę i zobaczył w drzwiach kapitana Loringa, strażnika stojącego na baczność obok krzesła, które przewrócił w pośpiechu, żeby się poderwać.

— Wyjdź ze mną na zewnątrz, proszę! — rozkazał Loring.

Ward siedział chwilę, patrząc na Loringa z lekko zdziwionym wyrazem twarzy, po czym wstał i bezszelestnie podszedł do drzwi. Loring obrócił się i poprowadził go w nocne ciemności. Kiedy znaleźli się już daleko od budynku, kapitan zatrzymał się, a Ward podszedł do niego. Loring powiedział z namaszczeniem:

— Oficer dyżurny wydał ci tę przepustkę, abyś mógł omówić sprawę zaginionego konia.

— To prawda — przyznał łagodnie Ward.

— Część twojej rozmowy, którą słyszałem, nie dotyczyła konia. Rozmawiałeś z Riordanem o incydencie w stajniach, który miał miejsce w noc, kiedy wyruszaliśmy do Craig.

— Czy to jest zabronione? — spytał sucho Ward.

Nie widział twarzy Loringa w mroku, ale gniew kapitana niemal z niego promieniował.

— Kinsman — oznajmił Loring, — nie będę tolerował twojej ingerencji w sprawy armii. Będę…

— Bądź cicho — powiedział łagodnie Ward. Sama łagodność jego głosu przerwała potok mowy Loringa. Ward skinął głową w stronę oświetlonego okna szpitala. — Ten człowiek nawet nie pamięta rozmowy z Linusem. Nie ma nic przeciwko Linusowi. Jeśli chodzi o plotki łączące żonę tego człowieka z Linusem, nie masz się czym martwić.

— Nie martwię się! — rzucił gniewnie Loring.

— W takim razie jesteś głupcem, drogi kapitanie — mruknął Ward.

Zapadła krótka cisza, po czym Ward powiedział spokojnie:

— Jeśli tak uważasz, jesteś patentowanym durniem. Porucznik Delaney jest dobrym żołnierzem; jest najlepszym oficerem w dowodzonym przez ciebie oddziale. Odrobina tolerancji z twojej strony uratuje go dla twojej armii, ale jeśli będziesz mu czytał regulamin wystarczająco długo, stracisz go.

Głos Loringa drżał od zimnego gniewu.

— Kinsman, jest coś, czego nie rozumiesz. Twoje rady nie są potrzebne, poza tymi, za które płacimy. Armia nigdy nie miała zwyczaju, aby pozwalać każdemu łachmaniarzowi i obibokowi na dyktowanie jej polityki. I nigdy nie będzie, dopóki ja w niej jestem!

Ward nie odezwał się od razu, a kiedy już to zrobił, było to wypowiedź dosyć swobodna.

— A ty, mój przyjacielu, jesteś nadętym idiotą.

Odwrócił się i zrobił krok aby odejść, kiedy poczuł mocną dłoń Loringa na swoim ramieniu.

Bez słowa, w dzikim wybuchu gniewu, odwrócił się, zadając gwałtowny cios, który trafił Loringa w klatkę piersiową.

Kapitan zatoczył się o krok do tyłu, stracił równowagę i ciężko usiadł na ziemi.

— Nigdy więcej tego nie rób — powiedział podniesionym głosem Ward.

Loring podniósł się na nogi, jakby chciał walczyć, ale powstrzymał się.

— Kinsman — oznajmił ciężko, — jestem dowódcą tego posterunku, jak wiesz.

— W porządku, już się z niego wynoszę — powiedział Ward.

— Nie to miałem zamiar powiedzieć — ciągnął Loring. — Jako dowódca tego posterunku nie zamierzam bić się przy moich ludziach. Ale jeśli znajdziesz miejsce poza terenem wojskowym, gdzie będziemy sami, chętnie dokończę to, co zaczęliśmy.

Ward na chwilę zamilkł ze zdziwienia.

— Stodoła Hance'a jest poza posterunkiem.

— Zobaczymy się tam za piętnaście minut — powiedział Loring.

Odwrócił się i wkrótce zniknął w mroku, a Ward patrzył, jak odchodzi. Poczuł chwilowy i niechętny podziw dla ducha tego człowieka, po czym skierował się do bramy wartowniczej.

Kiedy piętnaście minut później drzwi stodoły Hance'a otworzyły się i do środka wszedł kapitan Loring, Ward odepchnął się od boksu, w którym pasła się para mułów, i wyrzucił słomkę, którą żuł.

Latarnia wisiała na uchwycie z kawałka drutu, zawieszonym na krokwi. Loring zamknął drzwi, popatrzył na lampę, potem na rozległą powierzchnię zniszczonej podłogi w stodole, na muły, a na końcu na Warda.

— Odpowiada ci? — spytał sucho Ward.

— Idealnie.

Loring przeszedł przez stodołę do bryczki, którą Ward zepchnął pod przeciwległe drzwi. Odpiąwszy pas z rewolwerem, zdjął go i wrzucił na

siedzenie bryczki, po czym zdjął koszulę i położył ją razem z bronią. Następnie wyszedł pod lampę, powiedział:

— Jestem gotowy — i czekał, jego wielka klatka piersiowa opadła, unosząc się wraz z jego powolnym oddechem.

Ward położył miękki kapelusz w żłobie i podszedł nieco w stronę Loringa.

— W porządku — powiedział i rzucił się na swojego przeciwnika, wymachując pięściami. Został zatrzymany w miejscu przez cios, który myślał, że ominął, i upadł na plecy, uderzając głową o podłogę z desek z siłą, która wywołała przed jego oczyma rozbłysk wirujących ogników gwiazd.

Szybko podniósł się na kolana, potrząsnął głową, by ją rozjaśnić, i zobaczył Loringa, z uniesionymi do góry rękoma, stojącego kilka stóp dalej i chłodno go obserwującego. Bezmyślnie jak zwierzę Ward rzucił się na niego; poczuł, jak jego cios ląduje na ramieniu Loringa, a następnie otrzymał karę, w postaci uderzenia w dołek żołądka, i zanim zdążył się osłonić, kolejnego ciosu nad serce, który nim obrócił.

Teraz wezbrała w nim szalona wściekłość i rzucił się na Loringa zupełnie na oślep. Ale trafił jedynie w puste powietrze. Twarz Loringa pojawiła się ponownie z przodu, i Ward uderzył w nią, szybko jak wąż, potężnie, i poczuł, że jego cios został zablokowany oraz odtrącony na chwilę przedtem, zanim trafiło go uderzenie w kość policzkową, po którym zadzwoniły mu wszystkie zęby.

Loring znajdował się teraz po jego lewej stronie, i Ward znów zaatakował; stracił równowagę i zanim zdążył się osłonić, i został ponownie trafiony, jeszcze raz w żebra. Potem opuścił głowę, pochylił ciało do przodu i ruszył przed siebie, wymachując dziko rękoma, szaleńczo pragnąc trafić w stawiające opór ciało i zbliżyć się do swojego przeciwnika.

Jego żebra były już mocno obolałe, a oddech wyrywał mu się z ust w wielkich, drżących sapnięciach, i raz po raz czuł miażdżące ciosy, które niemal wbijały mu w klatkę piersiową. Widział, że Loring przez cały czas się porusza, nigdy nie stoi w miejscu, rzadko podchodzi do niego bliżej i zdawał sobie, z jakiegoś rodzaju strasznym fatalizmem, że na próżno marnuje tylko swoje siły. Rozwścieczyło go to do granic możliwości i pomyślał: *„Muszę go dogonić, zapędzić go do narożnika*”, i znowu rzucił się do przodu. Tym razem dostrzegł nadlatujący cios i próbował się przed nim uchylić, lecz dopadł go on z eksplozją bólu, która przyćmiła mu słuch i zamgliła wzrok, i pomyślał szaleńczo: *„On tam musi być, tuż przede mną*”. Ponownie więc ruszył naprzód, i tym razem dostał cios w czubek szczęki, powodujący jeden wielki rozbłysk bólu, poprzedzający ogarniającą go ciemność.

Najpierw zdał sobie sprawę z tego, że ma mokre plecy. Poruszył się i poczuł, jak na podłodze przy jego kręgosłupie zbiera się kałuża wody, a kiedy otworzył oczy, stał nad nim Loring, w koszuli, czapce, z zapiętym wokół bioder pasem z bronią.

Ward przewrócił się na bok, usiadł z bólem i spojrzał na Loringa, który powiedział:

— Przypuszczam, że ten incydent oznacza, iż rezygnujesz ze służby jako przewodnik?

Ward wstrząsnął głową, żeby oczyścić umysł, tępo próbując pojąć znaczenie tych słów. Kiedy w końcu mu się to udało, odparł:

— Nie, pojadę.

— To dobrze — stwierdził spokojnie Loring, odwrócił się i wyszedł ze stodoły.

Rozdział 5

Kolejnego ranka nadeszły rozkazy, że oddziały G oraz I mają wyruszyć następnego dnia w pole. Zwykłe tempo wydarzeń na posterunku, już wcześniej bardziej żwawe, nie przyspieszyło jakoś zauważalnie, ale wszyscy zdawali się poruszać w bardziej celowy sposób. Nuda i letarg zniknęły.

W połowie poranka z Craig przybyła kolumna kwatermistrzowska. Sierżant Mack, obserwując ją, powiedział kwaśno do kaprala Samsona:

— Czemu nie pozostawiali tych rzeczy wzdłuż drogi, skoro i tak będziemy je w ten sposób rozwozić?

— Nie — mruknął cynicznie Samson — to będą koce, futrzane czapki i grube kalosze.

— Zaciągnąłeś się o jeden raz za dużo — stwierdził łagodnie Mack i ruszył w stronę kuźni.

Tego dnia kowadło ani na chwilę nie milkło. Sprawdzano wszystkie konie, do ostatniego luzaka, a zahartowani w polu podoficerowie zmuszali nowych rekrutów do przejrzenia i naprawienia całego wyposażenia.

Późnym porankiem kapitan Loring wezwał wszystkich oficerów do dużego pomieszczenia mieszczącego mesę oficerską. Było tam równie gorąco jak w każdym innym pomieszczeniu, ale jego rozmiary zapewniały większą ilość powietrza do oddychania. Ward został wezwany od Hance'a i kiedy wszedł do pomieszczenia, zauważył obecność Franka Holly'ego pośród zbierających się oficerów.

— Dzień dobry, Kinsman — oznajmił energicznie Loring. — Usiądź.

W jego głosie i zachowaniu nie było widać nawet śladu wczorajszego triumfu; była to jego zwykła uprzejmość, a Ward, siadając delikatnie i wstrzymując oddech z powodu bólu żeber, pomyślał: *„Nie zdziwiłbym się, gdyby on już o tym zapomniał.”*.

Kiedy zebrali się wszyscy oficerowie, Loring przedstawił plan kampanii. Był to plan pierwotnie sporządzony przez Brierly'ego, przedłożony sztabowi, zatwierdzony i przekazany dalej dowództwu w Craig. W skrócie zakładał on, że grupa Diablito wybrała złą pozycję taktyczną, pozostając na Peak; dwa oddziały z Craig wyruszyły już dzisiaj na zachód, gdyż miały do przebycia dalszą drogę. Jeden oddział z Gamble wyruszy jutro na wschód. Szansa na zaskoczenie wydawała się nikła i w istocie nie było nawet takiej potrzeby. To miał być otwarty pokaz siły. Diablito mógł wybrać, jak miała nadzieję armia, obronę na Peak i zostać tam starty z powierzchni ziemi, albo mógł, jak obawiała się armia, uciec. Według opinii Brierly'ego - a Ward przyznał, że jego opinia była równie dobra, jak każda inna, ponieważ jakaś opinia wydawała się konieczna - jeśli Diablito wyrwie

się z Peak, uda się na południe, walcząc przy pomocy tylnej straży i prowadząc działania opóźniające, przez cały czas próbując zastawiać zasadzki, aż przekroczy granicę i znajdzie się bezpieczny w Meksyku. Opierając się na założeniu, że skieruje się na południe, oddział G pod dowództwem kapitana Loringa zostanie umieszczony w Cardinal Springs, wodopoju, w którym spotykały się trzy główne szlaki prowadzące od granicy do Bailey's Peak i dalej. Oddział G miał podróżować bez taborów, poruszać się nocą i odpoczywać w dzień, a o ruchach Diablito miał być informowany przez Wolvertona, dowodzącego oddziałem I, za pośrednictwem przekaźnika heliograficznego, który porucznik Tremaine i sygnalista mieli ustawić między Peak a Cardinal Springs.

Istniała oczywiście nadzieja, że oddział G zaskoczy Diablito, przechwyci go i zwiąże walką do czasu, aż oddział I oraz dwa oddziały z Craig będą mogły dokończyć robotę.

To był całkiem niezły plan, przyznał Ward, oczywiście pod warunkiem, że Diablito będzie działał zgodnie z nim. Jednak równie prawdopodobne było, że skieruje się na północ, zachód lub wschód; i wbrew ślepemu założeniu armii, niekoniecznie będzie przemieszczał swoją bandę w jednej grupie. Było całkiem możliwe, że na widok kolumn wojska banda rozleci się jak stado przepiórek, zbierając się sto mil dalej na zachód, nie widząc żołnierza ani nie oddając strzału, i pozostawiając za sobą dziesiątki splątanych i sprzecznych tropów. Wszystko zależało od nastroju i chęci złośliwego człowieczka, który im przewodził.

Kiedy Loring skończył, padło kilka pytań i udzielono na nie odpowiedzi, a następnie Loring opowiedział o Mary Carlyle. Podał jej dokładny opis, który oficerowie mieli przekazać wszystkim żołnierzom. Z obawy przed przypadkowym zastrzeleniem pani Carlyle, wszystkie oddziały otrzymały rozkaz powstrzymania się od podejmowania walki z kobietami, chyba że ktoś zostanie bezpośrednio zaatakowany przez tę kobietę, i można ją będzie bez cienia wątpliwości zidentyfikować jako Indiankę. Loring powtórzył ten rozkaz dla podkreślenia jego wagi, po czym przeszedł do mniej istotnych spraw. Wydano racje żywnościowe na pięć dni, a za Wolvertonem i oddziałem I miał podążać tabor z żywnością i amunicją. Oddział G spotka się z oddziałem I w celu uzupełnienia zapasów i amunicji po starciu, co miało nastąpić w ciągu pięciu dni. Frank Holly miał być przewodnikiem Wolvertona, Kinsman oddziału G i Loringa, a pojmany Apacz, Tana, zwiadowcą tego ostatniego.

— Mogę dodać — kontynuował Loring — że zatrudniam Tanę pomimo jego statusu więźnia. Wydawał się wdzięczny za schwytanie i nie stawiał oporu. Był już pomocny i zdaje się, że przyłączył się do Diablito tylko dlatego, że jego zięć zabrał ze sobą córkę i jej dziecko podczas ucieczki z rezerwatu. Ponieważ schwytaliśmy również dziewczynę i jej dziecko, Tana nie obawia się odwetu. Myślę, że przyda nam się jako zwiadowca. Jeszcze jakieś pytania? W takim razie to wszystko, panowie.

Ward spędził popołudnie, wybierając sobie konia spośród pozostałych luzaków. Wybrał brzydkiego, krótkiego gniadosza, którego nogi i głębokość klatki piersiowej dobrze wróżyły co do jego wytrzymałości, a następnie pobrał racje żywnościowe, karabin i amunicję. Linus, który

zwykle chętnie by mu pomagał, zajęty był sprawami oddziału G. Ward obserwował go przez chwilę w grupie, jak wypytywał kwatermistrza i wydawał się przygaszony i zajęty. Ward przeszedł do punktu usługowego dla żołnierzy.

W swoim pokoju nalał wody z dzbanka przy umywalce do żelaznej miski, a następnie zapalił cygaro i zdjął koszulę. Z okna widać było stodołę Hance'a i stał przy nim przez chwilę, wspominając ostatnią noc. Postać człowieka, który spuścił mu lanie, znów zaczęła go zastanawiać. Jedyny gniew, jaki można było dostrzec zeszłej nocy, był jego własnym. Loring zażądał kontynuacji walki tylko z poczucia obowiązku, honoru, tego, czego od niego oczekiwano, domyślał się Ward. Czy naprawdę wściekły człowiek potrafiłby opanować gniew na tyle długo, by pamiętać o swojej pozycji i przyzwoitości, tak jak zrobił to Loring zeszłej nocy? Walczył w ten sam sposób - z chłodną wprawą, ale bez okazywania pasji czy nawet urazy. Ward zastanawiał się przez chwilę, dlaczego ta cecha Loringa była dla niego ważna, lecz nie znalazł na to pytanie odpowiedzi.

Dopalił cygaro i zaczął przygotowywać się do golenia. Woda w wiadrze zrobiła się już ciepła od gorąca panującego w pomieszczeniu. Był w połowie golenia, gdy usłyszał powolne kroki na schodach i w drzwiach pojawił się Frank Holly.

— Weź sobie krzesło, Holly — zaprosił przybysza. — Co ci tam chodzi po głowie?

Holly przyjrzał mu się uważnie, a potem powiedział:

— No cóż, on nie jest złym człowiekiem, Ward. Zostawił mnóstwo śladów na twoim brzuchu i piersi, ale w ogóle nie poznaczył ci twarzy.

Ward popatrzył w dół na siniaki na swoich piersiach i uśmiechnął się niewyraźnie. Holly położył się na pryczy, a Ward, podnosząc brzytwę, stwierdził sucho:

— To rozważny człowiek.

— A wiesz, niech mnie diabli, jeśli tak nie jest — zgodził się Holly ze zdziwieniem. — Zapytał, czy chcę wysłać jakąś wiadomość do Bowie z oddziałem odprowadzającym te kobiety Apaczów, a kiedy mu powiedziałem, że chciałbym wysłać tylko coś, czego nie mam - pieniądze - wypłacił mi ze swojej kieszeni pięciodniowy żołd. Moja kobieta wykarmi za to wszystkich kuzynów, wujów i ciotki, jakich znajdzie w rezerwacie.

Ward uśmiechnął się.

— Jak go oceniasz? — spytał Holly.

— A ty?

— Podręcznikowy żołnierz — odparł Holly.

— Zdarzali się dobrzy.

— Może taki być — przyznał Holly. Podrapał się po brodzie, a odgłos, jaki przy tym dał się usłyszeć, jak zawsze podziałał Wardowi na nerwy. — Mimo to nie ufam zbyt idealnym ludziom.

Ward popatrzył na niego.

— Idealnym?

— Może to nie jest właściwe słowo, ale daje wyobrażenie o co mi chodzi. On jest zbyt dobry. Weźmy na przykład tę sprawę z młodym Delaneyem. Loring wycofał się i przekazał ją Delaneyowi, więc Delaney

zbierze zasługi. Spójrz na jego ludzi, dba o nich jak o dzieci. Zapali wieczorem jedno cygaro i napije się whiskey, ale nigdy nie widziałem, żeby wyszedł rano po mocno zakrapianej nocy i nie wcelował w siodło, jak niektórzy z oficerów. Ma dość łagodny głos, jest przystojny dla kobiet i jest mężczyzną. Mimo to, jakoś nie potrafię go polubić. — Holly zmarszczył brwi w zamyśleniu. — Cholera, po prostu nie ma w nim niczego w środku.

— Martwi cię to? — spytał Ward.

Holly spojrzał na niego badawczo.

— Nie mnie. Ja mam Wolvertona. To ty powinieneś się martwić.

Ward odwrócił się i popatrzył na niego, nie potrafiąc ukryć zaskoczenia na twarzy.

— Dlaczego?

Holly stwierdził ponuro:

— Słuchaj, on nie lubi specjalnie żadnego człowieka. Traktuje ich dobrze, ale nie rozumie, jak mogą popełniać błędy, ponieważ sam ich nie popełnia. Zastanawiałeś się kiedyś, co on myśli o Indiańcach?

— Raczej niewiele o nich wie, jak mi się wydaje.

Holly wskazał na niego brudnym palcem.

— Cholerna racja, że niewiele. A człowiek, który nie myśli zbyt wiele o Apaczach i sposobie, w jaki oni walczą, prosi się o kłopoty. Uważaj na siebie, Ward.

Ward odparł:

— Będę — i zaczął się dalej golić.

Holly mówił jeszcze przez kilka minut o błahych sprawach, po czym zniknął. Ward zdawał sobie sprawę z tego, że stary zwiadowca przyszedł w wyraźnym celu ostrzeżenia go przed Loringiem, i to było interesujące. Być może Holly, z prostotą sprytnego i bezpośredniego człowieka, podsumował wszystko najlepiej stwierdzeniem: „Cholera, po prostu nie ma w nim niczego w środku”.

Niektóre z emocji, które panowały tego dnia na posterunku, dotarły do Ann. Uniosła wzrok znad swojej pracy, nasłuchując i obserwując z najbliższego okna to, co działo się wokół niej.

Emmy Wolverton przyszła rano z wiadomością, że jej skromna kolacja miała zostać przekształcona w przyjęcie. Czy był lepszy czas na świętowanie niż w przeddzień wyruszenia wojska w pole? Poza tym, nie oblano jeszcze objęcia nowego dowództwa przez Bena Loringa. Problem pielęgniarki majora Brierly'ego został rozwiązany bez trudu; pani Riordan, żona pijanego żołnierza, który zaatakował Brierly'ego, była słodką i zdolną kobietą; co więcej, głęboko przeżywała zachowanie męża i chętnie zgodziła się pełnić rolę pielęgniarki, aby Ann mogła pójść na przyjęcie. Ironia tej całej sytuacji nie umknęła Emmy, która zauważyła:

— Dobrze, że jesteśmy taką praktyczną płcią, prawda kochanie? W przeciwnym razie byłoby to krępujące.

Po popołudniowej wizycie doktora Hortona, major spał, a Ann wyjęła bordową suknię, którą miała założyć i zaczęła ją prasować. Zwykłe

odgłosy posterunku zniknęły, zastąpione przez inne. Cieszyła się, że Ben zrezygnował ze zwyczajowej inspekcji przed wyruszeniem w pole. Było na to zdecydowanie za gorąco, a ze spędzonego w wojsku dzieciństwa wiedziała, że sierżanci z wdzięczności sami sprawdzą, czy ludzie, konie i sprzęt są w nienagannym stanie. To było typowe dla Bena, pomyślała, typowe dla jego troski o wszystkich.

Potem zaś jej myśli powróciły do historii, którą usłyszała dziś rano od Emmy Wolverton. Wyglądało na to, że Ben pokłócił się zeszłej nocy z Kinsmanem w stopniu, który mogła rozstrzygnąć tylko bójka. Bójka miała miejsce w stodole Hance'a, i Ben wyraźnie wygrał. Kiedy Ann grzecznie zaprzeczyła temu jako plotce, Emmy powiedziała, że kapitan Wolverton otrzymał te informacje prosto od Warda, który radośnie przyznał się do swojej klęski. Nikt nie znał przyczyny kłótni.

Cała ta sprawa zastanawiała Ann. Wynik nie zaskoczył jej zbytnio, ponieważ major Brierly wspominał kiedyś, że Ben nigdy nie został pokonany w bójce w Akademii, przez cały czas, który tam spędził. Jeszcze przed przyjęciem do Akademii uczono go walczyć, tak jak uczono go jeździć konno, pływać łodzią, grać w tenisa, strzelać i tańczyć, co bez wątpienia robił znakomicie. Ann zastanawiało to, że niechęć tych dwóch mężczyzn do siebie nawzajem, mogła doprowadzić któregokolwiek z nich do bójki. Ben zawsze wydawał się na to za bardzo cywilizowany. A Ward Kinsman – no cóż, zbyt pogardliwy. Wyobrażała sobie, jak śmieje się na samą myśl o walce, a kiedy już zostanie do niej zmuszony, nie spocznie, dopóki jego przeciwnik nie zginie. Sam jego wygląd, pochodzenie, niepokojąca szczerość sugerowały jego bezlitosny charakter; podniesienie się z podłogi i zgoda na pracę dla człowieka, który go na nią posłał, wydawało się dziwne i niezgodne z jego charakterem. Pod tym względem, jak i pod każdym innym, był on dla niej kompletnym paradoksem.

Później zwolniła Manuelitę, kucharkę Brierly'ego, która miała pięcioro małych dzieci do wykarmienia z żołdu jej pochodzącego z Niemiec męża, i sama przygotowała majorowi Brierly'emu prostą kolację. Gdy mu ją podawała, rozległ się sygnał z mesy i oboje uśmiechnęli się z powodu tego zbiegu okoliczności.

— Słyszałem, że dziś wieczorem jest przyjęcie — powiedział cicho Brierly.

Ann skinęła głową.

— Chciałabym, żeby pan tam był.

Brierly skrzywił się.

— W tej chwili wolę to łóżko. Baw się dobrze.

Potem weszła Martha Riordan, a gdy już się rozgościła, Ann poszła do swojego pokoju, aby się ubrać. Usłyszała, jak wchodzi Ben, który miał ją zabrać na przyjęcie. Jego rozmowa z panią Riordan, a później z majorem Brierlym, rozbrzmiewała za jej drzwiami. Ann zdjęła swoją sukienkę, rozplotła gęste, czarne włosy, wyszczotkowała je szybko, po czym włożyła suknię na przyjęcie i spięła włosy. Stojąc przed lustrem, ze spinkami w ustach, popatrzyła krytycznie na siebie, swoją suknię; jej zielone oczy błyszczały z niecierpliwości. Jak na pielęgniarkę i kucharkę na pół etatu, nie wyglądała źle, oceniła i wyszła.

Wolvertonowie mieli połowę dużego domu z adobe, tuż obok domu Brierly'ego; druga połowa należała do porucznika Storrowa, którego żona przebywała z wizytą na Wschodzie. Dom stał naprzeciw żwirowego podjazdu, który prowadził z placu apelowego do stajni, tak że kwatera Brierly'ego znajdowała się na jego tyłach. Miał taką samą głęboką werandę jak pozostałe budynki od strony placu apelowego.

Kiedy szli spacerem, Ann położyła rękę na ramieniu Bena.

— Pracowity dzień?

— Irytujący — odparł wesoło Loring. — Ten przeklęty tabor kwatermistrzowski. Potrzebowaliśmy tych rzeczy, ale co za czas na nie. — Popatrzył na nią. — Będę musiał wyjść wcześniej. Mam jeszcze trochę pracy.

— Nie myśl o tym. Bawmy się dobrze. To przyjęcie jest na twoją cześć, naprawdę.

Dłoń Bena objęła ją na chwilę w czułym przyzwoleniu.

Oficerowie obu oddziałów rozsiedli się na werandzie wokół Emmy Wolverton, kiedy weszli Ann i Ben. Bob Wolverton zarekwirował krzesła Storrowa, a na stole stały szklanki z whisky i wodą. Czarny garnitur Warda Kinsmana sprawiał, że jego kasztanowe włosy wydawały się niemalże blond i przewodnik wyglądał dziwnie formalnie wśród mundurów; trzymając szklankę w dłoni, odsunął się od ściany, gdy Ann weszła po schodkach i powitała zebranych.

Ben przywitał się z każdym z gości, a gdy Ward odwzajemnił jego powitanie, Ann obserwowała wyraz jego twarzy; jego odpowiedź była swobodna, uprzejma i została starannie odnotowana, ponieważ wszyscy tutaj słyszeli o kłótni i zakładali, że nigdy się nie wydarzyła.

Wkrótce otoczyły ją błahe rozmowy, rozmowy na tematy wojskowe, a ona słuchała ich z prostą przyjemnością. W pewnym momencie, gdy Bob Wolverton napełnił kieliszki, zatrzymał się, rozejrzał, uniósł swój kieliszek i popatrzył na Bena.

— Za sukcesy na nowym stanowisku, Ben.

Wszyscy wypili, a porucznik Storrow zapytał złośliwie:

— Ben, a kiedy nadejdą zmiany? Pamiętam, jak to było kiedy Whitey Whitehead objął dowództwo w Cummings. Wycofał się z gry w pokera, za którą był winien miesięczny żołd, codziennie zaczął organizować musztrę, a my musieliśmy nosić bluzy w mesie. Bóg jeden wie, co by się stało, gdyby pewnego ranka podczas inspekcji stajni nie dostał udaru cieplnego.

Loring uśmiechnął się lekko:

— Zamierzam wprowadzić pewną zmianę, kiedy wrócimy z pola.

Storrow wyglądał na lekko zakłopotanego, jakby zachował się nieco zbyt arogancko; reszta czekała z szacunkiem.

— Zamierzam zorganizować orkiestrę — oznajmił Loring. — Potrzebujemy odrobiny muzyki.

Wszyscy roześmiali się z ulgą, a Ann poczuła lekki dreszczyk dumy. Ben poradził sobie z tym, ze swoją zwykłą gracją; dał do zrozumienia, że może i wprowadzi zmiany, które mu odpowiadają, a jednak zmiana, którą wymienił, z pewnością sprawi, że będzie bardziej popularny.

Ann przyłączyła się do rozmowy i pomyślała, że zauważyła nowy szacunek w sposobie, w jaki ci ludzie ją traktowali. Wyglądało to tak, jakby milcząco zakładali, że ona i Ben pewnego dnia się pobiorą, co ją niepokoiło. Rozmowa była wesoła i kompletnie klanowa, jak to w wojsku bywa, ale zauważyła, że Ward brał w niej udział. Tylko Linus Delaney, którego uważała za najweselszego, najbardziej śmiałego i psotnego z młodych poruczników, był dzisiaj mocno stonowany.

Kolacja, podana w gorącej jak piec jadalni Wolvertonów, przyniosła kolejne toasty; było to naprawdę sentymentalne spotkanie, jak zawsze w ostatnią noc przed wyruszeniem w pole.

Później przyjęcie przeniosło się na chłodniejszą werandę. Doktor Horton wyszedł, aby sprawdzić jak się czują jego pacjenci. Reszta podzieliła się na małe grupki w gorących ciemnościach. Wtedy Loring szepnął do Ann:

— Masz ochotę na spacer ze mną do szpitala?

Wymknęli się i ruszyli razem pod ramię; Loring poprowadził ich spacer w stronę szpitala, gdzie sprawdził stan Riordana, a potem dołączył do niej. Tak naprawdę nie było gdzie iść, ale zatoczyli półkole w nocnym mroku, kierując się w stronę ciemnego budynku pralni. Dalekie gwiazdy, widoczne na niebie całymi milionami, zdawały się roić nad głowami w gorącą noc i przez chwilę Ann czuła dziwne zadowolenie.

Loring wkrótce przerwał milczenie.

— Dziwnie pomyśleć, że jeden z tych ludzi, być może nasz gospodarz, wypił właśnie ostatnią szklaneczkę whisky i po raz ostatni widział ładną dziewczynę.

— Czy kiedykolwiek o tym myślałeś, Benie?

— Nigdy - w odniesieniu do samego siebie. Ale często, gdy patrzę na innych. To zawsze zdarza się innym ludziom, nigdy tobie.

— Mogłoby.

— Nie, nie mogłoby — odparł Ben łagodnie, a potem wyrzucił z siebie z uczuciem: — Och, do diabła!

Było to tak niespodziewane, że Ann zatrzymała się zaskoczona.

— A na co to? — spytała zdziwiona.

Niespokojne westchnięcie Loringa było wyraźnie słyszalne.

— Po prostu przeklinam siebie i swoją niezdarność.

Ann milczała, obserwując go w ciemności.

— Oczywiście, nie rozumiesz, Ann — stwierdził łagodnie Loring. — Chodzi o to, że dzisiejszego wieczora zamierzałem zadać ci pytanie, odpowiedź na które determinowałaby całe moje dalsze życie, a potem zdałem sobie sprawę z tego, że poprzedziłem je rozmową na temat śmierci. Zachowuję się jak jakiś świeży rekrut, półgłówek prosto z farmy, który rozmawia ze swoją dziewczyną, w noc przed wysłaniem go na zachód. Mówię mojej dziewczynie o niebezpieczeństwie i być może groźbie czekającej mnie śmierci, mając nadzieję, że będzie dla mnie miła.

Ann spytała powoli:

— Czy to źle?

— To tani szantaż emocjonalny — odparł z przekonaniem Loring - i nie było to moim zamiarem. Musisz mi uwierzyć, Ann.

— Wierzę.

Loring wziął głęboki oddech.

— Kiedy twoja siostra, Mary, znowu będzie tutaj cała i zdrowa, Ann, znikniesz z mojego życia. Ciągle o tym myślę i chyba nie mogę znieść tej myśli. — Zawahał się, a potem mówił dalej, niemal błagalnym tonem. — Ann, ja wiem, że nie znamy się zbyt długo, ale wiesz o mnie wszystko. Kocham cię, Ann, i chcę, żebyś za mnie wyszła.

Ciepłe uczucia i czułość rozgorzały w Ann. A jednak jej ostra kobiecość dopominała się o swoje: *„Czy to jest sposób, w jaki chciałaś aby to się stało?*" i milczała.

— Zastanów się nad tym, Ann — powiedział wtedy Loring. — Czy dasz mi odpowiedź, kiedy wrócę? Nie chciałbym cię w tym poganiać.

Cicha szczerość jego głosu była dla niej niepokojąca i na chwilę odwróciła jej uwagę od znaczenia jego słów. Czy go kochała? Nie wiedziała, a jednak cała ta jego dobroć, w połączeniu ze świadomością, że ją kochał, przepełniała tę chwilę czułością. Powiedziała:

— Ben, kiedy wrócisz, dam ci odpowiedź.

Pocałował ją potem krótko i delikatnie, po czym objął ją ramieniem i splótł palce z jej palcami. Milczeli teraz, a Ann czuła, jak strumień uczucia wciąż ją ogrzewa. Ben poprosił o późniejszą odpowiedź, ale pomyślała, że mogłaby mu odpowiedzieć już teraz. Wiedziała, że mogliby wieść razem dobre życie; to było wszystko, co kobieta mogła otrzymać od tego świata. Ale jakaś głęboko zakorzeniona ostrożność, z której ledwo zdawała sobie sprawę, kazała jej milczeć.

U Wolvertona Ben podziękował Emmy za przyjęcie i wymówił się, ściskając dłoń Ann i żegnając ją na dobranoc. Doktor Horton, wracający od Brierly'ego, zatrzymał go na rogu podjazdu i Ann usłyszała cichy szmer ich rozmowy.

Później Horton wszedł na werandę.

— Wspaniałą konstytucję ma nasz major — zauważył. — Nie da się zabić prawdziwego kawalerzysty zwykłymi widłami. — Rozejrzał się za krzesłem. — Ta pani, jak jej tam, która została dziś u Brierly'ego, to cholernie ładna kobieta.

— Pani Riordan — poinformowała Emmy Wolverton. — To prawda, jest też bardzo miła.

Ann siedziała na najwyższym stopniu schodków, spoglądając w noc, jednym uchem słuchając sporadycznych rozmów oficerów, myśląc o Benie. Porucznik Storrow wyszedł na apel i wkrótce rozległ się dźwięk sygnału przygotowania do capstrzyku. Usłyszała kogoś za sobą, a potem głos Emmy Wolverton:

— Chyba jeszcze nie idziesz, Linusie?

— Muszę, Emmy — odparł Linus. — Może uda mi się oszczędzić trochę pracy dla Bena.

Podziękował Emmy za kolację i zszedł po schodkach, zatrzymując się, by powiedzieć Ann dobranoc, a potem skręcił za róg placu apelowego i zniknął w ciemności.

Wkrótce pierwsze nuty capstrzyku uniosły się w gorącą noc, czyste i melancholijne, a rozmowa za nią ucichła, na czas gdy wszyscy słuchali.

Wszyscy milczeli dalej, kiedy tony trąbki już ucichły, a późniejsze rozmowy były sporadyczne. Porucznik Tremaine pierwszy ruszył do wyjścia i Ann wiedziała, że też już powinna iść.

Pochyliła się do przodu, by wstać, kiedy poczuła, że ktoś siada obok niej i zobaczyła Warda Kinsmana.

— Odprowadzę panią do domu, jeśli pani chce — zaproponował.

— Skąd pan wiedział, że już idę? — spytała Ann.

— Obserwowałem panią. Po prostu wiedziałem. — Jego odpowiedź była rzeczowa, jakby wyjaśniała wszystko, a Ann oparła się pokusie, aby ją zakwestionować.

Wstała i podziękowała Emmy Wolverton, zaś Ward zawtórował, powtarzając jej słowa, po czym wyszli na podjazd i skierowali się w stronę domu Brierly'ego.

Ann miała przeczucie, że jej wyjście z Wardem wywoła zaciekawienie wśród gości Wolvertonów i sama też była ciekawa. Czy to zwykła uprzejmość skłoniła ją do przyjęcia tej propozycji?

Ann spojrzała na jego wysoką postać obok niej, a jego milczenie zachęciło ją do mówienia.

— Nie utyka pan tak, jak się spodziewałam.

— Nie uderzył mnie w stopę — mruknął Ward. — Jednak to chyba jedyne miejsce, w które tego nie zrobił.

Ann uśmiechnęła się.

— Mam wiele pytań. Mogę zadać kilka?

Ward skinął głową, zatrzymując się, ona też to zrobiła, i popatrzył na dom Brierly'ego, mówiąc:

— Zabiorę panią Riordan do domu, jeśli teraz tam wejdziemy.

— W takim razie nie wchodźmy — odparła Ann, zaskakując samą siebie. — Taka ładna noc. Przejdźmy się.

Podał jej ramię, a ona je chwyciła, i natychmiast przemknęło jej przez głowę: *„Tylko nie pralnia, proszę*". Skręcili jednak w stronę stodół z sianem, a Ann zapytała:

— Ta bójka naprawdę była?

— A co powiedział kapitan Loring?

— Jest zbyt wielkim dżentelmenem, aby o tym wspominać — odparła Ann. W jej głosie słychać było przyganę, zawoalowaną reprymendę, w związku z jego pytaniem.

— W to jestem w stanie uwierzyć — stwierdził Ward. Popatrzyła na niego i pomyślała, że się uśmiecha, choć nie mogła być tego pewna w ciemności. — Była — dodał.

Ann milczała przez chwilę, po czym pokręciła głową.

— Za każdym razem, kiedy już zaczynam myśleć, że mężczyzna jest prostym stworzeniem, robi się strasznie skomplikowany.

— Na przykład, w jakim sensie?

— No cóż, gdyby dwie kobiety pobiły się tak jak wy - a czasami tak się dzieje - nie sądzę, by jedna wróciła do pracy dla drugiej! — Obrzuciła go spojrzeniem. — Może właśnie to mnie najbardziej zastanawia.

— Ale ja nie pracuję dla niego — zauważył Ward. — Tak się tylko składa, że on nosi mundur, który mnie zatrudnia.

— To jeden ze sposobów w jaki można na to spojrzeć — przyznała Ann. — Mimo to, ten akt pokory nie pasuje do pana.

— Trochę uciska w ciasnych miejscach — stwierdził sucho Ward.

Ann roześmiała się i popatrzyli na siebie.

— Dlaczego więc pan to zrobił?

Ward nie odpowiedział od razu, a potem wyjaśnił:

— Częściowo może się pani domyślić, bez opowiadania. Reszta jest taka: mam tu wielu przyjaciół. Zrobiłbym naprawdę wiele, aby uratować człowieka takiego jak sierżant Mack czy kawalerzysta Ennis, przed strzałą w brzuch.

— A dowodzący nimi Ben Loring, mógłby im to załatwić? — spytała cierpko Ann.

— Tak.

— Będzie się więc pan czuł jak głupiec, jeśli dobrze mu pójdzie, prawda?

— Nie, raczej będę wdzięczny.

Ann poczuła wtedy nieuzasadniony gniew i wiedziała, że lepiej by zrobiła, milcząc. Ale jej gniew nie ustępował, więc powiedziała:

— Żałuję, że nie mam tego pańskiego daru przewidywania. Gdybym go miała, jakże łatwo byłoby mi dziś oznajmić Benowi, że za niego nie wyjdę, że okaże się kiepskim dowódcą, pobudliwym w bitwie, a może nawet tchórzem. Ale dzięki Bogu tego nie zrobiłam!

Ward zatrzymał się i popatrzył na nią, a ona cofnęła rękę z jego ramienia.

— Co mu pani odpowiedziała? — spytał.

— Nie odpowiedziałam mu, ale wiem, co zrobię, kiedy wróci z bitwy, odpowiem mu „tak”!

— Nie, Ann, nie odpowie pani — powiedział cicho Ward.

— Czy to kolejny przykład pańskiego daru przewidywania? — dopytywała się gniewnie Ann.

W odpowiedzi Ward wziął ją w ramiona i pocałował szorstko. Z początku walczyła wściekle, bijąc go po rękach, a potem ustąpiła, czując, jak wzbiera w niej dziki niepokój, a kiedy ją puścił, stała tam w mroku, zupełnie bez ruchu. Potem oznajmiła ze smutkiem:

— Żałuję, że to zrobiłeś, Ward — a kiedy nic nie powiedział, spytała: — Dlaczego to zrobiłeś?

— Nie jesteś zaręczona z żadnym mężczyzną, Ann.

— Jest tak, jakbym była — stwierdziła Ann z poważną bezpośredniością.

— Nie, przekonasz się, że nie jest. Pocałowałem cię, bo będziesz to pamiętać. Będziesz to pamiętać, a potem zaczniesz się zastanawiać, jak Ben może czekać tydzień na odpowiedź. Będzie ci to tkwiło w głowie i będziesz się zastanawiać, dlaczego nie dałaś Benowi odpowiedzi już dzisiejszego wieczora. Będziesz to pamiętać i nigdy za niego nie wyjdziesz, Ann. Jakiś inny mężczyzna, tak, ale nie Loring.

Kiedy nic nie odpowiedziała na jego słowa, pożegnał ją łagodnie:

— Dobranoc, Ann — i odszedł w mrok.

Straciła rachubę czasu, jak długo tam stała, a z każdą chwilą jakaś wewnętrzna świadomość własnego ja, otwierała się w niej jak powoli rozwijający się kwiat. Wydawało się, jakby słowa Warda, jego pocałunek, otworzyły w jej umyśle drzwi do pewnych prawd; i gdy rozważała jedną z nich, pojawiały się kolejne, połączone ze sobą w logiczny łańcuch. Ward odczytał ją właściwie. Była szczerą dziewczyną i gdyby kochała Bena, dałaby mu zgodę już dzisiejszego wieczora. A gdyby on kochał ją tak, jak chciałaby być kochana, nigdy by jej nie pocałował w ten pozbawiony namiętności, braterski sposób. I dlaczego Ben w ogóle pomyślał, a ona razem z nim, że muszą czekać tydzień na jej odpowiedź? Ann zdała sobie wtedy sprawę, z kobiecą przenikliwością, że cała śmiałość, niemal brutalna bezpośredniość kochającego mężczyzny została z Bena usunięta, w procesie wychowania, pozostawiając tylko to, co było odpowiednie i poprawne. To właśnie, Ward próbował jej powiedzieć, pokazać - że chociaż Ben był dobrym, troskliwym i dżentelmeńskim człowiekiem, nie było w nim ognia. Wiedziała również, że to właśnie było powodem, dla którego Ward nie miał nic przeciwko temu, by dostać lanie od Bena i dlaczego został, by służyć jako przewodnik; widział skazę w tym człowieku, który był tylko odpowiedni, nic więcej. Ben, jak Ann teraz wiedziała, był jedynie bladą kopią człowieka, jakiego mogłaby poślubić, mężczyzną wyćwiczonym pod każdym względem, ponieważ względy te nie były dla niego naturalne. Wiedząc o tym, Ann pomyślała z goryczą: *„Tak, będę pamiętała*”.

Kiedy Linus opuścił przyjęcie, poszedł prosto do majora Brierly'ego. Jego pukanie we framugę drzwi, sprowadziło do wejścia Marthę Riordan. Był w ciemności, tak więc go nie rozpoznała. Zapytał:

— Czy major Brierly nie śpi?

— Major… Linus! — zawołała półgłosem.

— Tak więc?

— Nie, śpi.

Linus zdjął kapelusz i wszedł do środka. Martha Riordan cofnęła się pod ścianę, poza zasięg wzroku każdego, kto mógłby korzystać z chodnika. Słabe światło lampy, przy której czytała, delikatnie muskało jej twarz, a Linus, obserwując ją, zauważył, że nadal nosiła lekkie ślady uderzenia męża, na kości policzkowej.

— Musiałem cię znowu zobaczyć — oznajmił poważnie Linus. — Zmieniłaś zdanie, Martho?

Martha Riordan pokręciła przecząco głową.

— Wiesz, że on stanie przed sądem. Sąd potraktuje go surowo, z powodu jego przeszłości. To pod warunkiem, że major Brierly wyzdrowieje. Będzie osadzony w więzieniu wojskowym na dziesięć lat, Martho - co najmniej dziesięć długich lat.

— Myślałam o tym — odparła Martha Riordan.

— Co zrobisz, jak będziesz żyć?

— Wrócę do moich rodziców.

— Odejdź już teraz — powiedział Linus żałośnie. — Skończ z tym.

Martha Riordan ponownie pokręciła przecząco głową.

— Jaka żona porzuca męża, gdy ma on kłopoty, Linusie? Nie, zostanę. Pomogę mu, jak tylko będę w stanie.

Linus oznajmił ponuro:

— I będziesz na niego czekać, kiedy wyjdzie z więzienia?

— On nadal będzie moim mężem — zauważyła ponuro Martha.

Linus tylko na nią spoglądał. Ramiona miała złożone na piersi i dostrzegł szorstką fakturę skóry jej dłoni. Poczuł coś na kształt fizycznego bólu, kiedy zobaczył ponury smutek w jej oczach. Powiedział wtedy:

— Podjąłem decyzję w jednej sprawie, Martho. Kiedy wrócę, nie zobaczę cię już więcej.

— To rozsądne — powiedziała beznamiętnie.

— Nie sądzę, żebym mógł to znieść, ale wytrzymam.

— Każdy może znieść wszystko, jeśli musi — oznajmiła Martha bez cienia goryczy. Popatrzyła na niego badawczo i dodała: — Nie dotykaj mnie, Linusie. Po prostu pożegnaj się i idź.

Linus skinął głową.

— Żegnaj, Martho — powiedział i ruszył do drzwi, a ona poszła za nim.

Zawołała cicho:

— Będziesz o siebie dbać, prawda?

Linus nic nie odpowiedział. Odszedł, ani razu się nie oglądając.

Słońce ledwo wzeszło, kiedy nad posterunkiem rozległ się sygnał trąbki „Do koni". Ann Dunnifon, wciąż w swoim szlafroku, obserwowała z drzwi, jak dwa oddziały formują się na placu i jak odbywa się apel. Loring, z wodzami zwisającymi mu z zaciśniętej dłoni, stał trochę z boku od grupy oficerów. Sierżanci zameldowali stany osobowe swoim oficerom, którzy z kolei przekazali je Loringowi, a następnie wydano rozkaz wsiadania na koń. Oddział G, w kolumnie dwójkowej, wyruszył wschodnią bramą wartowniczą, proporce ledwo się poruszały w spokojnym powietrzu poranka, i skręcił w prawo w kierunku narożnika punktu usługowego dla żołnierzy. Oddział I, po przejechaniu przez bramę, skręcił na północny wschód. Kilka żon żołnierzy oddaliło się od czworoboku; para psów, teraz ożywionych, zanim słońce nadchodzącego dnia zagna je w cień, biegała po placu apelowym. Ann obserwowała to wszystko, przypominając sobie słowa Kinsmana, myśląc. „*Tak właśnie mężczyźni wyruszają na wojnę*" i zawróciła do domu.

Major Brierly już się obudził, powiedziała mu dzień dobry i poszła do kuchni, walcząc z uczuciem zagubienia, zastanawiając się, jak da radę spędzić czas do powrotu żołnierzy.

Na początku teren był otwarty, i Ward prowadził swojego konia obok wierzchowca Linusa. Tana jechał z kapitanem Loringiem i obaj, rozdzieleni przez barierę językową, milczeli. Wśród żołnierzy słychać było wiele rozmów, lecz gdy słońce wzeszło wyżej, a upał zaczął doskwierać, stały się one rzadsze, aż w końcu zupełnie ucichły.

Do południa wjechali w głąb terenu pełnego poszarpanych najeżonych ostrymi skałami wzgórz i suchych arroyos, a szorstkie skały, z płowo-czarnych margli, więziły narastające gorąco w swym wnętrzu i zdawały się utrzymywać je zawieszone w powietrzu. Bailey's Peak wyrósł nad północnym horyzontem, podczas gdy na wschodzie rozciągał się szereg wysokich gołych wzgórz, zaś połamana i postrzępiona krawędź najbliższego z nich płonęła mieniącą się serpentynową linią w rosnącym coraz bardziej gorącu.

Kiedy Loring zatrzymał kolumnę na kolejną przerwę, dał znak Wardowi. Twarz Loringa była zaczerwieniona, a pod polową czapkę wsunął w stylu kepi chustę, aby chronić szyję przed promieniami słońca.

— Weź swojego sygnalistę, Tremaine — rozkazał po chwili, a następnie schował się w cień, przywołując wzrokiem Warda. Tana przykucnął trochę dalej, z łokciami na kolanach, obserwując ich. Ściągnął nogawice do samego dołu; poły jego podartej koszuli ledwie przykrywały przepaskę biodrową. — Kinsman, powiedz Tanie, że ma poprowadzić Tremaine'a i jego ludzi do najwyższego punktu na tym grzbiecie, a potem ma do nas dołączyć koło…

— Proszę uważać, drogi kapitanie — przerwał mu Ward. — Oni łatwo wychwytują nazwy miejsc.

— A dlaczego nie miałby tego wiedzieć? — dopytywał się Loring.

— Będzie w stanie nas odnaleźć, gdziekolwiek byśmy nie byli. Dobrze, że nie wie, co zamierzamy. Mógłby nawet cię rozumieć.

Loring uśmiechnął się sztywno.

— Wciąż ta podejrzliwość?

Ward wzruszył ramionami.

— Gdyby rozpoznał nazwę, odgadłby nasz plan. Co miałoby go powstrzymać przed opuszczeniem Tremaine'a i udaniem się na Bailey's Peak z informacją?

— Nic, poza lojalnością.

— Nie mamy do czynienia ze zwiadowcą z Fort Apache. Mamy do czynienia z więźniem ujętym w drodze do Diablito — zauważył sucho Ward.

— Więc co niby miałoby go powstrzymać przed odnalezieniem później naszego śladu, jazdą za nami, sprawdzeniem, gdzie rozbijamy obóz, i zabraniem tej samej informacji ze sobą? — dopytywał się Loring.

— Nic, ale to sprawi, że jego informacje będą o sześć godzin późniejsze.

— Jest za gorąco, żeby się kłócić — ustąpił spokojnie Loring. — Rób po swojemu.

Tremaine, jego sygnalista i dwóch żołnierzy, z których jeden prowadził jucznego muła z heliografem, wysunęli się teraz do przodu, a Ward podszedł do Tany. Wydał mu rozkazy, a Tana powiedział: „Enju"; dopiero później ich spojrzenia spotkały się na moment, oczy Tany były zasłonięte, skryte i rozgorączkowane.

Kiedy oddział Tremaine'a rozstał się z nimi, ruszyli dalej, a Loring, za radą Warda, wystawił flankujące posterunki. Teraz podążali na południe, lekko ku wschodowi, w kierunku bardziej surowego terenu, mniej więcej

podążając wzdłuż grzbietu, na którym Tremaine miał założyć swoją stację sygnałową. Ward wiedział, że nie można nawet mieć nadziei, na ukrycie kurzu wzbijanego przez cały oddział kawalerii, ale trzymając się południowego kierunku marszu, mógł sprawić, że obserwator będzie przypuszczał, iż zmierzają w kierunku Bowie i pozostają z dala od znanych szlaków na Bailey's Peak. Ciągle rozmyślał o Tanie, rozważając w myślach, czy warto go ze sobą zabrać. Do tej pory Tana nie mógł powiedzieć Diablito nic, poza tym, że kolumna, pozostawiając sygnalistę, skierowała się na południe.

W pełni ciemności zatrzymali się pod grzbietem wzgórza, a Loring, po wystawieniu wart, przekazał wiadomość, że w tym miejscu będzie ostatni popas z ogniem. Był to kamienisty teren, niemal pozbawiony paliwa, ale natychmiast pojawiło się kilkanaście małych ognisk. Większość żołnierzy przekopywała podłoże w poszukiwaniu węży, po czym kładła się lub siadała na gorącej ziemi, a ich zmęczone głosy wydawały niski pomruk w cichym mroku.

Linus, Loring, Storrow i Ward wypili kawę, zjedli chleb z bekonem, a potem położyli się na ziemi. Loring zawołał wartowników, żeby także zjedli, wystawił nowych, a następnie usiadł przy ogniu, obserwując inne ogniska i odpoczywających żołnierzy. Linus wygniótł sobie w kamienistej glebie płytkie dołki na biodro i ramię i zasnął. Ward obserwował teraz Loringa i znów poczuł dziwny napływ ciekawości w związku z tym człowiekiem. Twarz Loringa była całkowicie spokojna i pozbawiona trosk. Nie było w nim śladu jakiegoś tłumionego podniecenia, które u innych ludzi manifestowało się drażliwością, nadmiernie wesołym nastrojem, lub ogromnym zmęczeniem i sennością. Był nieprzenikniony jak kot i chociaż podróżował przez większość dnia w towarzystwie jednego człowieka, któremu groził przeniesieniem oraz drugiego, którego solidnie obił, zdawał się być nieświadom istnienia żadnego napięcia lub możliwości jego pojawienia się.

Loring zaskoczył go po chwili, przenosząc na niego wzrok, i Ward poruszył się leniwie, wpatrując się w gwiazdy. Loring powiedział:

— Teraz ruszymy na wschód, prawda?

— Tak.

— Masz w planach jakąś kryjówkę na biwak, na jutro?

— Kryjówkę? — Ward powtórzył to słowo i podniósł się na łokciu, żeby na niego spojrzeć. — Planujesz zasadzkę na Apaczów, drogi kapitanie? — W jego głosie słychać było suche rozbawienie.

Loring się zarumienił.

— Niezupełnie. Nadal jednak liczymy na element zaskoczenia i nasze ruchy nie powinny być zbyt otwarte.

— Jedynymi środkami ostrożności, jakie nam są potrzebne, to poruszanie się nocą, żeby nie było widać obłoku naszego kurzu, i rozbicie obozu na zimno, żeby nie było dymu. Jeśli banda nadciągnie tędy, jej zwiadowcy odnajdą nas na godzinę przed główną grupą. Potem, jeśli zdecydują się walczyć, będziemy musieli stoczyć walkę. Jeśli nie, nawet ich nie zobaczymy.

Loring uśmiechnął się tak lekko, że uniósł się tylko jeden kącik jego wąsów.

— Masz wielki szacunek dla naszych czerwonych braci, nieprawdaż?

— Walczyłeś z nimi, jak słyszałem — odparł Ward. — Czy nie czujesz do nich szacunku?

— Bardzo niewiele, przynajmniej dla plemion północnych — odpowiedział łagodnie Loring. — Ich najlepszemu dowódcy nie powierzyłbym nawet plutonu. Walczą z kaprysu, bez planu; dorównaj im liczebnością, to nawet nie będą walczyć. — Popatrzył zamyślony na ogień. — Wątpię, żeby te były inne.

— Nie zachowasz tych wątpliwości na długo, drogi kapitanie — mruknął Ward i położył się.

Po dwóch godzinach obóz został złożony, kolumna ponownie się uformowała, a Ward objął prowadzenie. Za sobą słyszał sierżantów wołających:

— Zewrzeć szeregi! Zewrzeć szeregi! — gdy poruszali się w gęstej ciemności.

Ward podróżował po tym terenie dwie zimy temu i gdy tylko przekroczyli wschodni grzbiet, wyszli z kanionu i ruszyli w stronę ziemi, którą znał lepiej, krainy niskich szczytów i głębokich dolin, które trzeba było na przemian omijać lub przedzierać się przez nie. To był długi marsz, z kilkoma przerwami, bo planowali pokonać niemal cały dystans na wschód, pod osłoną ciemności. Loring i Ward jechali obok siebie przez większość czasu, a ich rozmowy były skąpe, ograniczone do niezbędnej komunikacji.

Dla Warda było to dziwne uczucie, jechać obok człowieka, z którym dzielił jego najgłębszy sekret. Czy rozmyślał o Ann Dunnifon, mając nadzieję, jak jakiś bohater ze średniowiecznej opowieści, że jego waleczność będzie decydującym czynnikiem, dzięki któremu zdobędzie jej względy i rękę? Łatwo było uśmiechnąć się na tę myśl, choć prawdopodobnie była ona błędna, i nie po raz pierwszy dzisiejszego dnia przypomniał sobie swoje rozstanie z Ann.

Było ono gwałtowne, celowo, bo chciał ją zaszokować i uświadomić, że maniery, ranga i dworność to za mało w przypadku mężczyzny, którego poślubi. „Zapamiętasz", powiedział jej. „*Problem w tym, że teraz ja również będę pamiętał*", pomyślał. Dlaczego to zrobił, a skoro już to zrobił, dlaczego to w nim tak utkwiło, że aż potrafił przypomnieć sobie w każdej chwili zapach jej włosów, smak jej ust, gwałtowny pierwszy protest, a potem poddanie się, a w końcu smutek w jej głosie, w napomnieniu. Został zmuszony do zrobienia tego na skutek nagłego napływu gniewu i być może złośliwości, a myśl, że czuł jedno lub drugie, teraz go tak bardzo zastanawiała. Ale przede wszystkim była to ironia faktu, że próbując wyrzucić Bena Loringa z jej umysłu, udało mu się nieodwołalnie przywiązać ją do swojego. I była tu dziwnie mile widziana.

Po północy teren bardziej się otworzył, skały ustępowały miejsca podłożu z grubego żwiru, a czasem piasku, co spowalniało marsz oddziału. Ale brakowało godziny do świtu, gdy Ward zatrzymał się na pokrytym piargami zboczu i zaczekał na kolumnę.

Loring zatrzymał oddział i podjechał obok niego, zaś Ward zameldował:

— Nie jest to może cieniste zacisze, kapitanie, ale słońce dotrze tutaj późno. Możesz dawać sygnały z tego wzgórza. Woda jest zaledwie ćwierć mili dalej.

O świcie konie zostały napojone, warty wystawione, ustawiona linia pikiet, a oddział spał, Ward razem z nimi.

Obudził się, kiedy słońce wzeszło już trzy godziny temu, i zobaczył Tanę kucającego w cieniu pobliskiej skały. Obóz zaczynał ożywać, jakby przeczuwając nadchodzący kiepski dzień. Pagórki, które nazywano Cardinal Springs ze względu na jaskrawoczerwony kolor skały, u podstawy której sączyła się woda, znajdowały się kilkaset jardów na wschód. Był to szeroki kawałek doliny porośniętej kępami bylic, sięgający do innego niskiej góry położonej w pobliżu na południu. Dalej, w korytarzu między płasko ściętymi płaskowyżami, rozciągał się długi spłacheć płowej piaszczystej krainy, aż do odległych niebieskich Rinconów i do Meksyku. Wiry pyłowe już pełzały się w ślimaczym tempie po tym długim pustynnym obszarze, który zaczynał rozmywać się w rozedrganym powietrzu rozgrzewanym przez wczesne słońce.

Loring przeszedł przez grupy kręcących się żołnierzy z linii pikiet, machając trzymaną w dłoni manierką. Linus okrążył wielką skałę, która oderwała się od krawędzi płaskowyżu i spoczęła na dnie doliny, obok której klęczał Ward, składając koc. Linus stał tam przez chwilę, z potarganymi włosami, wciąż rozespanymi oczyma, spoglądając na rozległą krainę.

— Dlaczego, do cholery, w ogóle o to walczymy? — spytał i dodał: — Dzień dobry. Gdzie są moje buty?

Loring podchodził żwawo, mówiąc dzień dobry dwóm żołnierzom, a potem się zatrzymał. Osłaniając oczy, popatrzył w górę zbocza, gdzie porucznik Storrow ze swoim sygnalistą siedział już od wschodu słońca, aby nawiązać łączność z przekaźnikiem Tremaine'a.

Potem ruszył dalej, zastając Warda i Linusa jedzących kanapki z zimnym mięsem.

Życzył im dobrego dnia, przyklęknął na piaszczystej ziemi i zauważył:

— No cóż, Kinsman, mój Apacz jednak wrócił.

— Tak, zauważyłem — wybełkotał Ward, mając usta pełne jedzenia.

— Spytaj go, czy spał — powiedział Loring.

Ward przełknął kęs i zadał pytanie Tanie, którego odpowiedź przekazał Loringowi.

— Wystarczająco długo, powiedział. Zgubił nasz ślad na skałach, a kiedy nie mógł go odnaleźć, spał aż do świtu.

— Dobrze, proponuję zagonić go do roboty. — Loring polecił Wardowi. — Istnieje spora możliwość, że zaskoczy nas jakiś zabłąkany Apacz, skoro to znane miejsce z wodą, prawda?

Ward skinął głową.

— I możliwe też jest, że ten sam zabłąkany Apacz mógłby przekazać Diablito wiadomość o naszej obecności, prawda?

Ward znów skinął głową i dodał cicho:

— Zabłąkany Apacz o imieniu Tana.

Loring popatrzył na niego badawczo.

— Wciąż uważasz, że on nie jest lojalny?

— Łatwo można się dowiedzieć.

— Jak?

Ward stwierdził sucho:

— Wyślij go na zwiady i zobaczymy, czy wróci.

Loring zarumienił się i powiedział:

— Właśnie to proponuję zrobić. Według naszych informacji do tego źródła prowadzi kilka szlaków. Myślę, że warto sprawdzić, czy ktoś gdzieś nie przejeżdżał, albo czy nie zbliżają się jacyś Apacze, żebyśmy mogli się przygotować aby ich zatrzymać.

Ward tylko skinął głową.

Loring powiedział uprzejmie.

— Przekaż mu to, dobrze?

Linus zauważył:

— A co jeśli nie wróci ze zwiadu?

— Wróci — oznajmił beznamiętnie Loring.

Linus popatrzył na Warda, który wstał, wciąż trzymając kanapkę w dłoni. Podniósł kilka kawałków mięsa, podszedł do Tany i podał mu je, po czym przekazał rozkazy Loringa. Tana przyjął mięso z podziękowaniem, włożył je do skórzanego worka wiszącego u jego pustego pasa, wysłuchał rozkazów, wstał i ruszył lekkim truchtem w stronę źródła. Loring ruszył gdzieś dalej, a Ward wrócił do Linusa.

— Jak to się skończy? — zapytał Linus, patrząc na niego badawczo.

— Zobaczymy.

— Do diabła, to będzie już za późno — zaprotestował Linus.

— Miałem na myśli, że ja zobaczę.

Obserwował Tanę pijącego ze źródła, a następnie znikającego za punktem skalnym na wschodzie. Linus też to widział i popatrzył na Warda.

— Już na starcie cię sporo wyprzedził.

— Nie, za kilka minut będzie w tych skałach nad źródłami. Będzie tam przez chwilę obserwował, czy ktoś go nie śledzi, zanim ruszy dalej. — Podniósł manierkę i odkręcił pokrywkę. — Idź i rób swoje. Ja sobie przez chwilę pośpię, w miejscu gdzie będzie mógł mnie widzieć.

Ward napił się, a potem położył się w cieniu skały, zwrócony twarzą do źródeł. W myślach podzielił szczyt płaskowyżu nad wodopojem na segmenty i obserwował każdy z nich, wypatrując jakiegokolwiek ruchu. Kiedy przechodził żołnierz, zamykał oczy, jakby spał, lecz po dwudziestu minutach nadal nie zauważył aby się coś ruszało.

Poczekał jeszcze pięć minut, po czym wstał i przeszedł z powrotem przez wylegujących się żołnierzy, mijając linię pikiet i leżącego, ale czujnego strażnika na końcu płaskowyżu. Gdy już był na zewnątrz, skręcił na północ i ruszył lekkim truchtem, a po opuszczeniu płaskowyżu znów skręcił na wschód, utrzymując ten sam stały trucht. Przekroczył jeden szlak, dotarł do skał u podstawy stromego zbocza Cardinal Mesa pół mili na północ od Springs i zaczął się wspinać. Tutaj, jak pamiętał, płaskowyż zmieniał się w coś niewiele większego niż zerodowany wąski grzbiet wzgórza. Kryjąc się za skałami i nisko się pochylając, przekroczył grzbiet,

a gdy mógł obserwować teren na wschodzie i południu, zatrzymał się, położył na ziemi i uważnie przeszukał wzrokiem rozległą krainę.

Wkrótce na leżących w dole nizinach w zasięgu wzroku pojawił się Tana. Poruszał się kłusem kiepsko wyróżniającą się ścieżką na wschód. Od czasu do czasu zatrzymywał się jak pies myśliwski zatrzymany przez przelotny zapach i klękał przy szlaku. W końcu odwrócił się od niego i skierował się w górę kanionu na północ, by przeciąć północny szlak. Ward widział, że wykonuje rozkazy Loringa, bo gdyby zamierzał uciekać, nie zawracałby sobie głowy tym wymyślnym udawaniem. A jednak niepokój, resztki podejrzeń, wciąż tkwiły w Wardzie.

Zszedł z grzbietu, wracając do obozu tą samą drogą, obecnie już południowy upalny dzień, zrobił jasny i okrutny. Żołnierze leżeli stłoczeni w każdym skrawku cieniu, jaki udało im się znaleźć lub stworzyć; wierzchowce prowadzono po kolei czwórkami do wody, a obóz pogrążył się w ciszy wymuszonej przez upał.

Ktoś rozwiesił markizę, rozciągając na podpórkach koce; Loring spał pod nią, a Linusa dostrzegł Ward na dole przy źródłach. Schował się pod krawędzią cienia koca i wkrótce Tana pojawił się w zasięgu wzroku, napił się przy źródle i wrócił do słabego cienia głazu. On i Ward spoglądali na siebie przez chwilę w milczeniu, a potem Tana zameldował. Wczoraj ze źródeł wyjechała pięcioosobowa grupa, która podążyła na wschód; wszystkie inne ślady miały ponad trzy dni. Widać było kurz wzbijany przez grupę podróżującą daleko na południu, zbyt daleko, by ich dostrzec, ale zbliżali się w tym kierunku. Później będzie mógł to potwierdzić.

Kiedy rozmawiali, Ward zobaczył Linusa zmierzającego w stronę obozu pół stępem, pół kłusem. Deszcz kamyków spadł kaskadą w dół piargu, a kawalerzysta Corteen, sygnalista Storrowa, zjechał w widoczne miejsce ze szczytu płaskowyżu, hamując butami, a następnie podchodząc do Loringa, który już się obudził.

Loring przeczytał wręczoną mu przez Corteena notatkę, a następnie podał ją Linusowi, który do nich dołączył. Linus podzielił się nią z Wardem. Wiadomość brzmiała: „Oddział w połowie poranka zmusił do walki bandę. Akcja przerwana po potyczce. Duża banda sześćdziesięciu ośmiu Indian wycofała się z Peak. Holly twierdzi, że w stronę Cardinal Springs. Straciliśmy kontakt, ale ścigam ich wspólnie z jednym oddziałem z Craig. Wolverton."

— Więc zmierzają tutaj — oznajmił Loring z cichym triumfem. — Kiedy do nas dotrą, Kinsman?

— Jutro w południe, może.

Loring zwrócił się do Corteena.

— Znajdź sierżanta Macka — rozkazał, a potem zobaczył Tanę i uśmiechnął się do niego. Zwrócił się do Warda i poprosił o raport Tany. Ward opowiedział mu o zauważonym pyle, a Loring powiedział: — Zapytaj go, jak daleko on był?

Ward zrobił to, a Tana odpowiedział; teraz, słuchając go, Ward poczuł solidny szok podniecenia.

Powiedział do Loringa.

— Trzy godziny stąd, może. Za dwie godziny chciałby znów się rozejrzeć.

— Powiedz mu, że się zgadzam — powiedział Loring.

Ward wykonał polecenie i patrząc teraz na Tanę pomyślał. *„To był pierwszy błąd, jaki popełniłeś, mój przyjacielu. I to wystarczy.”* Bo Tana skłamał. Nie było żadnego kurzu, a mimo to za dwie godziny chciał go poszukać.

Rozdział 6

Oddział pogrążył się w kompletnym letargu na skutek wściekłego popołudniowego upału. Porucznik Storrow zszedł ze szczytu płaskowyżu, a jego dwie manierki pobrzękiwały pustym metalem, gdy zsuwał się na dno doliny w tumanach kurzu. Jego żylaste ciało zachowywało pion, lecz długa twarz porucznika była poznaczona niebezpieczną czerwienią.

Widząc go, sierżant Mack poderwał się z ziemi i zawołał:

— Napełnię je, panie poruczniku.

— Daj spokój, Mack — odparł Storrow — ja już i tak się solidnie rozgrzałem.

Ruszył w stronę źródła.

W tej właśnie chwili Tana podniósł się zza skały, w cieniu której odpoczywał, popatrzył na południe, a potem ruszył za Storrowem w kierunku źródła, nie oglądając się za siebie.

Obserwując go, sierżant Mack powiedział do leżącego obok Warda:

— To zabawne, stary, ale zastanawiam się, czy ten Apacz wie, jakie ma szczęście? Gdyby to on i jego rodacy wzięli nas do niewoli, wydłubaliby nam oczy, wbili pod paznokcie kolce kaktusa, rozebrali do naga i wydali swoim kobietom i dzieciom, aby przerobiły nas na krwawą miazgę. — Pokręcił głową ze zdziwieniem. — A ten tutaj chodzi sobie tak samo swobodnie, jak mój kuzyn Anson, po ulicach Filadelfii.

— Na razie — mruknął Ward i wstał z ziemi. Mack rzucił mu ostre spojrzenie, ale Ward ruszył już w kierunku linii pikiet. Tutaj leniwie osiodłał konia. Nie obawiał się, że Tana będzie również i tym razem pilnował swoich tyłów, ale nie chciał alarmować Loringa, który drzemał niespokojnie pod swoim prowizorycznym schronieniem. Wsiadł na konia, okrążył kraniec góry i poprowadził zwierzę wzdłuż niej. Teraz jednak zboczył z wcześniejszej trasy i trzymał się bardziej na północ, jadąc równolegle do szlaku na Bailey's Peak, ale uważając aby między nim a szlakiem stale pozostawało jakieś wzniesienie terenu.

Grunt wkrótce zaczął się wznosić, ale Ward przyśpieszył jeszcze kroku konia. Po jego prawej ręce znajdował się spłaszczony stożek wzgórza i pamiętał, że szlak prowadził jego wschodnią stroną, wznosząc się ostro, by wypłaszczyć się na wysokim, krótkim płaskowyżu, który niewiele dalej wdzierał w krainę szerokich kanionów, rozpoczynając powolne wznoszenie się do terenów wokół Bailey's Peak.

Po zachodniej stronie zbocza stożka rozciągała się plątanina skał i tutaj zostawił konia. Czuł że musi zwiększyć tempa i przedarł się przez to ogromne rumowisko, zmierzając w kierunku północnego zbocza. Dyszał ciężko i czuł, że pot spływa mu po plecach, a puls wali w skroniach.

Omijając gąszcze kolczastych akacji, zaczął wspinać się na ostro wznoszące się zbocze, trawersując teraz północny stok między porozrzucanymi krzewami mącznicy, aż wyszedł na płaskowyż zbiegający się ze szczytem.

Wejście rozciągającej się przed nim płytkiej doliny wypełnione było osuwiskiem ogromnych skał, schodzącym z wierzchołka góry. Ward wszedł na nie i wkrótce zobaczył pod sobą ledwie widoczny trop wijący się przez swoisty kanion w kanionie. Zszedł w dół do tropu, poświęcił dziesięć sekund na odczytanie jego historii, a następnie wycofał się i ruszył równolegle do niego, do najbliższego wysokiego głazu.

Potem wyciągnął rewolwer i położył go na ziemi, z trudem łapiąc oddech w gorącym jak piec powietrzu; jego koszula i spodnie były przesiąknięte potem i czuł, jak gromadzi się on w mokasynach.

Gdy jego oddech powoli się uspokoił, zaczął nasłuchiwać. Jaszczurka, zachęcona panującą już ciszą, wyszła przed nim spod skały, wykonała kilka gorączkowych pompek, a następnie ruszyła w sobie tylko znane miejsce i zaczęła kopać, najpierw jedną przednią łapą, potem drugą, wzbijając leciuteńki obłoczek kurzu. Nagle zatrzymała się, obróciła głowę, by zacząć nasłuchiwać, po czym odwróciła się i uciekła z powrotem pod swoją skałę.

Ward wziął rewolwer i wycelował go, a dopiero później usłyszał delikatny, rytmiczny tupot biegnących stóp. Zatrzymać go? Tak, z pewnością, żeby Loring po konfrontacji z nim, dostał nauczkę. Ward podniósł się, próbując ocenić odległość, wiedząc, że jeśli wyskoczy za szybko, jego ofiara zniknie w tym skalnym lesie.

Kiedy uznał, że nadszedł właściwy czas, odepchnął się od dającego mu schronienie głazu i wyszedł na ścieżkę, kierując się w dół - i szybko zdał sobie sprawę, że pomylił się w kalkulacjach. Tana znajdował się prawie przy nim, a w tym ułamku chwili, który był mu potrzebny do rozpoznania przeciwnika, ręka Tany zanurzyła się pod koszulę i zaczęła wyciągać nóż. Desperacko rzucił się do ataku, wyszarpując nóż z fałdów koszuli i wykonując cięcie w bok.

Ward zawirował wokół siebie i strzelił, słysząc zduszone stęknięcie, który wyrzucił z siebie Apacz.

Tana przeleciał koło niego, kula obróciła go w powietrzu, tak że wylądował na plecach, a z jego płuc wydobył się świst powietrza. Tym samym ruchem przekręcił się na kolana, tak że znalazł się zwrócony plecami do Warda, i natychmiast próbował jednocześnie podnieść się i obrócić, z nożem w dłoni. lecz w połowie ruchu do góry kolana pod nim się ugięły i upadł ponownie, tym razem na twarz, głową do Warda. Jego nóż znów się uniósł, więc Ward szybko się cofnął, a nóż uderzył w ślad jego mokasyna, wbijając się po rękojeść w skaliste podłoże. Ostrożnie, niemal jakby wybierał sobie miejsce, twarz Tany zanurzyła się w pyle, i wypłynęła spod niej kałuża jasnoczerwonej krwi.

Ward schował broń do kabury i przykucnął na piętach, oglądając Apacza. Podjął próbę dostarczenia wiadomości i prawie wygrał, co było sposobem, w jaki każdy wojownik chciałby umrzeć. Gdyby mu się udało i

dotarłby do Diablito, banda rozproszyłaby się w ciągu nocy, a Loring wróciłby do Gamble z nienaruszonym zapasem amunicji.

Pozostawał jednak problem ciała Tany. Zwiadowcy Diablito, nawet jeśli nie podążaliby jego tropem, zostaliby do jutra zwabieni przez myszołowy. Jeśli potrzebne było im jakieś ostrzeżenie, to by wystarczyło.

Ward wstał i zszedł ze szlaku, nie zawracając sobie głowy zacieraniem śladów. Żołnierze, którzy będą musieli zabrać ciało dziś wieczorem, zostawią ślady, które rano będą musiały zostać zatarte razem z jego własnymi.

Znalazł swojego konia, wsiadł na niego i zawrócił do obozu. Przez głowę przemknęła mu myśl, że ktoś mógł usłyszeć jego strzał, ale uznał, że odległość jest za duża. Powitalne cienie wieczoru rozciągały się czarno na wschód od wzgórz, a obóz już się budził, gdy wjechał do środka i przywiązał konia wewnątrz linii wart.

Zbliżając się do skały, pod którą pozostawił śpiącego Loringa, zobaczył Linusa, Storrowa i Loringa pogrążonych w poważnej dyskusji. Kiedy podjechał bliżej, ich rozmowy ucichły, a po wyrazie ich twarzy można było poznać, że są podenerwowani.

— Rozstrzygnij nasz spór, Ward — zawołał Linus. Usta miał zaciśnięte w prostą kreskę od tłumionej złości, a w jego niebieskich oczach błyszczał gniew.

— Nie ma żadnego sporu, Linusie — oznajmił spokojnie Loring. Podał Wardowi kartkę z notatnika Storrowa, mówiąc: — To ostatnia wiadomość Wolvertona w tym dniu.

Ward wziął ją i przeczytał: „Banda nadal kieruje się w stronę Cardinal Springs. Naciskałem na nich mocno, ale nie mogę nawiązać kontaktu bojowego. Wolverton.”

— Co o tym sądzisz? — dopytywał się Linus.

— Ucieka, ze wszystkich sił — powiedział Ward.

Storrow spytał:

— Czy ominie nas, kiedy nas odkryje?

— Jeśli nie walczył z Wolvertonem, to nie będzie walczył z nami.

Linus popatrzył na Loringa ze złośliwym triumfem w oczach.

— Oto rada człowieka, któremu pan za to płaci, panie kapitanie.

— Nie słyszałem żadnej rady — oznajmił spokojnie Loring, a w jego głosie pojawiła się nutka złośliwości, gdy dodał: — Jedyną radą, jaką otrzymałem od Kinsmana, były słowa, że ponieważ Apacze są okrutnymi wojownikami, powinienem ich szanować. — Zrobił grymas obrzydzenia. — Wielcy, zajadli Apacze. Jak można szanować króliki, które nie chcą walczyć?

Ward uśmiechnął się lekko.

— Ależ oni będą walczyć. Chcą tylko, aby stało się to na wybranym przez siebie terenie i z mniejszą liczbą ludzi niż mają oni.

— Jak na przykład z małą karawaną imigrantów — wtrącił Storrow.

— Albo z osamotnionym małym oddziałem — zgodził się Ward.

— Proszę bardzo, panie kapitanie — dodał szybko Linus, stanowczo, triumfalnie. — To on to powiedział. Ja tego nie mówiłem.

Mroczne spojrzenie Loringa zmierzyło spokojnie Linusa, przelotnie omiatając również Storrowa i Warda.

— Linus ma plan, jak ich zmusić do walki. Storrowowi się on podoba, a ja wstrzymuję się z osądem. Chodzi o to… ale najpierw pytanie. Myślisz, że banda Diablito walczyłaby z małym oddziałem, gdyby stanął jej na drodze?

Ward szybko odpowiedział:

— Tak, w jednej chwili. Prawdopodobnie ma piekielnie duże przeboje ze swoimi młodymi wojownikami. Jedyna walka, jaką stoczyli, miała miejsce podczas dzisiejszej porannej potyczki, a on zebrał ich dzięki obietnicom walki, a nie ucieczki. Gdyby na drodze stanęło im coś, co mogliby łatwo zdobyć, rzuciliby się na to, a on by im na to pozwolił, bo nie byłby w stanie ich powstrzymać.

Loring rozważył to pod bezkompromisowym spojrzeniem Linusa, po czym powiedział:

— Linus zaproponował, abyśmy zwinęli obóz dziś wieczorem pod osłoną ciemności i ruszyli szlakiem w kierunku Diablito. Oddział zatrzyma się na szlaku około północy i wyśle niewielką grupę żołnierzy około pół mili do przodu. Niech rozpalą ognisko, rozbiją obóz i wystawią straże, tak jakby podróżowali cały dzień i rozbili obóz na sucho. Kiedy zwiadowcy Diablito natkną się na nich w nocy i zobaczą liczebność grupy, zameldują o tym, a banda zaatakuje ich o świcie. Kiedy to się stanie, reszta oddziału ruszy do wsparcia grupy i cała banda zostanie wciągnięta do walki.

Przerwał, a spojrzenie Linusa przeniosło się na Warda.

— Czy to zadziała?

— Myślę, że tak — odparł Ward.

Nastąpiła chwila ciszy, w której Linus mądrze utrzymał język za zębami.

— Co proponowałeś zamiast tego? — spytał zaciekawiony Ward.

— Zaczekać tutaj, nie dopuszczając ich do wody. Mając za sobą Wolvertona, a przed sobą nas, będą zmuszeni do walki.

Popatrzył wyzywająco na Warda, który nic nie odpowiedział. Linus i Storrow również zamilkli, a teraz w umyśle Warda pojawiły się słowa Holly'ego o podręcznikowym żołnierzu.

Loring wzruszył ramionami i powiedział spokojnie:

— Jednak do miasta zawsze prowadzi więcej niż jedna droga. Jedyne, czego chcę, to wciągnąć tę bandę do walki. Jeśli twój sposób na to pozwoli, Linusie, spróbujmy. — Popatrzył teraz na Linusa i uśmiechnął się, a Linus, którego temperament nigdy nie pozwalał mu trzymać urazy dłużej niż pięć sekund, odpowiedział mu również uśmiechem.

— Dziękuję za to, panie kapitanie.

Ward odniósł nagle wrażenie, że już kiedyś to widział, a potem przypomniał sobie. Było to w dniu kiedy eskortowali płatnika do Craig, rozmawiał o tym z Hollym. Z siłą ostatecznego przekonania dotarło do niego, że ma oto teraz przed oczyma prawdziwy powód swojej rezerwy wobec Loringa. Ten człowiek nie wierzył w siebie, żadne własne pomysły, nigdy go do końca nie przekonywały. Nie wierzył w swoje siły, na tyle by przerodziło się to zdecydowanie, nie miał twardości umysłu, która u innych

mężczyzn sprawiała, że ich życie stawało się zimnym, upartym zakładem o drzemiącą w nich siłę. *„Ależ on jest pusty w środku”*, pomyślał Ward z łagodnym zdumieniem, a żeby jego twarz nie zdradziła myśli, pochylił się, podniósł leżącą u stóp Loringa manierkę i napił się z niej.

To nie wielkoduszność kazała Loringowi wysłać Linusa na zwiad do Calendar Canyon i to nie uczciwość podpowiadała mu teraz; to było niezdecydowanie, wielkie milczące wołanie o pomoc, której żadna szkoła, żadne wychowanie, żaden zestaw zasad mu nie dały i, jak wiedział Ward, nigdy nie dadzą.

Loring zdjął kapelusz i przetarł zdjętą z szyi chustą potargane czarne włosy.

— No dobrze, Kinsman, wygląda na to, że to ty i Tana musicie wybrać miejsce do walki — powiedział, spoglądając na Warda. — Obaj znacie teren. Uzgodnijcie miejsce i opiszcie je Linusowi. On zajmie się szczegółami.

Ward odłożył manierkę na ziemię, mówiąc:

— Tana już nie wróci.

Loring zaczął już się odwracać, ale na te słowa zatrzymał się i popatrzył na Warda.

— Ciągle ta podejrzliwość? Chciałbyś się założyć?

Linus rzucił Kinsmanowi szybkie, zaskoczone spojrzenie i przez chwilę trzej oficerowie wpatrywali się w niego.

Ward wyjaśnił:

— Jego opowieść w południe, o pyle wzbijanym przez grupę ludzi na południe od nas, brzmiała dobrze. Jedyny problem polegał na tym, że ja też się przyjrzałem okolicy i nie było tam żadnego pyłu. Kiedy więc powiedział o jeszcze jednym sprawdzeniu tego później, zacząłem się nad tym zastanawiać. Gdy wyruszył, by się rozejrzeć, ja udałem się na północ i czekałem przy szlaku. Jechał nim zmierzając prościutko do Diablito.

— I zabiłeś go? — spytał powoli Loring.

Przez pięć długich sekund Loring spoglądał na niego, a potem Ward dostrzegł w jego oczach gniew przechodzący w szok. Loring zwrócił się do Linusa:

— Pan i pan Storrow wybaczycie nam, panie Delaney?

Linus i Storrow popatrzyli na siebie. Linus wstał i bez słowa poszedł razem ze Storrowem w kierunku źródła.

Loring oświadczył bez ogródek:

— Czekałeś na okazję, aby udowodnić mi, że się mylę, prawda, Kinsman?

Ward zastanowił się przez chwilę, po czym odpowiedział:

— Tak, chyba tak.

— Czy pamiętasz powody, dla których spuściłem ci lanie w stodole Hance'a?

— Raczej mało prawdopodobne, bym to zapomniał.

— To było za wtrącanie się w sprawy, które nie były twoją sprawą, a były sprawą armii.

Ward stwierdził nieśmiało:

— A czy ty o czymś nie zapominasz, drogi kapitanie?

— Zapominam?

— Tana był w drodze do Diablito. Zamierzałem go tu sprowadzić, żebyś mógł sam zweryfikować, co ma do powiedzenia. Ale źle oceniłem moment zaskoczenia go i zaatakował mnie, a ja go zabiłem.

Loring wziął głęboki oddech i opuścił nieco głowę.

— Kinsman, w przeszłości już dwukrotnie odkryłem twoje kłamstwa - raz, gdy skłamałeś na temat tego, jak Riordan nazwał Linusa, i drugi raz, gdy okłamałeś pana Tremaine'a na temat powodu, dla którego chciałeś zobaczyć się z Riordanem w szpitalu. Nie cenię więc zbyt wysoko twojego słowa.

— Więc wskakuj na siodło, a pokażę ci, gdzie jest Tana — odparł Ward.

— Co do tego uwierzę ci na słowo. Ale w powody, dla których go zabiłeś, nawet w konieczność, będę nadal wątpił. Ale jeszcze bardziej martwi mnie coś innego — jego głos zrobił się szorstki — twoje przeklęte wtrącanie się w sprawy armii. I mam zamiar z tym skończyć. — Przerwał, aby nadać wagę słowom, które nastąpiły potem: — Doprowadzisz nas dziś wieczorem do naszego stanowiska, a potem nas opuścisz. Twoje usługi ulegną rozwiązaniu.

— Mylisz się — odparł Ward. — One uległy rozwiązaniu już teraz.

Odwrócił się i ruszył w kierunku linii wart. Przeszedł zaledwie pięć kroków, gdy zwolnił, a następnie zatrzymał się. Przez chwilę stał bez ruchu, po czym odwrócił się i popatrzył na Loringa, który stał z rękami na biodrach, obserwując go.

— Dobrze, nich będzie, że służę do północy — powiedział Ward.

Martha Riordan włożyła talerz z owsianymi ciasteczkami do małego koszyka, przykryła go ręcznikiem i wyszła z domu w skwarny wieczór.

Kiedy weszła na plac apelowy, minęła kwatery oficerów, po raz kolejny uderzyło ją, jak dziwna atmosfera zapanowała na posterunku, atmosfera oczekiwania i opuszczenia, jakby wszelka aktywność została zawieszona do czasu powrotu żołnierzy. Cała placówka zatonęła w ogromnej pustce, wyczekując.

Minęła dom Brierly'ego i poszła dalej, skracając drogę za koszarami oddziału G. i kierując się żwirową ścieżką do szpitala. Przed stanowiskiem wartownika zaczęła wyciągać przepustkę z kieszeni, ale siedzący strażnik machnął jej ręką i wrócił do swojej gazety. Lampa u stóp łóżka Toma była zapalona, a on leżał wpatrując się w sufit, odwracając głowę dopiero wtedy, gdy podeszła do niego.

— Tom, upiekłam dziś trochę ciastek. Dostałam też ostatnią owsiankę jaka była u Hance'a. — Wyciągnęła talerz, odkryła go i położyła na łóżku. Riordan wybrał jedno i zjadł kawałek.

— Smakują? — spytała Martha.

— Jem je przecież — warknął Riordan.

Martha przysunęła krzesło do krawędzi łóżka i usiadła, mówiąc:

— Dziwne wrażenie opanowało cały posterunek, Tom, czuje się prawie jakby został opuszczony. Przechodząc przez plac apelowy, zobaczyłam czerwone mrówki, które zaczęły budować na nim swój kopiec. W innym…

— Bądź cicho — warknął Riordan. — Przysuń krzesło bliżej i posłuchaj.

Martha posłusznie przestawiła krzesło do przodu, a Riordan popatrzył na niezwracającego na nich uwagi strażnika.

Riordan powiedział przyciszonym głosem:

— Znasz Jima Hartforda, który zeszłej wiosny pakował tutaj zapasy? — Na zdziwione skinienie głową Marthy odpowiedział: — Posłuchaj, przyjechał z taborem kwatermistrzowskim i jest u Hance'a. Chcę, żebyś się z nim skontaktowała i przypomniała mu o pieniądzach, które jest mi winien. Powiedz mu, że wyrówna rachunki, jeśli mi teraz pomoże. Chcę, żeby na jutro zdobył dobrego konia, dużą manierkę i trochę żarcia. Ty dasz mu worek moich ubrań. Jutro wieczorem, po zmroku, ma przywiązać konia z całym tym ekwipunkiem w worku, na dole przy stojakach na karabiny i zostawić. To wszystko.

Martha poczuła zimne dotknięcie niepokoju.

— Tom, co ty planujesz?

— Zamierzam się stąd wyrwać — oznajmił ponuro Riordan.

Tuzin alarmujących dzwonków protestów odezwał się w Marcie, ale wybrała tylko jeden.

— Ale twoja noga, Tom! Nie dasz rady.

— — To tylko zadrapanie — zadrwił Riordan. — Utykałem tylko i stękałem jak kopnięty pies, bo tu jest lepiej niż na odwachu. Przysuń się bliżej.

Martha niepewnie obejrzała się przez ramię na strażnika, ale ten wciąż czytał swoją gazetę. Oparła krzesło o łóżko.

— Nie rozumiesz — powiedział Riordan cicho, zaciekle. — Muszę się stąd wydostać, zanim zostanę osądzony. Nadszedł czas na ucieczkę. Posterunek jest słabo obsadzony. Przysłuchiwałem się rozmowom wartowników i bez trudu dałbym radę przerzucić przez linię posterunków nawet wóz z zaprzęgiem.

— Ale dokąd chcesz uciec?

— Najpierw do Silver City. Na posterunku nie mają tropiciela ani ludzi, którzy mogliby w tej chwili za mną wyruszyć. Zanim to zrobią, mój ślad będzie już stary. Poczekam tam na ciebie, może znajdę pracę w kopalniach, a potem wyjedziemy do Kalifornii.

— Będziesz dezerterem — zauważyła Martha.

— Tak jak jedna trzecia ludzi na Zachodzie — zadrwił Riordan. — Chcesz, żebym tu został i został skazany? Będę starym człowiekiem, kiedy wyjdę na wolność.

Martha spuściła wzrok na swoje złożone dłonie, a w jej głowie zapanowało szalone zamieszanie.

— Brierly żyje, co nie? Zraniłem go, ale nie gorzej niż niejeden człowiek zranił mnie. — Zawahał się, obserwując ją, a potem oznajmił uroczyście: — Nie pójdę za to do więzienia, Martho. Prędzej umrę… i ty też, prawda?

— Nie wiem, Tom.

— To nie może się nie udać — oświadczył Riordan ze zdecydowanym przekonaniem. — Doktora Hortona już nie ma, ale wieczorami szpitalny sanitariusz zmienia mi opatrunek. Kiedy sobie pójdzie, zawołam strażnika,

by podał mi coś z mojego ekwipunku z sąsiedniego łóżka. Gdy tylko odwróci się plecami, będę go miał. — Jego duża dłoń zacisnęła się nieświadomie. — Przebiorę się w jego ubranie, przejdę przez linię wart, zabiorę konia i odjadę jako wolny człowiek. Czy jutro z samego rana spotkasz się z Jimem Hartfordem?

— Och, Tom, nie wiem — odparła żałośnie Martha. — To tylko proszenie się o większe kłopoty, jakby już było ich za mało.

— Żadne kłopoty nie będą większe od tych, w które wpadłem — zauważył ponuro Riordan. A potem, ponieważ to zadziałało już wcześniej i był pewien, że zadziała ponownie, dodał: — Jesteś moją żoną czy nie? Czy kobieta ma być przy mężu tylko tak długo, jak długo ma on szczęście? Czy tak mówi kościół, czy coś innego?

— Och, Tom, wiesz, że będę się ciebie trzymać!

— Więc wydostań mnie stąd! — warknął gniewnie Riordan. — Kiedy tylko wyrwiemy się z tego przeklętego wojska i znajdziemy się w nowym kraju, zaczniemy wszystko od nowa. Zobaczysz. Wszystko będzie jak wtedy, kiedy zostaliśmy małżeństwem. — Zrobił chwilę przerwy. — No i jak?

— Dobrze, Tom — zgodziła się Martha niemal niesłyszalnie. — Zrobię to.

Ponieważ słowa męża wyparły z jej umysłu wszystko inne, i musiała pomyśleć, Martha wstała i powiedziała dobranoc. Riordan, patrząc jak odchodzi, uśmiechnął się lekko i wepchnął sobie ciastko do ust.

Na zewnątrz Martha powoli wróciła na plac apelowy. Wczesny wieczór był jeszcze gorący, ale przez chwilę targały nią niekontrolowane dreszcze. Wiedziała, że była głupia obiecując Tomowi pomoc w ucieczce, *„Ale kiedy ja nie byłam?*", pomyślała z goryczą. Była głupia, że go pokochała, i była głupia, że z nim została, teraz, gdy już go nie kochała. Prawdopodobnie była głupia, wierząc, że kiedy Tom ucieknie i znajdą się w Kalifornii, życie będzie inne i lepsze, ale wierzyła. To było wszystko, co jej pozostało.

Zeszła z placu apelowego w mroczny zaułek ulicy, przy której znajdował się ich dom i weszła do środka. Stojąc teraz na środku ciemnego pokoju, wiedząc, że nie jest w stanie zmienić biegu wydarzeń, rozmyślała na temat prawdopodobieństwa sukcesu ucieczki Toma. Jeśli uda mu się uciec, ryzyko, że zostanie odnaleziony, będzie niewielkie. I prawdą było, że dezercja była powszechna, tak powszechna, że wielu młodych mężczyzn ze Wschodu, zbyt biednych, by opłacić drogę na Zachód, zaciągało się do wojska, z myślą o późniejszej dezercji. *„Ale jego przysięga wojskowa była przecież równie święta, jak przysięga małżeńska*", pomyślała. Nagle zdała sobie sprawę, że to wszystko było złem, że była to nieodłączna część jej nędznego, nikczemnego życia z Tomem i że nie miała ani siły, ani woli, by to zmienić.

W ciemności przycisnęła dłonie do policzków, aż poczuła ból i wyszeptała:

— Och, Linusie, Linusie, pomóż mi.

Jakieś trzy godziny po zapadnięciu zmroku Ward w końcu ściągnął wodze konia i zaczekał, aż Loring go dogoni i zatrzyma kolumnę. Znajdowali się w kanionie o stromych ścianach, które napotykali coraz częściej, odkąd opuścili płaskowyż na północ od Cardinal Springs. Stukot podkutych kopyt na dnie kanionu rozbrzmiewał w nocy niezrozumiałym hałasem, tak że Loring, kiedy znalazł się za nim i zatrzymał kolumnę, musiał krzyczeć głośno aby go przekrzyczeć, tak by jego rozkazy mogły dotrzeć do uszu żołnierzy.

Kiedy Storrow i Linus, jadący za nim, zatrzymali swoje wierzchowce, Loring zaprotestował.

— Dobry Boże, Kinsman, to kompletny niewypał. Ledwie widać niebo. Jak mamy schować tu oddział kawalerii?

— Zsiądźcie z koni i odeślijcie je do tyłu. Potraficie walczycie pieszo, prawda?

— Oczywiście, ale jak się stąd wydostaniemy? — spytał niepewnie Loring.

— Nie widać tego, ale znajdujemy się koło przejścia w poprzek kanionu. Tutaj znajdują się jedyne szlaki prowadzące na oba jego brzegi. Chyba że pojedzie się dalej, prawie pół mili, do miejsca, gdzie kanion się rozszerza i gdzie rozbijemy obóz.

Loring nic nie odpowiedział; Ward wiedział, że rozważa ryzyko trzymania koni pół mili z tyłu, w wąskim kanionie, i pomyślał: *„Próbuje sobie przypomnieć, co na ten temat zostało napisane w podręczniku."*

Loring powiedział w końcu:

— Zawsze rozumiałem, że twoi wspaniali Apacze najpierw idą zdobyć konie.

— Przyjdą po moje — wyjaśnił cierpliwie Linus. — Nie będą wiedzieli, że dalej są pańskie konie, panie kapitanie.

Loring oznajmił sztywno:

— Zastanawiam się nad wszystkimi czynnikami, panie Delaney. Sprawy mogą nie potoczyć się tak dobrze, jak mamy nadzieję.

— Pańscy ludzie będą walczyć na krawędzi kanionu, na poziomie okolicznego terenu, kapitanie — odparł Ward. — W razie kłopotów będą mogli wycofać się wzdłuż krawędzi kanionu do koni, trzymając Apaczów z dala od siebie.

— Zaplanowałeś dla nas również taktykę, zanim nas zostawisz, Kinsman? — spytał z gwałtownym sarkazmem Loring.

Ward nie odpowiedział na te słowa, po czym usłyszał, jak Loring obraca się w siodle i, wciąż szorstkim głosem, mówi:

— Panie Storrow, niech pan przekaże sierżantowi Isaacsowi i jego plutonowi, żeby podjechali do przodu. Zostanie pan tutaj do mojego powrotu. — Do Warda zaś powiedział: — Zobaczmy resztę.

Rozkazy zostały przekazane, i sierżant Isaacs oraz jego pluton wkrótce pojawili się koło nich. Ward popędził konia i pojechali dalej kanionem. Po dwustu metrach jego ściany zaczęły opadać i wkrótce podłoże znów stanowiła kamienista ziemia.

Ward jechał jeszcze kilka minut, po czym zatrzymał się. Usłyszał skrzypienie siodła Loringa, który odwrócił się, aby się rozejrzeć.

Po chwili głos Loringa, sztywny i nieugięty, oznajmił:

— Nie jestem w stanie ocenić okolicznego terenu, Kinsman. Jak to wygląda?

— Znajdujemy się mniej więcej pośrodku misy o łagodnie pochyłych bokach. Wokół rozrzucone są duże skały, wystarczające do osłony, ale zbyt duże do walki na koniu. W miejscu, w którym stoimy, teren jest dosyć otwarty. Z każdej strony od zboczy dzieli nas odległość dalekiego strzału z karabinu.

— Tak daleko będą musieli do nas schodzić?

— I tak to zrobią. Twoi żołnierze mogą ruszyć za nimi wzdłuż krawędzi.

— Bardzo dobrze. Czy to miejsce się nadaje, panie Delaney?

— Jeśli Ward tak mówi — odparł Linus.

— W porządku, panie Delaney, proszę kazać swoim ludziom aby zsiedli z koni i rozbili obóz. Kinsman, to wszystko, czego od ciebie potrzebowaliśmy. Twoja płaca będzie na ciebie czekać, kiedy dotrzesz do Gamble.

Linus zatrzymał konia obok Warda i, tak aby Loring mógł go usłyszeć, powiedział:

— Przykro mi, że tak się stało, Ward.

Loring odwrócił się i wydał rozkaz sierżantowi Isaacsowi i jego plutonowi, żeby zsiedli z koni.

Ward powiedział:

— Trzymaj głowę nisko nad ziemią, Linus.

— Wysoko czy nisko, co za różnica — odparł cicho Linus z dziwnym cieniem braku zainteresowania, po czym zniżył głos. — Nie mam nic do przekazania Marthcie; w każdym razie nie powinienem mieć. Ale jeśli skończy się to tak, że Oddział G straci pewnego nieśmiałego irlandzkiego porucznika, powiesz jej, że o niej mówiłem? Powiedz jej… — głos mu urwał się na chwilę. — Powiedz jej, że świat jest paskudny. Ale ona przecież o tym wie. Do zobaczenia.

Zawrócił konia i podjechał do swoich ludzi, a Ward ruszył w kierunku zachodniego wzgórza i wspiął się na nie. Na szczycie zatrzymał wierzchowca i odwrócił się, żeby popatrzeć za siebie. W dole płonął już niewielki ogień, żołnierze kręcili się wokół niego tam i z powrotem, rozbijając obóz.

Skierował konia na zachód i jechał spokojnie, luźno siedząc w siodle, i zastanawiał się, co przyniesie poranek. Wydawało się, że niewiele mogło pójść źle, ponieważ Linus będzie sprawnie walczył ze swoim oddziałem, a przy wsparciu Loringa i Storrowa powinni wygrać swoją walkę. Prawdopodobnie nie będzie to ostatnia bitwa; Diablito, wiedząc, że nadciąga Wolverton, cofnie się do swoich koni i rozproszy grupę. Mary Carlyle nigdy nie zostanie odnaleziona, a banda ponownie odtworzy się w Meksyku.

Jego koń, przecinając pole łupków, szedł ostrożnie po niepewnym podłożu, a gdy już je pokonał, Ward zaczął szperać w pamięci, szukając najbliższego szlaku, z którego mógłby skorzystać. Lecz jednocześnie zdał sobie sprawę z niejasnego poczucia winy, które mu towarzyszyło, i nie

musiał długo szukać jego przyczyn. Poprowadził oddział nocą na obcy teren, a potem go zostawił, to prawda, że na polecenie dowódcy.

To była dziwna okoliczność i niosła ze sobą zagrożenia, nad którymi teraz rozmyślał. Żaden człowiek nie był w stanie do końca przeniknąć umysłu Apaczów; załóżmy, że pojedynczy zwiadowca z bandy, nie mający ochoty do walki, przejedzie obok wydzielonej grupy i odkryje główne siły oddziału? Loringa czekałaby wtedy zupełnie inna walka, a nie znał terenu. Fakt, że sam się prosił o tę ignorancję, wydanym przez siebie samego rozkazem, nie zmieniał stopnia niebezpieczeństwa. Ward ściągnął wodze. Teraz zaczęło w nim narastać uczucie niepokoju, mieszając się z poczuciem winy. Złapał się na tym, że spogląda w stronę wschodu, jakby mógł przebić spojrzeniem ciemności nocy, i pomyślał: *„Zawróć. Wracaj z podkulonym ogonem.*" A za tą myślą szła nieprzyjemna świadomość kilkunastu rzeczy, które powinien był powiedzieć Loringowi lub Linusowi, gdyby nie to, że jego niechęć i duma zwyciężyły nad zwykłą ostrożnością.

Skierował konia w dół wyłaniającego się przed nim zbocza, a gdy dotarł na dno tego płytkiego kanionu, już prawie podjął decyzję. Skręcając, ruszył dnem kanionu, jechał jeszcze kilka minut, po czym ściągnął wodze i zsiadł z konia. Rozsiodłał, uwiązał konia, a potem zdjął pas z nabojami. Wyciągnął z niego tuzin naboi, które poowijał w fałdach chusty, zanim schował ją do kieszeni. Wyciągnął rewolwer z kabury, otworzył bębenek z ładunkami i wepchnął pistolet za pasek spodni, aż do otwartego bębenka, który go przytrzymywał. Po pociągnięciu długiego łyka z manierki, położył ją obok siodła i bezszelestnie ruszył przez noc, z powrotem w górę zbocza.

Kiedy zobaczył pod sobą z grzbietu wzgórza ognisko oddziału, zatrzymał się tylko na chwilę. Żołnierze rozproszyli się wokół ogniska, śpiąc, a linia wart została ustawiona z dala od wejścia do kanionu. Kiedy obserwował obozowisko, między nim a ogniskiem przeszedł wartownik.

Ward zszedł ze wzgórza w dół zbocza, kierując się na szlak nad obozem. Wiedział, że zwiadowcy Apaczów będą się poruszać grzbietami wzgórz, ale gdy tylko dotrą do oddziału, podejdą bliżej, aby policzyć żołnierzy. Zajmując pozycję w kompletnej ciemności za skałą, położył się i zaczął czekać.

Mogła minąć godzina takiego oczekiwania i z trudem już powstrzymywał senność, gdy gdzieś za jego plecami, z cichym stuknięciem potoczył się o kilka stóp kamyk. Zastygł w bezruchu, wstrzymując oddech, i wkrótce w jego polu widzenia, między nim a dogasającym ogniem, pojawiła się sylwetka Apacza. Indianin skrył się za skałą o wysokości człowieka, i niebawem Ward dostrzegł jego wyprostowaną postać, okrążającą głaz, by śmiało obrzucić obóz spojrzeniem. Sylwetka zniknęła, a gdy wypatrywał, czy pojawi się bliżej ognia, usłyszał gdzieś z oddali ciche nawoływanie kojota. *„Za daleko, by mógł to być któryś z nich*", pomyślał Ward. *„Teraz nie zaryzykowaliby sygnałów głosowych*."

Nie zobaczył już więcej indiańskiego zwiadowcy, ale poczekał jeszcze pół godziny, po czym cicho zszedł w dół w stronę szlaku. Nie przekroczył go, lecz ruszył równolegle do niego między skałami rozsianymi po

łagodnym zboczu, kierując się na północ. Uznał, że teraz, kiedy zauważyli już swoją zdobycz, Apacze wybiorą łatwiejszą drogę poruszania się.

Minęło kolejne długie pół godziny, a on szedł powoli, często i na długo zatrzymując się. W pewnej chwili, podczas jednego z takich postojów, usłyszał na szlaku w dole, ledwie słyszalne posapywanie biegnącego człowieka, również kierującego się z powrotem do bandy.

Dopiero w miejscu, gdzie dolina rozszerzała się, tworząc szeroki kanion odgałęziający się na zachód, usłyszał niski pomruk głosów. Nie podszedł bliżej, lecz padł na ziemię, nasłuchując, próbując odczytać znaczenie tego zebrania. W tej chwili usłyszał, że głosy umilkły, a następnie dźwięk człowieka ponownie biegnącego kanionem, który odchodził w bok. Biorąc to pod uwagę i dodając do tego słaby zapach kurzu wciąż unoszący się w nocnym powietrzu, zdał sobie sprawę, że już minął główny oddział, który został skierowany w górę kanionu. *„Czy rozbili obóz, czy przeskoczą kilka grzbietów wzgórz i będą trzymali się południa?*" Strażnik na rozgałęzieniu stał tam, aby pokierować zwiadowcami, którzy nieuchronnie musieli mieć pod obserwacją Wolvertona, osądził.

Odsunął się jeszcze bardziej od rozgałęzienia i popatrzył wzdłuż zachodniego kanionu, rozważając swoją ocenę sytuacji w konfrontacji z tym, co wiedział o zwyczajach bojowych Apaczów. Jeśli zamierzali zaatakować, najpierw przenieśliby swoje kobiety do bezpiecznego obozu. Zostawiliby tam również stado koni, ponieważ gdyby ruszyli do ataku, musieliby walczyć pieszo. Pytanie brzmiało, czy Wolverton nacisnął ich tak bardzo, że bezpieczniej czuliby się, kontynuując marsz? Wydawało się to mało prawdopodobne, ponieważ żołnierze Wolvertona i ich wierzchowce, dźwigające cały sprzęt, jaki armia uważała za niezbędny, mieli za sobą dwa wyczerpujące dni walki oraz jazdy, i będą potrzebowali odpoczynku.

Cicho, Ward wycofał się i skręcił w odchodzący kanion. Trzymał się tuż poniżej linii grzbietu wzgórza i szedł ostrożnie. Wiedział, że Apacze, mając tuż przed sobą perspektywę walki, zostaną nieco wyrwani ze swej defensywnej czujności, przez podniecenie, lecz mimo to wolał nie ryzykować.

Na szlaku poniżej słychać było odgłosy cichego i potajemnego zbliżania się i oddalania, a on nie potrafił odczytać ich znaczenia. Kanion w pewnej chwili skręcił łokciem na północ, jego dno nagle się zaczęło wznosić, by zmienić się w końcu na skalną ławę bezpośrednio pod linią grzbietu wzgórza. Kiedy zobaczył pierwszy jasny ognik ogniska w mroku, wiedział już, że banda uznała iż jest wystarczająco daleko przed Wolvertonem i może bezpiecznie się zatrzymać.

Teraz ruszył prosto na zachód, przecinając wzgórze nad kanionem, rozciągającą się za nim dolinę oraz wspinając się na grzbiet za nim, a następnie schodząc w dół do stromego kanionu. Trzymając się go przez pół mili, wkrótce dokończył swoje na wpół zatoczone koło, i teraz jego kroki stały się bardzo ostrożne. Dwa razy zatrzymywał się i czekał, aż słaby powiew kapryśnego nożnego wiatru ucichnie, aby jego zapach nie zaalarmował indiańskich koni. W pewnej chwili zrewidował swoją ocenę i ruszył dalej na północ wzdłuż zbocza, aż w końcu dotarły do niego słabe odgłosy obozowiska. Tuż pod grzbietem odczekał dłuższą chwilę, a potem

ruszył dalej, ku swemu celowi, z każdym zmysłem wyostrzonym, wytężonym i czujnym. Obozowisko pojawiło się pod nim w dole, na południu, i był zadowolony, że może je sobie stąd obejrzeć. Jego pierwszą myślą, widząc je w całości, było, że Holly coś źle porachował. To była mniejsza banda, niż podano w meldunku. Rozpalono cztery lub pięć małych ognisk. Na pierwszy rzut oka obóz wydawał się zupełnie zdezorganizowany, ale wiedział, że to mylące wrażenie; Indianie mogli się zebrać oraz przemieścić, w ciągu kilku minut. Stado koni znajdowało się najbliżej niego w prowizorycznej zagrodzie z lin i krzaków, patrolowali je nastoletni chłopcy. Na ziemi leżały odpoczywające postacie ludzkie, a parę kobiet chodziło od jednego ogniska do drugiego. *„Czy jedną z nich była Mary Carlyle?*", zastanawiał się Ward. Był za daleko, żeby to stwierdzić.

Wojownicy stali lub wylegiwali się wokół dwóch ognisk i następnym zadaniem, jakie postawił sobie Ward, było ich policzenie. Z tej odległości zdołał naliczyć tylko dwudziestu siedmiu lub ośmiu ludzi, a biorąc pod uwagę kolejnych ośmiu, na zwiadach lub obserwujących oddział, stanowiło to około połowę liczby, którą podał Holly.

Ward zastanawiał się nad tym, obserwując życie obozu. Para wojowników opuściła obóz, biegnąc, a wkrótce przybyło trzech innych, ale liczba wojowników nie zmniejszała się ani nie wzrastała zauważalnie. Wielu mężczyzn przeglądało uzbrojenie, sprawdzając karabiny, łuki oraz włócznie. Jeden z wojowników, w podartej koszuli wypuszczonej na przepaskę biodrową, i niosący łuk oraz garść strzał, podszedł do kobiety. Wziął od niej jelito zwierzęce, które dla Apaczów było bukłakiem na wodę, napił się, przejrzał jeszcze raz swoje strzały, znalazł wadliwą i umieścił ją na cięciwie. Ktoś zawołał na niego i wskazał mu cel, a wojownik szybko naciągnął łuk. Wadliwa strzała wystrzeliła prosto, potem zboczyła i zniknęła w ciemności; mężczyźni się roześmiali.

Z ich działań, Ward wiedział, że ta bitwa zostanie sklasyfikowana jako szybki rajd. Nie było czasu na tańce, które zawsze towarzyszyły wojnie. Natknęli się na wroga, którego mogli unicestwić, a zamiast tego robili sobie przerwę na odpoczynek i jedzenie.

Przyglądając się uważnie, Ward pomyślał, że to sam Diablito siedzi przy ogniu, tyłem do jego wzgórza, bo to do niego najczęściej coś mówiono. W pewnej chwili mężczyzna wstał i wrzucił coś do ognia, po czym odwrócił się, aby porozmawiać z jedną z kobiet, i widząc go teraz w pełnej okazałości, Ward był już pewien swego. Apacz był niski, z wielką, szeroką i długą klatką piersiową, przez co jego nogi wydawały się krótkie i krępe. Legginsy miał zsunięte, a dla człowieka niezaznajomionego z jego historią, mógłby się wydać jedynie lekko komiczną postacią, zupełnie bez znaczenia.

Po pewnym czasie Ward, wiedząc, co musi zrobić, powoli wycofał się z grzbietu. Jego zejście było równie ostrożne, jak wejście, aż w wąskim kanionie skręcił truchtem na południe.

Tutaj więc było to, czego szukał Loring, główne siły bandy, z kobietami i być może z Mary Carlyle. Ale fakt, że banda miała tylko połowę wielkości, oszacowanej przez Holly'ego, wprawił go w zakłopotanie. Czy banda, próbując całkowicie uniknąć walki, podzieliła się na dwie części, licząc na

zmylenie pościgu? A może część z nich została w tyle, w nadziei na zastawienie zasadzki na oddział Wolvertona? Nie wiedział.

Kierując się teraz jedynie gwiazdami i swoim zmysłem orientacji, Ward ruszył trzymając się południa, szerokim łukiem ominął cały teren między obozem Apaczów a oddziałem, a gdy uznał, że znalazł się za Indianami, znów skręcił na wschód. Na krawędzi kanionu został natychmiast zauważony i obwołany przez łagodny irlandzki głos.

— Kinsman — opowiedział się Ward i zaczekał, aż żołnierz ostrożnie wyłoni się w mroku. — Zabierzcie mnie do kapitana Loringa, żołnierzu — poprosił.

— Po tej stronie kanionu jest porucznik Storrow, kolego. Loring jest na przeciwległym brzegu tej przeklętej dziury w ziemi. Chodź.

Ward zszedł po stromym zboczu do kanionu i natychmiast został obwołany przez wartownika po drugiej stronie, który przekazał go kolejnemu żołnierzowi. Wspięli się ciasnym, krętym rowem, wyżłobionym w skale przez spływającą z krawędzi kanionu wodę. Na górze żołnierz skręcił w lewo, ostrożnie przeciskając się między odpoczywającymi wśród skał kolegami, aż wreszcie wyprężył się i zameldował:

— Pan Kinsman chce się z panem zobaczyć, panie kapitanie.

— Kinsman? — W głosie leżącego na ziemi Loringa słychać było zaskoczenie. — Gdzie?

— Tutaj, panie kapitanie.

— Bardzo dobrze. — Żołnierz zniknął, a Ward usłyszał szmer podnoszącego się Loringa i zobaczył wyrastającą przed nim jego sylwetkę. — Myślałem, że kazałem ci odjechać — oznajmił prosto z mostu Loring.

— Znalazłem twój obóz Indian, kapitanie — odparł Ward.

Opowiedział Loringowi o swoim odkryciu. Składając swoją relację zauważył milczenie Loringa i skąpość zadawanych przez niego pytań. Starał się więc przekazać wszystko, o czym Loring powinien się dowiedzieć, lecz zastanawiał się, *„Czy ten człowiek nie jest zbyt dumny, aby przyjąć informacje, których potrzebuje?*"

Kiedy Ward skończył, Loring spytał:

— Mówisz, że nie widziałeś Mary Carlyle?

— Byłem za daleko, żeby ją rozpoznać, nawet gdybym ją zobaczył.

— To szkoda — stwierdził Loring z rozczarowaniem w głosie.

— Może jej nie ma z nimi. Nie ma tam całej bandy.

— Czyje oszacowanie bierzesz pod uwagę? — spytał niecierpliwie, ostro Loring. — Holly'ego? Czy możliwe jest, aby widział na wierzchołku ich wszystkich? Czy zatrzymali się, żeby mógł ich policzyć? — Loring prychnął cicho. — Znam raporty Holly'ego, nie są one trafne nawet w połowie przypadków. Jak miałby oszacować ich liczebność w obozie?

— Na podstawie wielkości obozu i liczby szałasów.

— Dokładnie. Zgadywanie. Gdybyś ty sam nie był pewien liczby nieprzyjaciół, co byś zrobił, Kinsman? W swoim raporcie dla armii niedoszacowałbyś czy przeszacował ich liczebność? — Suchy głos Loringa brzmiał agresywnie.

— Przeszacowałbym.

— Żeby grać bezpiecznie, tak, jak to zrobił Holly. Nie, tam jest cała banda, na czele z Diablito, a Mary Carlyle musi być razem z nimi. Nic innego nie ma sensu. Może została jakaś garstka ludzi obserwujących Wolvertona, być może planujących go opóźniać, ale banda, której szukamy, jest tam. Powinniśmy… — Przerwał, a potem powiedział ostro: — Sierżancie Mack!

— Tak jest, panie kapitanie. — Głos dobiegł gdzieś z prawej strony Warda.

— Ktoś pali. Znajdźcie go i zapiszcie jego nazwisko.

Loring wrócił do tematu, a teraz w jego głosie słychać było wyraźną radość.

— W porządku, Kinsman, co sądzisz? Że…

— Że tam nie ma całej bandy — wtrącił Ward łagodnie, ale z uporem.

Zapadła długa, ciągnąca się chwila ciszy, aż w końcu Loring oznajmił ze zgorzkniałą cierpliwością:

— Próbowałem sugerować na wszelkie możliwe sposoby, poza aresztowaniem cię, Kinsman, że nie interesują mnie twoje domysły, przeczucia, podejrzenia ani owoce twojej intuicji. Zostałeś zatrudniony, żeby nas prowadzić. Zostałeś zwolniony, bo robiłeś więcej niż powinieneś. Jeśli nie chcesz wrócić do służby, godząc się na ten warunek, odejdź teraz.

— I mam pozwolić ci samemu odnaleźć obóz? — spytał sucho Ward.

— I tu masz mnie w niekorzystnej sytuacji — przyznał Loring. — Jaka jest cena za to, że poprowadzisz Storrowa i jego oddział do obozu Indian - że będę musiał wysłuchać więcej twoich opinii?

— Tak.

— W porządku. Słucham twoich opinii — stwierdził sarkastycznie Loring.

Ward powiedział spokojnie

— Wierzę w słowa Holly'ego, że banda była dwa razy większa od tej, którą widziałem. To znaczy, że się rozdzielili – i to po zachodzie słońca, w przeciwnym razie Wolverton dałby ci znać.

— Bardzo przewidująco z ich strony — zauważył sucho Loring.

— Dlaczego się rozdzielili, nie wiem — ciągnął z uporem Ward. — Może po to, żeby podzielić oddział Wolvertona, żeby mieli tylko połowę przeciwko sobie, może żeby opóźnić Wolvertona, a może po prostu uciekają. — Przerwał na chwilę, a kiedy Loring nic nie powiedział, Ward z uporem mówił dalej, sprzeciwiając się tej ścianie niechęci, która równie dobrze mogłaby być głucha. — Innymi słowy, jest jeszcze jedna banda, mniej więcej tej samej wielkości, co ta, która jest przed nami – blisko czy daleko, nie wiem. Ale po prostu, pamiętaj o tym.

— To wszystko? — cierpliwie spytał Loring.

— Tak.

— Bardzo dobrze. Chciałbym, żebyś poprowadził Storrowa i jego oddział do obozu Apaczów. Zgoda?

— Po to tutaj wróciłem — odparł zmęczony Ward.

Loring zawołał sierżanta Macka, który w milczeniu podszedł do nich, i Loring kazał mu przyprowadzić do siebie porucznika Storrowa. Czekając teraz w ciemności, Ward wiedział, że kiedy Storrow wróci, pierwszym

ruchem Loringa będzie spytanie go o radę pod pretekstem otwartości umysłu. Jego zazdrosne pilnowanie prerogatyw armii zostanie wkrótce bez trudu odrzucone; to był stały schemat działania Loringa, śmiały plan i wewnętrzne wycofanie, niezauważalne przerzucenie ciężaru ryzyka i nieznanych czynników, na kogoś innego, uciszenie wątpliwości we własne siły, przez powracającą falę uprzejmej arogancji oraz gwarantowanego autorytetu.

Ward przysiadł teraz na piętach, zadowolony z milczenia jakie zapanowało między nimi. Czy powinien mówić Storrowowi o swoim przekonaniu, że banda się rozdzieliła, i jej nierozpoznana połowa stanowi możliwe niebezpieczeństwo, którego Loring nie chciał wziąć pod uwagę? *„W końcu się ze mną zgodzi*", pomyślał Ward i wiedział, że zrobił, wszystko co mógł i co powinien.

Loring oznajmił teraz:

— To była uprzejmość z twojej strony, że wróciłeś, Kinsman. Jestem ci wdzięczny.

Ward zmęczoną dłonią otarł usta i wpatrzył się w ciemność, z której dolatywał głos Loringa, i nagle zalała go ogromna fala irytacji.

— Teraz — stwierdził sucho, sarkastycznie, — czuję się naprawdę doceniony, kapitanie.

Rozdział 7

Linus jeszcze nie zdążył tak naprawdę zasnąć, kiedy poczuł dłoń na ramieniu i usłyszał głos sierżanta Isaacsa, który wyszeptał:

— Zbliża się już mniej więcej pora, panie poruczniku.

— Czy wartownicy są już w obozie, sierżancie?

— Tak jest, panie poruczniku.

— Widać coś lub słychać?

Głos sierżanta Isaacsa zabrzmiał miękko i cierpko.

— Nie, panie poruczniku, w tym cały problem. Jest cholernie spokojnie, za spokojnie.

Oddział już się obudził. Na wschodzie widać było najsłabszą szarość przedświtu. Ogień wygasł i tak miało pozostać. Linus przeszedł cicho między żołnierzami, których ostatniej nocy rozstawił w mniejszym kręgu za osłoną głazów. Wiedział, że pierwszy atak będzie ciężki, a Apacze rzucą na nich całe swoje siły. Jeśli uda się ich odeprzeć, szanse oddziału na przetrwanie kolejnych godzin wydawały się całkiem niezłe. Linus spisał już na straty konie uwiązane na linii wart, które powinny paść celem pierwszego ataku. Gdy Diablito uzna, że ma ich w ręku, że zostali otoczeni i pozbawieni wierzchowców, będzie pewny zwycięstwa.

Linus porozmawiał z każdym z ludzi, mówiąc im to samo, aby wstrzymali ogień do czasu, kiedy będą dobrze widzieć swój cel, i by uważali na pierwszy, frontalny atak, który rozpocznie się o świcie, ze znajdujących się przed nimi skał; następnie cofnął się na swoją pozycję, wymienił rewolwer na karabin, położył rewolwer obok siebie i czekał.

Jeden z uwiązanych na linii wart koni wkrótce parsknął. Można było bezpiecznie założyć, że wierzchowce zostały już po cichu spuszczone z uwięzi, aby przy pierwszym strzale przepłoszyć je i odegnać od obozu. Linus poczuł napływ gniewu i powstrzymał go; to była część ich działania jako przynęty, udawanie głupich i śpiących.

Świt nadchodził z bolesną powolnością, a gdy pierwsze światło zdawało się wylewać spoza horyzontu, w obozie zapanowała kompletna cisza. Linus usłyszał za sobą jakiś szmer i odwrócił się, by zobaczyć czołgającego się w jego stronę kawalerzysty, o nazwisku Isbel.

Kiedy był już blisko, Isbel zameldował:

— Panie poruczniku, jeden jest na widoku. Czy już można?

— Zastrzelić go — rzucił niecierpliwie Linus.

Isbel odwrócił się i zaczął się odczołgiwać. Ciszę przerwał brzęk cięciwy łuku. Stukot strzały trafiającej w ciało Isbela rozległ się w tej samej chwili. Isbel tylko opadł na twarz.

Linus przetoczył się, zobaczył rozmywający się na tle pobliskiej skały kształt i wystrzelił.

Cały poranek eksplodował kakofonią zamieszania. Zza tej samej skały wyskoczył kolejny łucznik, od razu już w pełnym biegu, i następny strzał Linusa powalił go na ziemię.

Spłoszone konie rzuciły się do panicznej ucieczki. Linus przesunął się i zobaczył, że przerażone zwierzęta zmierzają prosto na obóz. Za nimi, tuż za ich ogonami, pędziło trzech Apaczów. Wstrzymał ogień, ponieważ prowadzący koń wpadł do obozu, przedzierając się przez śmiertelny ogień, skręcił, nadepnął na żołnierza, który strzelał leżąc na brzuchu i nie zwracał na niego uwagi, a następnie ruszył w kierunku stoku zachodniego wzgórza.

Linus krzyknął: „Isaacs!" i zobaczył, że sierżant Isaacs się odwraca. Isaacs natychmiast zrozumiał. Kiedy ostatnie konie, biegnąc łeb w łeb, pędziły w popłochu przez obóz, trzej Apacze oderwali się od nich i rozproszyli się. Linus uniósł rewolwer, wystrzelił i chybił. Człowiek, którego nie trafił, rzucił się na najbliższego żołnierza, a jego brązowe ciało, nagie poza przepaską biodrową, wyciągnęło się jak długie, gdy unosił włócznię. Linus wystrzelił ponownie; Apacz przewrócił się, potykając się o nogi żołnierza. Żołnierz podniósł się i walnął kolbą karabinu w nagie plecy Apacza, a potem ponownie w jego głowę, uderzając raz za razem w przypływie wściekłości.

Isaacs uważnie obserwował drugiego Indianina. Przez dwie długie sekundy wiódł za nim karabinem jak za lecącą kaczką, a potem wystrzelił i Apacz upadł.

Trzeci z Apaczów przemknął przez obóz. Rzucił się na jednego z żołnierzy leżącego na brzuchu, zatopił mu nóż w plecach, przeskoczył nad skałami i zniknął.

Cały oddział otworzył już ogień. Linus popatrzył na zbocze i dostrzegł znikającą za skałą postać. Po chwili Apacz wstał i krzyknął, odwrócony plecami do żołnierzy, po czym, gdy para strzelców skierowała w jego stronę karabiny, zniknął.

Przed Linusem nie było teraz żadnego Indianina, którego mógłby zobaczyć. Usłyszał nawoływania Apaczów, które rozległy się wokół kręgu żołnierzy, i wkrótce ostrzał osłabł i w końcu ustał. Pierwszy atak został odparty.

Linus obrzucił wzrokiem obóz i napotkał spojrzenie żołnierza o nazwisku O'Mara, który wyszczerzył do niego w uśmiechu zęby i zawadiacko mrugnął.

Sierżant Isaacs zawołał:

— Ładować broń, chłopcy. Znowu nas zaatakują!

Linus zaczął się czołgać w kierunku ugodzonego nożem kawalerzysty, ale O'Mara, który był bliżej, już do niego podchodził. Chwytając go za włosy, O'Mara uniósł mu głowę, po czym delikatnie ją odłożył. Popatrzył na Linusa i pokręcił przecząco głową.

Linus zauważył, że inny żołnierz wyciągał naboje z bandoliera Apacza zabitego przez Isaacsa, i gdy go obserwował, usłyszał pojedynczy strzał kaprala Samsona, stojącego w najdalszym punkcie od niego.

Samson zawołał:

— On nie był martwy — i przetoczył się, po czym rzucił przez ramię do Isaacsa: — Teraz już jest.

Potem ponownie zapadła cisza. Dwóch martwych, pomyślał Linus i zastanawiał się, gdzie są Loring i Storrow.

Nagły trzask karabinu był sygnałem rozpoczęcia nowego ataku. Ostrzał robił się coraz silniejszy i był niemal ciągły ze wszystkich stron; żołnierze wtulili się w skały, co jakiś czas zerkając spoza nich. Linus przez chwilę dziwił się temu, bo ogień Indian był celny i stały, lecz kiedy sam wyjrzał, zobaczył szybko poruszającego się Apacza, który przeskakiwał ze skały na skałę i zbliżał się do obozu. Strzelcy Apaczów starali się przydusić wrogów, podczas gdy większość grupy zajęła bliższe pozycje. Kiedy tylko to zrozumiał, Linus zawołał:

— Znowu się podkradają, sierżancie.

Wtedy jego uwagę przyciągnął jakiś ruch na wschodnim zboczu. W coraz silniejszym blasku dnia, oślepiony, był w stanie dostrzec tylko leżący koło siebie rewolwer. Złapał za niego, tak szybko jak tylko mógł, kiedy usłyszał potężny huk salwy z karabinów, i uniósł wzrok. Znajdujące się przed nim zbocze, poniżej wierzchołka wciąż zatopione w półmroku poranka, rozbłysło poszarpaną linią matowo-pomarańczowych ogników ognia karabinowego żołnierzy Loringa. Obejrzał się za siebie przez ramię i dostrzegł podobny ostrzał prowadzony ze wzgórza na zachodzie.

Linus obserwował co się dziej i zobaczył, jak jakiś Apacz wynurza się ze skał, odwraca w stronę zbocza, a potem coś dziko woła. Inna postać podniosła się i nawet nie oglądając się za siebie, zaczęła biec pochylona, klucząc między skałami, kierując się na północ.

Nadszedł czas, jak uznał Linus i zawołał:

— W porządku, sierżancie. Zająć lewą flankę, uformować linię bojową i połączyć się ze Storrowem. Nie śpieszyć się.

Wyszedł teraz zza skały, celując w zbocze, a jego połowa oddziału podążała za nim, skokami, najpierw szukając osłony, a potem ostrożnie posuwając się w górę doliny. Przed nimi, prawie poza zasięgiem karabinów, Linus dostrzegał od czasu do czasu kluczących i kryjących się, wycofujących się Apaczów.

Wiedział, jaką taktykę obiorą: zostawią z tyłu część ludzi, by wstrzymywać natarcie wroga, a gdy żołnierze podejdą zbyt blisko, wycofają się za obrońców z drugiej linii, którzy konsekwentnie zastosują tę samą taktykę. Kiedy kapral Wells, z oddziału Loringa, pojawił się przed nim, Linus wiedział, że oddziały uległy połączeniu, tworząc solidną linię bojową od brzegu do brzegu doliny, która przeczesze całą dolinę.

Kiedy Ward zobaczył migoczące przez rzadki las płomienie ognisk, jakieś dwieście jardów na południe od nich i niżej, wiedział, że podeszli tak blisko, jak tylko mogli, nie wywołując w obozie alarmu. Odwrócił się i poprosił porucznika Storrowa o zatrzymanie oddziału, który pojedynczym szeregu wspinał się na grzbiet otaczającego dolinę wzgórza. Zatoczyli w nocy szeroki krąg, nadrabiając drogi, ponieważ trzydziestu żołnierzy w

ciężkich butach, choćby nie wiem jak starających się stawiać kroki lekko, nie mogło poruszać się bezszelestnie. Mógł co prawda liczyć na osłabioną czujność Apaczów, częściowo dlatego, że polegali oni na swoich zwiadowcach, którzy mieli ich ostrzegać o ruchach Wolvertona, a częściowo dlatego, że wojownicy byli poza obozem, ale i tak miał już aż za dużo szczęścia.

Storrow podszedł do niego i przyjrzał się sytuacji, a potem zapytał:

— Nie podejdziemy bliżej? Usłyszymy to stąd?

— Coś usłyszycie — odparł sucho Ward.

— A potem ruszymy pełnym biegiem do obozu — obiecał Storrow. — W porządku, powodzenia.

Ward zniknął w mroku, kierując się samotnie w stronę obozu. Ta część planu była jego własnym pomysłem, ponieważ wiedział, że żołnierzom nigdy nie uda się zaskoczyć obozu, który nigdy do końca nie zasypiał. Zaalarmowani Apacze wskoczą na konie i uciekną. Dlatego w pierwszej kolejności należało zająć się ich końmi i do nich właśnie zmierzał.

Szedł ostrożnie, poruszając się szybko i bezszelestnie od skały do drzewa i dalej do kolejnej skały, często zatrzymując się, aby nasłuchiwać co się dzieje. Niewielki powiew przedświtowej bryzy dolatywał do niego od strony obozu, wznosząc się po zboczu. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że w obozie wciąż panowało lekkie poruszenie. Większość pozostałych członków bandy spała lub odpoczywała, ale pół tuzina kobiet kręciło się tu i ówdzie, a jakieś dziecko płakało niespokojnie przyciszonym głosem. Ward znów poczuł przypływ wdzięczności dla Apaczów, za to, że na wojnie nie tolerują żadnych psów.

Trzymając się teraz wierzchołka wzgórza, szedł dalej, od czasu do czasu kładąc się na brzuchu i przeczołgując. Gdy dotarł do prymitywnej zagrody dla koni, przyjrzał się jej uważnie. Na wschodzie pojawiła się już pierwsza, słaba szarość, zwiastująca nadchodzący świt. Było prawdopodobne, że wtedy stado zostanie wyprowadzone pod ścisłą strażą na pastwisko, aby konie mogły zjeść, cokolwiek tam było. Nie miał zbyt wiele czasu.

Przeszedł jeszcze kawałek i ruszył w dół, a kiedy następnym razem się zatrzymał, od razu zdał siebie sprawę, że konie albo go usłyszały, albo wyczuły. Lekkie odgłosy bezcelowego krążenia zwierząt, niecierpliwego szurania kopytami i ogólnego ruchu, natychmiast ucichły. Konie zamarły, czekając na jakiś alarmujący wypadek. Za prymitywnym ogrodzeniem Ward zobaczył ludzką postać, która bezszelestnie podniosła się z ziemi, zaalarmowana nagłą ciszą wśród koni.

W tym momencie z południa dobiegły słabe, ale wyraźne odgłosy trzasków palby karabinów. Niektórzy ze śpiących w obozie unieśli się na łokciach, nasłuchując, lecz strażnik koni nie ruszył się z miejsca i Ward wiedział, że nie może już dłużej czekać.

Nabrał powietrza w płuca i wyrzucił je z siebie w mrożącym krew w żyłach wrzasku górskiego lwa. Rozerwał on poranną ciszę niczym ryk zagłady. Potem strącił ze zbocza na ogrodzenie niewielki głaz. Wydawało się, że stado koni eksplodowało i usłyszał dzikie okrzyki pilnującego zwierząt strażnika. Podniósł się i pobiegł w dół zbocza, słysząc dzikie

kwiczenie i rżenie koni, zmieszane z trzaskami łamanych krzaków wokół zagrody, kiedy mustangi wyrywały się na wolność.

Kotłowanina przy wyłomie w ogrodzeniu spowolniła je na chwilę i Ward popędził przez zagrodę. Kiedy przetaczały się przez wyłom, niczym woda przelewająca się przez tamę, Ward, rzucił się i złapał grzywę jednego z mustangów. Zarośla rozerwały mu koszulę, gdy pony szarpnął się, a Ward wskoczył na jego grzbiet. Leżąc płasko na szyi mustanga, obrzucił wzrokiem ścigające się stado i w słabym świetle zobaczył, że strażnik koni również zdobył wierzchowca. Krzyczał dziko, próbując skierować stado w górę zbocza.

Ward zdzielił szorstko konia w szczękę, a ten skręcił w prawo, wyrywając się ze stada, i po chwili Ward zobaczył Apacza tuż przed sobą. Wyciągnął broń i uderzył gwałtownie w boki konia, zmuszając go do zwiększenia prędkości. Pony zareagował i rzucił się tuż przed mustanga Apacza. Podrywając broń, Ward wystrzelił, i zobaczył, jak Apacz przechyla się przez koński kark i spada pod kopyta swojego konia. Niepowstrzymywane teraz przez nikogo, konie skręciły w dół zbocza i rozproszyły się, a Ward był już pewien, że ich spłoszenie zakończy się sukcesem.

Zeskoczył ze swego mustanga, wyhamował najlepiej, jak potrafił, ale stracił równowagę i upadł ciężko na bok, zaś jego pony pognał dalej, by dołączyć do stada.

Podnosząc się, z bronią w ręku, zawrócił w szarzejącym świetle do obozu. Zobaczył tam potężne zamieszanie. Z prawej strony zbocza usłyszał rozkazy wykrzykiwane gromkim głosem Storrowa.

— Na dół, Mack, na dół! Otoczyć ich!

I wtedy zobaczył, jak pierwsi żołnierze zrywają się ze skał leżących nad zniszczoną zagrodą. Ward, biegnąc, skręcił ku obozowi i widząc kobiety zmierzające w stronę wzgórz, wystrzelił dwa razy. Jedna z kobiet zatrzymała się, niezdecydowana, lecz pozostałe biegły dalej, a on usłyszał tuż za sobą stukot butów. To był Mack i jego ludzie.

Z obozu padło tylko kilka rozproszonych strzałów, które zostały natychmiast odparte przez żołnierzy na wzgórzu. Ward zrównał się teraz z kobietą Apaczów i odepchnął ją w stronę obozu. Panowała tam kompletna panika, której poddali się wszyscy poza jednyn starcem, którego Ward widział wyraźnie we wzmagającym się świetle. Apacz stał nieruchomo, z pogardą patrząc zarówno na krzyczącą kobietę, jak i na swoich pogromców.

Obóz był już otoczony, a idący po jego prawej stronie Mack ryknął starając się przebić przez panujący hałas:

— Mary Carlyle! Czy jest tu Mary Carlyle?

Jego głos zdominował pandemonium, uciszając je, a potem w jasnym świetle zobaczył kobietę, która oderwała się od reszty i pobiegła w jego kierunku. Inna z kobiet chwyciła leżącą na ziemi włócznię i biegnąc za uciekającą, uniosła ją nad głową. Z pierścienia żołnierzy padły trzy pojedyncze strzały, i druga kobieta została powalona na ziemię. Pierwsza zaś pobiegła prosto do sierżanta Macka i rzuciła mu się w ramiona. Mack,

będący wrażliwym człowiekiem, przytrzymał ją mocno, jak dziecko, przyciskając jej głowę do swojej piersi, kiedy szlochała w szalonej uldze.

Ward podszedł do niego, podczas gdy porucznik Storrow, z dwoma żołnierzami po bokach, ruszył przez cichnący obóz, wchodząc do jego środka i przechodząc między zgromadzonymi kobietami i dziećmi, oraz przeciskając się przez ich grupy. Podszedł prosto do Macka, który bez słowa tulił do siebie kobietę.

— Pani Carlyle? — spytał Storrow.

Kiedy pani Carlyle się odwróciła, na twardej twarzy Storrowa pojawił się uśmiech.

— Cieszę się, że panią widzę, proszę pani.

Mary Carlyle, siostra Ann Dunnifon, była ciemnowłosą dziewczyną tak samo jak Ann. Wynędzniała twarz kobiety sprawiała, że jej brązowe oczy wydawały się nienaturalnie duże. Ubrana była w strój Apaczów, ciemne włosy upięła na modłę Apaczów i płakała, nie wstydząc się okazywanego uczucia.

— Porucznik Storrow, proszę pani. Czy wszystko w porządku?

Mary Carlyle nie odpowiedziała; wyciągnęła tylko rękę, aby go dotknąć, jakby chciała się upewnić, że jest prawdziwy.

Storrow uśmiechnął się ponownie i zawołał:

— Kapralu Samson!

Kiedy Samson podbiegł truchtem, Storrow powiedział do pani Carlyle:

— Samson i jego ludzie odprowadzą panią do naszych koni, pani Carlyle. Nie chcemy ryzykować, że znów się pani gdzieś zgubi. Tymczasem mamy tu pewną sprawę do załatwienia.

— Żołnierze u ujścia kanionu zostali zaatakowani — powiedziała niepewnie pani Carlyle, jakby nie była pewna swoich słów.

Ward spytał ją:

— Pani Carlyle, czy to jest cała banda?

Kiedy odwróciła się ku niemu, Ward dostrzegł na jej twarzy zmęczenie, które mówiło mu, że jest na skraju załamania.

— Nie, Sal Juan zabrał swoich ludzi zeszłego wieczoru i kierują się w stronę zapadlisk Rincon.

— Czy są na tyle blisko, by mogli włączyć się do walki?

— Nie wiem. Diablito wysłał do nich gońców.

Spojrzenie Warda spotkało się ze spojrzeniem Storrowa i utrzymywały się przez chwilę razem, po czym Storrow powiedział:

— Pani Carlyle, czy w obozie jest broń?

— Tak.

Storrow spojrzał na Macka.

— Sierżancie, szybko przeszukajcie obóz i zniszczcie wszystko, co mogłoby strzelać. Nie chcemy mieć niczego za plecami. Macie pięć minut, zanim Kinsman poprowadzi nas do Delaneya.

Postęp wzdłuż doliny miał charakter miarowy, choć powolny, a Linus oceniał gotowość Apaczów na podstawie wytrwałości, z jaką każdy człowiek z ich straży tylnej walczył, zanim został wyparty przez żołnierzy.

Na prawo od siebie, w blasku świtu, mógł teraz dostrzec pojedynczych żołnierzy, którzy szybko podbiegali do możliwych miejsc schronienia na skałach, sprawdzając je z kolegami po prawej i lewej stronie, w miarę jak linia powoli posuwała się naprzód. Słyszał głos Loringa, wściekły i pełen emocji, który poganiał opieszałych.

Daleko przed sobą, na szlaku, można było dostrzec niewielkie grupki Apaczów, które spotykały się ze sobą, spoglądały za siebie, czasem pozostawały na miejscu, jakby niezdecydowane, a czasem wracały do walki. Po jego lewej ręce wybuchła gwałtowna palba z karabinów, która ucichła równie nagle, jak się rozpoczęła. Banda nie uznała jeszcze swojej porażki; kiedy to zrobi, wiedział, że nagle cały opor zniknie, po prostu nie będzie kolejnych nieprzyjaciół. Rozpłyną się w powietrzu, zmierzając w stronę swoich koni.

Usłyszał, że ktoś biegnie po jego prawej stronie, i obejrzał się, by zobaczyć kierującego się w jego stronę żołnierza Menziesa, nisko pochylonego, wykorzystującego każdy skrawek osłony.

Menzies zatrzymał się za skałą Linusa i zameldował zdyszany:

— Od kapitana Loringa, panie poruczniku. Mówi, żeby ich wypierać na waszej trasie i nie omijać żadnych stanowisk oporu.

Linus powiedział:

— Dobrze. Dzięki — i wstał.

Rozkaz Loringa był tak kompletnie bezużyteczny, że zastanawiał się, czemu Menzies nie buchnął głośnym śmiechem, kiedy go powtarzał. Linus przemknął się do kolejnego osłoniętego miejsca i zobaczył kawalerzystę O'Marę poruszającego się równolegle z nim.

Nagle O'Mara rzucił się na ziemię i zaczął strzelać do czegoś po swojej lewej stronie. Linus, obserwując jego ruchy, usłyszał huk wystrzału przy wschodnim grzbiecie, ale przez chwilę nie zwracał na to uwagi. Ostrożnie ruszył naprzód, próbując zobaczyć cel O'Mary pośród skał, ale nie mógł go dostrzec, po czym jego spojrzenie powędrowało ku wschodniemu grzbietowi.

Przez chwilę nie mógł uwierzyć własnym oczom. U podnóża wschodniego grzbietu trwała szaleńcza walka wręcz. Widział trzech Apaczów stojących nad czymś, a jeden z nich, z włócznią, raz po raz dźgał nią w coś leżącego na ziemi. Wtedy jego uwagę przykuł ruch wyżej, na wschodnim zboczu, i przyglądając się uważnie, zobaczył całą grupę Apaczów pędzących galopem w dół wschodniego grzbietu na tyły Loringa. Byli już także na równinach w górze, zajmując pozycje na tyłach długiej linii walki.

W jednej chwili Linus poczuł pokusę, by ruszyć ze swoim oddziałem na pomoc Loringowi, ale wiedział, że byłoby to fatalne w skutkach. Loring został oskrzydlony, a tyły całej linii stały otworem, zaś żołnierze o tym nie wiedzieli i nie pilnowali się.

Wrzasnął natychmiast na całe gardło:

— Zachodni grzbiet! Zbiórka na zachodnim grzbiecie!

Zobaczył, że kilku żołnierzy podniosło się i spojrzało w jego stronę, wołał więc dalej gorączkowo, a potem obrócił się, wiedząc, że musi zaalarmować resztę.

Mijając O'Marę, zawołał:

— Formować szyk na zachodnim grzbiecie. Przekaż rozkaz dalej! — Biegł teraz rozpaczliwie, powtarzając w kółko: — Formować szyk na zachodnim grzbiecie! — wiedząc, że to jest wyścig o przetrwanie. Gdzie był Storrow, który dowodził tą flanką? Prawdopodobnie został ranny. Gdyby linia bojowa zdołała zawrócić na czas, mogłaby wrócić na grzbiet. Po swojej prawej stronie widział żołnierzy wycofujących się w kierunku grzbietu. Po lewej i za sobą, widział biegnące brązowe sylwetki z pół tuzina Apaczów, wyjących jak gończe psy pędzące za królikami.

U podnóża grzbietu zatrzymał się i ustawił dwóch pierwszych żołnierzy na pozycjach, po czym ruszył wzdłuż grzbietu, formując linię. Każdego kolejnego człowieka posyłał wyżej na zbocze, aż doliczył się tuzina pod dowództwem jednego z kaprali; teraz, spoglądając na zewnątrz, widział, że pierwsza grupa Apaczów połączyła się z drugą, tworząc pośrodku doliny poszarpaną linię, która zbliżała się do nich.

Wiedział, że Loring został wymanewrowany i przez długą i pełną goryczy chwilę, zastanawiał się, jak to się mogło stać.

Pierwszy atak Apaczów spadł z gwałtowną furią. Oddział Samsona na grzbiecie zalał ich z góry deszczem ognia i obie grupy Indian zdały sobie sprawę z tego, że ich jedyna nadzieja na zwycięstwo leży przedarciu się na bliską odległość. Nadeszli pochyleni ku ziemi, poszarpaną falą, a Linus zobaczył, jak jeden wojownik przedziera się przez skałę i desperacko skacze na następną. Został trafiony w locie i obrócił się tak, że wylądował bezwładnie, ciężko, z hukiem, który Linus poczuł przez ziemię, na której leżał. Wokół rozlegał się huk wystrzałów karabinowych i podekscytowane wrzaski Apaczów.

Po pewnym czasie Linus usłyszał kolejne strzały, podniósł się ze skały i zobaczył Apacza stojącego na otwartej przestrzeni, który wpatrywał się w głąb doliny, gdzieś daleko od nich, wrzeszcząc z tak ogromnym podnieceniem, że jego twarz zmieniła się w wykrzywioną wściekłą maskę. Inny Apacz próbował do niego dołączyć i został powalony przez strzał, który sprawił, że ten pierwszy również się ukrył. Obróciwszy się błyskawicznie, Linus rzucił się w górę zbocza. Wdrapywał się coraz wyżej z taką szybkością, że aż zaparło mu dech w piersiach, po czym odwrócił się i rozejrzał.

Zza skał pośrodku doliny wyłonił się żołnierz w niebieskim mundurze, potem kolejny, i wkrótce Linus dostrzegł długi szereg ciągnący się w poprzek doliny, zmierzający w ich stronę. Loring? *„Niemożliwe, nie zostawiliby nikogo przy życiu*" pomyślał. Czy to był Wolverton? A potem dostrzegł gestykulującą postać Storrowa. Apacze pędzili teraz w stronę wyjścia kanionu, ale miażdżący ogień z grzbietu przyciskał ich do ziemi.

Do Linusa dotarło z opóźnieniem, że powinien ponownie podjąć działania ofensywne, krzyknął „Do ataku!" i z rewolwerem w ręku ruszył w dół zbocza.

Gdy żołnierze wydostali się z podstawy zbocza, zobaczyli, że to koniec. Niektórzy Apacze stali wyprostowani, spoglądając w górę na grzbiet, jakby ogłaszali swoją kapitulację. Kulili się w parach i trójkach przy skałach, zza których walczyli, a ich broń leżała na ziemi obok nich. Powoli, spychając

przed sobą ponurych Apaczów, wydostali się w dolinę i zobaczyli resztę bandy. Szła w ich kierunku, prowadzona przez oddział Storrowa.

Linus pierwszy dostrzegł Warda i ruszył do niego. Storrow podszedł z innej strony.

— Gdzie jest kapitan Loring? — spytał Ward.

Linus wskazał tylko ręką w stronę wschodniego zbocza, kompletnie pozbawiony tchu, nie mogąc wykrztusić nawet słowa, łapiąc tylko ogromne hausty gorącego już powietrza. Ward obrócił się i ruszył w kierunku wschodniego zbocza, a Linus wreszcie zdołał wykrztusić:

— Zaczekaj na mnie.

Sierżant Mack dołączył do nich i Linus poprowadził ich przez skaliste dno doliny, do ostatniej pozycji Loringa. Jako na pierwsze natknęli się na okaleczone ciało żołnierza, a za nim znajdowało się jeszcze trzech. Ich ciała leżały jedno na drugim, jak stos drewien. Dalej znaleźli kolejnego żołnierza, z na wpół odstrzeloną twarzą.

Loring leżał koło skały; jego pierś przypominała poduszkę na igły, z której wystawało pięć strzał. Za nim leżał kolejny żołnierz, z twarzą skierowaną do ziemi, wciśniętą w piasek.

Stojąc nad nimi, Linus poczuł, jak poranne słońce dotyka jego mokrej koszuli, i mimowolnie się wzdrygnął. Zauważył teraz, że z koszuli Loringa zostały powycinane wszystkie insygnia, pamiątki które jakiś Apacz będzie musiał zwrócić, poddając się.

Spojrzał po chwili na Warda, który go obserwował, i powiedział powoli:

— Wszystko szło dobrze, dopóki nie wycofali się za grzbiet wzgórza i nie zaszli go za nim od tyłu.

— Oni nie wycofali się za grzbiet — odparł Ward. — To nowa grupa, Sal Juana, pojawiła się Loringowi za plecami.

— Więc nie został oskrzydlony?

Linus usłyszał, jak stojący obok niego sierżant Mack mówi:

— Panie poruczniku, kapitan Loring...

— W porządku, Mack — przerwał mu cicho Ward.

Sierżant Mack nie dokończył zdania i Linus dostrzegł, jak on i Ward spoglądają na siebie przez dłuższą chwilę, a potem twarda twarz Macka zrobiła się skryta i nieprzenikniona.

— Co chcieliście powiedzieć, sierżancie? — spytał Linus.

— Chciałem powiedzieć, że kapitan Loring świetnie strzelał z rewolweru. Czy to nie dziwne, że wokół niego nie ma martwych Apaczów?

Linus zmierzył Macka wzrokiem i wiedział, że ten kłamie, że nie to chciał powiedzieć, zanim Ward mu przerwał. Wiedział też, że nigdy się nie dowie o co chodziło, a w tej chwili był zbyt zmęczony, by się tym przejmować. Może to dziwne, ale teraz były ważniejsze rzeczy do zrobienia, niż rozmyślanie o zmarłym dowódcy. Linus szybko przeanalizował własne uczucia; było mu przykro z powodu Loringa, ale znacznie bardziej z powodu śmierci żołnierza Ennisa, który leżał za Loringiem. Teraz jednak trzeba było wysłać posłańca do Wolvertona, aby sprowadził doktora Hortona, który musiał zająć się rannymi. „*Teraz liczą się żywi*”, pomyślał Linus, odwracając się.

Oddział I dotarł na miejsce w godzinach przedpołudniowych. Kapitan Wolverton objął dowództwo po śmierci Loringa i podjął szybkie decyzje o natychmiastowym wyruszeniu do Gamble, z Mary Carlyle, ciężko rannymi i ciałami poległych, które nie mogły długo pozostawać niepogrzebane w tym kraju. Oddział G miał poczekać nieco ponad dzień, aby dać wytchnąć lekko rannym, zebrać wierzchowce Apaczów dla schwytanych jeńców i spotkać się z taborem z prowiantem, aby nakarmić Apaczów.

Trzeciego dnia po tych wydarzeniach, oddział G, z Wardem na przedzie, Linusem, Storrowem i Hortonem za jego plecami, pstrokatą bandą pojmanych Apaczów i ciągnącym z tyłu taborem, wkroczył przez wschodnią bramę i zatrzymał się o zmierzchu na placu apelowym. Ward zobaczył żołnierzy z I, którzy czekali na rozpuszczenie G, zanim będą mogli do nich dołączyć.

Kapitan Wolverton zasalutował Linusowi i powiedział:

— Ja się tym zajmę, Linusie. Major chce się widzieć z tobą, Storrowem i Kinsmanem. Złożysz swój raport jemu.

— Jak on się czuje? — spytał Linus, sztywno zsuwając się z siodła.

Wolverton obrzucił wzrokiem Hortona.

— W porządku. Wystarczyło tylko zabrać od niego Hortona. Chcesz go najpierw zobaczyć, Horton?

Doktor Horton pokręcił głową.

— Nie pogłaskałbym nawet psa, zanim się nie umyję. Idź, Linus.

Wolverton rozformował oddział, a Ward, z Linusem i Storrowem po bokach, udał się przez plac apelowy w kierunku domu Brierly'ego. Z ronda kapelusza Linusa zsuwały się strużki kurzu, gdy schylił się, by zapiąć nogawki spodni na butach; zastanawiał się, spoglądając na brudną smugę zarostu na twarzy Storrowa, czy on sam wygląda na równie obdartego i poobijanego, i wiedział, że tak.

Szpitalny sanitariusz wpuścił ich do domu Brierly'ego, a Linus natychmiast go spytał:

— A gdzie jest panna Dunnifon?

— Ona i pani Carlyle zostały przeniesione do kwater pana Storrowa. Kapitan Wolverton powiedział, że pan Storrow będzie dzielił kwaterę z panem.

— Wszystko jedno, żebym tylko miał jakieś łóżko — mruknął Storrow.

Major Brierly spoczywał na wpół siedząc w swoim łóżku, mając zapaloną lampę na nocnym stoliku. Przyjął saluty, przekazał, że jego stan zdrowia jest doskonały, a następnie poprosił ich o relacje. Obserwując go, Ward dostrzegł lekkie podekscytowanie w bladych oczach majora, kiedy Linus opisywał bitwę. Z aprobatą skinął głową na relację Storrowa o zajęciu obozu Apaczów. Miał niewiele pytań, jedno z nich dotyczyło informacji o szczegółach śmierci Loringa.

Po chwili oznajmił.

— To wszystko, panowie. Dziękuję za przybycie. Ward, możesz zostać?

Linus i Storrow zasalutowali i wyszli, a po chwili Brierly machnął ręką w stronę krzesła, mówiąc:

— Zanim usiądziesz, zapal sobie jedno z moich cygar. — Wskazał na zamknięte pudełko na swoim stoliku. — Nigdy nie sądziłem, że będę się z przyjemnością przyglądał, jak ktoś inny pali, skoro ja sam nie mogę, ale okazuje się, że byłem w błędzie.

Ward zapalił cygaro i siadając zmęczony, zapytał:

— Jak się miewa pani Carlyle?

— Lepiej niż się spodziewałem. Ann mówiła mi, że miękkie łóżko było dla niej tak niewygodne, że wczoraj wieczorem przeniosła się na podłogę. — Brierly pokręcił głową ze zdziwieniem. — Kobiety są twarde, kiedy to jest niezbędne.

Po tej uwadze, zaczął zadawać pytania o potyczkę. Poprosił o szczegółowy opis terenu i uważnie go wysłuchał. Jego pytania były dociekliwe i minęło przyjemne pięć minut, kiedy Ward wyczuł, w jakim kierunku one zmierzają, i przestraszył się tego. Brierly przeszedł z pytaniami na przeprowadzony przez Warda zwiad i jego powód, a Ward udzielił mu wymijającej odpowiedzi, nie wspominając o zwolnieniu go przez Loringa. Kiedy o tym wszystkim opowiadał, wyglądało to na rutynową sprawę. Potem Brierly poprosił o opis obozu Apaczów i jego wielkości oraz o to, w jaki sposób Ward doszedł do swojej oceny liczebności Indian, a Ward mu to wyjaśniał.

— A potem zdałeś raport kapitanowi Loringowi?

Ward skinął głową. Brierly był zbyt bystry, aby już teraz wyciągać wnioski, lecz Ward wiedział, jak będzie wyglądała reszta rozmowy.

— Zameldowałeś mu, rzecz jasna, o liczbie wojowników, których naliczyłeś?

Na skinienie głową Warda Brierly popatrzył na niego badawczo.

— Ponieważ twoje wyliczenia nie pokrywały się z wiadomością Wolvertona, czy zastanawiałeś się, gdzie jest reszta bandy?

— Oczywiście.

— Powiedziałeś o tym bezpośrednio Loringowi? Jakimi słowami?

Ward opowiedział mu, nie wspominając o pogardliwym odrzuceniu jego ostrzeżeń przez Loringa.

Brierly wysłuchał go, a następnie, po chwili wahania, oznajmił:

— Jeśli dobrze rozumiem, kapitan Loring wiedział, że banda się podzieliła, został ostrzeżony, że powinien zachować czujność, ze względu na brakującą połowę, i nic z tym nie zrobił. Nie został oskrzydlony przez grupę Diablito, zaskoczyła go banda, którą zignorował. Czy to wszystko?

Ward skinął głową, a Brierly spoglądał na niego przez dłuższą chwilę. Potem westchnął.

— Cóż, ten człowiek nie żyje. Prywatnie uważam to za błogosławieństwo. Publicznie uważam, że nic nie zyskamy, rozgłaszając jego błąd. Czy zgadzasz się z tym?

— Tak.

Brierly lekko przesunął się pod kołdrą; co do niego, było to już załatwione, i Ward wiedział, że Brierly nigdy więcej już o tym nie wspomni, nie będzie czynił żadnych sugestii odnośnie tego, ani nie pozwoli na żadne spekulacje na ten temat wśród swoich oficerów, w swojej obecności.

Brierly powiedział po chwili:

— Wolverton mówił mi, że znalazłeś Diablito z włócznią w plecach.

Ward skinął głową.

— Myślę, że młodzi wojownicy dowiedzieli się, że ich konie zostały spłoszone, a kobiety pojmane, i chcieli się poddać, zamiast walczyć do końca. Myślę, że mieli po uszy jego rad i byli w szale bitewnym, więc go zabili. Nie będą o tym rozmawiać.

Brierly zauważył:

— To dla ciebie oznacza tak jakby koniec czegoś, co? Kiedy go zabraknie, pewnie znowu będziemy mieli w rezerwacie dosyć potulną grupę.

— Tak, kończę z tym — powiedział powoli Ward.

Brierly popatrzył na niego z ciekawością i zapytał bez ogródek:

— Dlaczego?

Ward spojrzał na swoje cygaro, wyciągnął nogi i powoli je skrzyżował.

— Właśnie to powiedziałeś — mruknął. — Teraz, gdy Diablito nie żyje, coś się skończyło. Był jedynym prawdziwym wojownikiem, jaki jeszcze pozostał. Miał rozum i nienawidził nas, i trzeba było włożyć wszystko co mieliśmy, w to, żeby go przechytrzyć i pokonać.

— To prawda — zgodził się Brierly. — O, będą kolejne ucieczki. Piwo kukurydziane uderzy im do głów na jakichś tańcach, i wszyscy nieopierzeni młodzieńcy, którzy uwierzą w kłamstwa swoich ojców, wyrwą się z rezerwatu. Ale to nie będzie już coś takiego, jak ucieczki Diablito. Ich imiona nigdy będą wykorzystywane do straszenia dzieci ani do zmuszania spokojnych ludzi do przekleństw. — Przerwał na chwilę. — Rozumiem, co chciałeś powiedzieć. Co jednak zrobisz?

— Ranczo, przewozy, znajdę sobie kopalnię i będę nad nią pracować.

— I przestaniesz włóczyć się po bezdrożach? — spytał Brierly, a kącik jego ust uniósł się w leciutkim uśmieszku.

— Mam już tego dosyć — odparł spokojnie Ward, po czym też się uśmiechnął, patrząc na Brierly'ego. — Może to była, ta jedna noc za dużo. To jedno suche wzgórze, na które wspinaczka nie była warta zachodu, ten jeden łyk wody za mało, w manierce, może ten jeden kamyk w fasoli za dużo. Nie wiem, ale tak jest.

— Nie masz… — Brierly urwał, gdy usłyszał głos ordynansa przy drzwiach wejściowych. Potem rozległ się ciężki tupot butów po podłodze, a następnie w drzwiach sypialni pojawił się Linus. Nadal był zakurzony, nieumyty i nieogolony.

— Przepraszam pana, panie majorze — powiedział Linus. — Chciałbym z panem porozmawiać.

Ward ruszył się, by wstać z krzesła, ale Linus powiedział:

— Możesz zostać, Ward. Chciałbym, żebyś też to usłyszał.

Na twarzy Brierly'ego pojawiło się lekkie zaskoczenie; powiedział:

— O co chodzi, panie Delaney?

— Panie majorze, czy powiedziano panu o śmierci więźnia, który został zabity podczas próby ucieczki jednej z nocy?

— Oczywiście — odparł Brierly. — Kawalerzysta Riordan, człowiek, który mnie zaatakował.

Ward natychmiast zrobił się czujny, obserwując Linusa.

— Panie majorze — oznajmił prosto Linus, — Kocham panią Riordan już od miesięcy, a ona kocha mnie. Dopóki jej mąż żył, była mu lojalna. Teraz, kiedy nie żyje, chcemy się pobrać.

Brierly otworzył usta, żeby się odezwać; zamknął je i powiedział łagodnie:

— Proszę kontynuować, panie Delaney.

— Zdaję sobie sprawę z tego, o co proszę, panie majorze. Pani Riordan jest wdową po szeregowcu, wiecznie pijanym brutalu, który nie był ani dobrym żołnierzem, ani człowiekiem. Nawet gdybyśmy odczekali odpowiedni czas i wzięli ślub, na posterunku podniosłoby się gadanie, że oficer poślubia wdowę po szeregowcu. Chciałbym… chciałbym zasięgnąć pańskiej rady, panie majorze.

— Co do poślubienia jej? — spytał ostro Brierly.

— Nie, panie majorze, my się pobieramy — oznajmił Linus stanowczo. — Chciałbym zostać w armii, panie majorze. Ale jeśli będę musiał zrezygnować ze stanowiska, żeby ją poślubić, to tak zrobię.

Linus skończył mówić i popatrzył na Brierly'ego z szacunkiem, ale w jego oczach widać było żelazną dumę i determinację, a Ward, widząc to, pomyślał: *„Zrobiłeś to, Linusie. Zapłaciłeś swoją cenę*."

Brierly powiedział:

— To dziwny pomysł. Skąd pan go wziął?

— Co wziąłem, panie majorze?

— Pomysł rezygnacji. — Brierly uśmiechnął się lekko. — Rozumiem, że dla pana i pani Delaney byłoby niezręcznie pozostać tutaj, biorąc pod uwagę okoliczności. Jednakże, to spory regiment, panie Delaney, i jest całkiem nieźle rozproszony. W przyszłym miesiącu idzie pan na urlop, prawda?

— Tak jest, panie majorze.

— Zasugerowałbym, żeby spotkał się pan z panią Riordan tam gdzie ona mieszka - Ohio, zdaje się mi mówiła - i wziął z nią ślub. Następnie napisałbym do pułkownika list, z uprzejmą prośbą o przeniesienie na inne stanowisko, ponieważ klimat w Gamble nie sprzyja zdrowiu pańskiej żony. W świetle raportu, który złożę na temat pańskiego zachowania na polu walki, myślę, że pański list zostanie przychylnie rozpatrzony.

— Bardzo niechętnie zatwierdzę pańską prośbę o przeniesienie, jeśli o mnie chodzi - ale i tak ją zatwierdzę. Pan i pańska małżonka zostaniecie umieszczeni na jakimś bardzo ponurym posterunku, który pewnie będzie znajdował się tysiąc mil stąd, ale nie mam wątpliwości, że wam się spodoba. Czy podejdzie pan do mnie bliżej, panie Delaney?

Linus, na którego twarzy pojawiła się mieszanina szalonej radości i sztywnej samokontroli, podszedł do łóżka Brierly'ego. Brierly podał mu dłoń, a Linus ją uścisnął.

— Gratulacje, panie Delaney. Gdybym nie bał się wywołać piekielnej awantury wśród pań, powiedziałbym panu, że pani Riordan była moją ulubioną pielęgniarką.

Linus uśmiechnął się i powiedział ochryple:

— Dziękuję, panie majorze. Dziękuję za wszystko.

Zasalutował i niemalże wybiegł z pokoju.

Ward wstał, zauważając zmęczenie na twarzy Brierly'ego, i życzył majorowi dobrej nocy.

Ogolony i umyty Ward opuścił swój pokój w punkcie usługowym dla żołnierzy, wyszedł na werandę i zatrzymał się w ciepłym mroku. W barze przy sklepie, gdzie żołnierze gaszący swoje długotrwałe pragnienie, dopracowywali swoje opowieści o bitwie, słychać było ciągłe krzyki.

Wmawiał sobie teraz, że wierzy, iż noc jest otwarta na wszystkie możliwości, a jednak pomyślał: „Jest tylko jedno miejsce na ziemi, w które chcę pójść." Zdawał sobie sprawę z tego, że uda się do Ann i że nic na świecie go przed tym nie powstrzyma, ponieważ musiał poznać jej uczucia. Jednak ciągle się ociągał, czując nawrót głębokiego wstydu, gdy przypomniał sobie swoje rozstanie z Ann.

A co, jeśli mylił się w swojej ocenie uczuć Ann do Bena Loringa? Próbował przypomnieć sobie jakąkolwiek sugestię odnośnie do jej żalu za nim, jaką mógłby poczynić major Brierly, ale nie był w stanie. Czy znajdowała się w trudnej sytuacji, z jednej strony opłakując umiłowanego, zaś z drugiej witając ukochaną siostrę? Teraz zaczął o niej rozmyślać, rozpamiętując, że to właśnie w tym miejscu rozmawiał z nią po raz pierwszy, sam na sam. Zaś potem przyszedł po nią Loring. *„Loring*", pomyślał w duchu. *„Kiedy żył, zawsze stał między nami Loring. Czy będzie również i teraz, gdy umarł?*"

Zszedł z werandy, zmierzając przez bramę w stronę posterunku. Próbował wyobrazić sobie swoje życie, gdyby wspomnienie Loringa wciąż stało między nimi, ale nie potrafił. Jego stare życie dobiegło końca i było bardzo prawdopodobne, że zamknął drzwi sobie do nowego, przez szorstkie drwiny z Ann, kiedy ją zostawiał. Idąc cicho przez mrok, zrugał sam siebie na głos, a potem uśmiechnął się ponuro nad swoim dziecinnym zachowaniem i dalej przeklinał się już w duchu.

Minął wartownika i przeszedł przez plac apelowy, przypominając sobie, że Ann i jej siostra były u Storrowa. Przez chwilę zastanawiał się, czy do Ann dotarły jakieś plotki o śmierci Loringa, ale wiedział, że sierżant Mack zachowa swoje zdanie dla paru starych sierżantów, którym mógł zaufać; usta Brierly'ego pozostaną zamknięte na zawsze. Rozmowy innych będą pełne współczucia, utrzymane w tonie spokojnego fatalizmu, który był typowy dla wojska.

Gdy wszedł na werandę domku Storrowa i zapukał we framugę drzwi, jego postać w ciemności sprawiała wrażenie wysokiego i szczupłego, mglistego cienia. Ann podeszła do drzwi i widząc go, wyciągnęła rękę na powitanie, mówiąc:

— Czekaliśmy, aż rozstrzygniesz spór, Ward. Czy ty udawałeś pumę?

— Winny — odparł Ward.

Zdjął kapelusz i wszedł do salonu. Mary Carlyle wstała na jego widok i wyciągnęła rękę.

— Czy wyglądam dla pana równie odmiennie, jak pan dla mnie, panie Kinsman?

— Wygląda pani bardziej, jak siostra Ann — oznajmił Ward. Jej twarz była szczupła, opalona na głęboki brąz. Dłoń miała smukłą i długą, a jej suknia zakrywała wystające kości obojczyków. Przypomniała mu się uwaga Brierly'ego na temat fizycznej wytrzymałości kobiet; oto dziewczyna, która żyła koczowniczym życiem ściganych Indian-renegatów, i która w dodatku była ich niewolnicą. Wspomnienie tamtych dni nadal było widoczne w jej oczach, chociaż teraz, kiedy to powiedziała, skrzyła się w nich spokojna wesołość.

Ann wtrąciła po chwili:

— Pamiętasz Ward, myślałeś, że to nigdy się nie uda?

— Nigdy nie byłem bardziej szczęśliwy z faktu, że się myliłem.

Rozmawiali przez chwilę, a Ward obserwował Ann z głodną ciekawością. Nie było widać w niej żalu; jedynie niezachwiane i otwarte uczucie do siostry, które było widoczne w każdym jej spojrzeniu. Kiedy Mary Carlyle, tłumacząc się zmęczeniem, wymówiła się z towarzystwa, Ann poszła z nią do sypialni i została z nią w niej przez kilka minut.

Teraz, kiedy został sam, Ward niespokojnie podszedł do drzwi i wyjrzał w noc. Słychać było właśnie cogodzinne obwołanie między posterunkami wartowniczymi. Rozległ się nagły śmiech, który zagłuszył samotną melodię harmonijki ustnej z koszar Oddziału I. Wszystko to było tak bardzo znajome, że poczuł ogromną niecierpliwość. *„Mogę się mylić. Muszę się dowiedzieć*", pomyślał.

Zza pleców dobiegł go głos Ann.

— Zaraz zaśnie. Może wyjdziemy?

Zatrzymali się na schodkach werandy, a Ann powiedziała:

— Pójdźmy naokoło, dłuższą drogą, żeby życzyć dobrej nocy majorowi Brierly'emu.

Wzięła go pod ramię i skręcili w stronę stodół na siano. Przy jednej z szop na paszę paliło się kilka ognisk, wokół których rozrzuceni byli wzięci do niewoli Apacze. Widząc ich, Ann spytała:

— Co się z nimi teraz stanie?

Nagle Ward poczuł, że jego niecierpliwość przybiera na sile. Zatrzymał się, położył ręce na ramionach Ann i przytulił ją.

— Do diabła z Apaczami! — wybuchnął. — Ann, ja muszę wiedzieć. Czy śmierć Bena coś dla ciebie znaczy?

— Tyle, co śmierć każdego przyjaciela — odparła Ann powoli, szczerze. — Nic więcej, od tamtej nocy kiedy mnie pocałowałeś.

— Wybacz mi, że to zrobiłam.

Ann milczała przez długą chwilę, po czym powiedziała cicho:

— Naprawdę? To nie zabrzmiało podobnie do ciebie.

Ward powiedział poważnie:

— Wybacz mi, że pocałowałem cię tylko po to, żeby z ciebie szydzić. Ponieważ rozmyślałem nad tym przez wiele nocy i stwierdziłem, że szydziłem tylko z samego siebie, ze sposobu, w jaki żyłem, i z tego, czego myślałem, że pragnę w życiu.

— Czy to cię w jakiś sposób zmieniło, Ward?

— Zmieniło. Odkryłem, że nie chcę życia bez ciebie. Nie…

— Ta zmiana — przerwała mu spokojnie Ann — jest absolutnie wystarczająca — i padła mu w ramiona.

KONIEC